

De. II 1.
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 171.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1883.



SERYA V.

Sierpień.

TOM III. — ZESZYT VIII.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.



Ukończono druk dnia 31 lipca 1883 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Psyche	165
II. O prawach kobiety, wedle ustaw u nas obowiązujących. Przez Romana Wierzchlejskiego.	176
III. Sceptycy, stoicy i epikurejczycy. Odczyt na dochód Osad rolnych. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Dalszy ciąg).	189
IV. Obraz ekonomiczno-statystyczny archidiecezyi gnieźnieńskiej w XVI wieku. Przez Stanisława Marońskiego. (Dalszy ciąg).	203
V. Austriacka nowela szkolna. Przez Michała Chylińskiego.	217
VI. Z czarnej godziny. Powieść z niedawnej przeszłości. Przez Feliksa Śrzeniawitę. (Dalszy ciąg).	230
VII. Z pod Wawelu. Kronika naukowa, literacka i artystyczna. Przez No... No...	244
VIII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Andromaka” p. Rochegrosse.—„Pani Roland pod gilotyną” p. Royer.—„Rouget de Lille tworzący marsyliankę” p. Melingue.—„Kościuszkę” p. Poilleux.—„Wygnanie Benedyktynów z Solesmes” p. Carron.—„Dwie siostry” p. Giron.—Dwa obrazy z życia wiejskiego ludu p. Bretona.—„Rybacka z dziećmi” pani Demont-Breton.—Obrazy wiejskie pp. Lepage, Lhermitte, Langée i t. d.—Marynarki, pp. Renouf, Butin i innych.—Portrety: Hennera, Carolusa Duran, Bonnata.—Utwory malarzy polskich:—„Scena Wojenna z XVII w.” Józefa Brandta.—„Polowanie na lisa,” „Napał wilków” Józefa Chelmońskiego.—„Mojżesz” p. Merwarta.—„Estera” p. Edwarda Zier.—„Maryja Magdalena” Wiktora Zier.—„Scena w więzieniu” p. Gersona.—Portrety: pp. Bakałowicza, Pochwałskiego, Krabańskiego.—„Schadzka łowiecka” p. Piotrowskiego.—Obrazek rodzajowy pana Wierusza Kowalskiego.—Portret profesora D... panny Wisłockiej.—Krajobrazy pp.: Krasnopolskiego, Słomczyńskiego, Gąsowskiego, Karbowskiego.—Portret na porcelanie panny Heleny Duchyńskiej.—Wypuktorzeźba p. Dalou.—Popiersie L. M., przez p. Godębskiego i t. d.—Wspomnienie z lat młodych Renana.—Juliusz Sandeau.	256
IX. Korespondencje: I. Nowy sejm galicyjski. Przez d-ra Bronisława Łozińskiego (str. 268). II. O polskich kalendarzach. Przez d-ra Celichowskiego (279).	268, 279
X. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	

Przeгляд literatury heraldycznej polskiej: 1) Amilkar Kosiński: „Przewodnik heraldyczny.” Warszawa, 1883, tomów 4. 2) Teodor Żychliński: „Złota księga szlachty polskiej.” Rocznik IV i V. Poznań, 1882 i 1883. 3) Jerzy Seweryn hr. Dunin Borkowski: „Ro-



De. II. 1.

PSYCHE.

Świat składał prawemu hołd Panu
I wyśmiał wzgardzonych bóstw puche;
Nad brzegi kwieciste Jordanu
Wygmana schroniła się Psyche.
Nieśmiało, choć uszła przemocy,
Przelata doliny i góry,
Szum straszy ją cedrów ponury
I wycia szakalów wśród nocy.
W oliwne ukrywa się gaje,
Nad wodą wśród trzciny usiada
I wtedy jój czasem się zdaje
Że woła nań z lasu Dryada,
Że tam na przybrzeżnym gdzieś piasku,
Gdzie leśne rzadzieją gęszczary,
W słonecznym wygrzewa się blasku
Rozkosznie drzemiący Faun stary.
A nocą gdy księżyc na nowiu
I gwiazdy wypłyną z chmur blade,
Jój zda się, że Satyr w sitowiu
Gdzieś płoszy Nerei gromadę,
Że Echo nadbiega z daleka,
Żałośnie wołając kochanka...
I tęskni i gorzko wyrzeka
Na dolę swą Psyche wygnanka.

Tak smutna, zbłąkana wśród głuszy
Puszcz ciemnych drzemiących u rzeki
Wieczorem, gdy z łąki dalekiej
Flet cicho przygrywa pastuszy,

Gdy rzesza komarów brzęcząca
 Nad kwiatów rozwiesza się wonią,
 Wiatr lekko kołysząc wód tonią
 Mgły białe przed sobą roztrąca,
 Gdy zachód falami purpury
 Czerwieni wyniosłych palm czoła,
 Ujrzała raz Psyche anioła,
 Co ciemne przebiegał lazury.

Wciąż wyżej się wznosił nad ziemię,
 Wzrok ku niej zwróciwszy surowy,
 Snadź ciężkie ztąd krwawych łez brzemię
 Niósł złożyć przed tronem Jehowy.
 Snadź długo obcował wśród ziemian
 Ów świadek i stróż niewidomy,
 Skarg słuchał i modlitw naprzemian,
 Win ludzkich rozmierzał ogromy;
 Że wraca tak chmurny i smutny
 Tak grozą i żalem przejęty,
 Nie anioł, duch raczej pokutny,
 Że wraca sam czysty i święty,
 Na twarzy ze wstydu szkarłatem
 Paść na twarz przed Panem nad Pany,
 Serc skazy odsłonić i rany
 I błagać o litość nad światem.

Biegł w górę, a przed nim dokoła,
 Tam w dole świat korzył się cały,
 Potężne, prastare swe czoła
 Na szczytach gór cedry zginały;
 Chór ptaków biegł za nim w przestworza
 Pod stopy rzucając mu psalmy,
 Na polach chyliły się zboża,
 Wysmukłe kłaniały się palmy
 I kwiatów stubarwne kielichy
 Wkrąg chwiały się, bijąc pokłony
 I drżały jak serce wpatrzonej
 Trwożliwie w anioła twarz Psychy.

„Kto jest ów duch-mocarz stojący
 Na falach chmur w bóstw majestacie,
 Co niesie dnia promień gasnący
 Ku gwiazdom na śnieżnej swój szacie?
 Kto jest on, co własną jasnością
 Cień nocy rozprasza w tój dobie?”

Co bogom dorównał pięknoscia,
 A wieczną ich swiatlosc ma w sobie?
 Co moźny, otacza się ciszą,
 Nie stąpa w piorunach i wicherze,
 Że ptaszą piosenki najcichsze
 Wokoło się niego kołyszają?
 Którego czci swiat pokłonami,
 Kwiat polny i cedry olbrzymie?...
 O! róże, o! cedry, ja z wami
 Mocarza wymówić chcę imię!
 Gołębie, gołębki wy moje,
 Co blaski zachodniej purpury
 Na skrzydłach niesiecie pod chmury,
 W szat jego skrywając się zwoje;
 Gołębie! mnie weźcie wśród siebie,
 Niech za nim popłynę po niebie!
 Fal nieś mnie melodyo cicha
 Tam w górę, gdzie echo twe kona!
 Mgły białe, któremi oddycha
 Las senny i łąka zroszona,
 Unieście mnie! Wichry wszechładne,
 Róż wonie i śpiewy słowicze!
 Niech spojrzę w te boskie oblicze,
 Niech drżąca na łono mu padnę!
 Niech pójde gdzie wichry poniosą
 Z nim smutnym, ja smutna łą jego,
 Niech będę dlań cieniem i rosą!...
 Ja silna, bogowie mnie strzegą,
 I jeśli w Hadesu noc ciemną
 Iść musi, gdzie jęczą skazani;
 Wybawię go z piekieł otchłani,
 Na Olimp mój wróci on zemną.
 A jeśli nad wszystkie mocarze
 On mocarz i duch nieśmiertelny;
 Jak promień od gwiazd nierozdzielny,
 Tam pójde gdzie iść mnie rozkaże.
 Bo wiecznej mój wiosny dar drogi,
 Bez niego wieczystą żałobą...
 O! piękny! wspanialszy nad bogi!
 Zstąp ku mnie, lub zabierz mnie z sobą!..."

Tak woła, głos tłumiac nieśmiały,
 W rozkosznym zachwycie mdlejaca,
 Słów własnych porywem strwożona.
 Płomienie rozrzuca krew wrząca
 Po liliach jej twarzy i łona,

Jak gdyby Zeus w blasku swój chwały
 Sam ku niej wyciągał ramiona.
 Zerwała się... chwije się chwilę...
 I nagle — słów usta nie rzeką —
 Swe skrzydła tęczowe, motyle,
 Podniosła do lotu i lekko
 Już wzbija się wyżej i wyżej...
 Tak szybka jak strzały lot chyży,
 Jak iskra porwana z ogniska,
 Co gwiazdą z popiołów wyblyska,
 Jak dym poświęconych kadzidel,
 Co bogom zanoszą hołd ziemi;
 Nie własnych moc dźwiga ją skrzydeł —
 Ją Eol ramiony wsparł swemi.
 I Psyche unosząc się z echem
 Harmonii ptaszczęj, dokoła
 W przestworach eteru grającej,
 Owiana róż wonnym oddechem,
 Jak białej liść róży płynący
 Po cichych szafirów potoka —
 Minęła olbrzymich gór czoła
 I u stóp kochanka-aniola
 Na srebrnym usiadła obłoku...

„O! Psyche — rzekł poseł skrzydlaty —
 Twe skrzydła cię unieść nie mogą
 Tą, którą podążam ja drogą,
 W te, które powitam wnet światy!
 O! Psyche, ztąd niosąc hołd Panu,
 Nad ziemię unosząc się śpiącą,
 Jam nieraz cię widział płaczącą
 Na brzegach kwiecistych Jordanu.
 I doli twój smutne koleje
 Znam dobrze i wyrok ów srogi,
 Co gromem was dotknął, o bogil...
 Lecz jako mgła niech się rozwieje
 Ten urok, co ciebie otacza,
 O! lilio, łez zdobna perłami!
 Niech nawet przed memi oczami
 Twój obraz nie wejdzie do nieba.
 Litości łzy Pan nam przebacza,
 Lecz ziemskiej miłości pożarem
 Nam czystych serc kalać nie wolno,
 I walczyć bez przerwy nam trzeba
 Z czczych ponęt i ziemskich żądz czarem.
 Niech w różę zamieni się polną

Ze słów twoich każde, o Psyche,
 Jak roża niech zwiędnie i zginie;
 Niech szmerem fal będzie i ciche
 Bez echa gdzieś w dal się rozplynie
 Daleko, daleko odemnie!
 O Psyche, wołałaś daremnie,
 Ja tylko ci litość dać mogę,
 Zapomnij i porzuć mą drogę!
 I wracaj, o wracaj czempredzój
 Na ziemię, na wieczne wygnanie!
 Twój Olimp z popiołów nie wstanie,
 Nie wskrześnie z upadku i nędzy;
 Idź śladem strąconych bóstw rzeszy
 O ty, najsmutniejsza z wygnanek,
 Idź, wracaj!—Nim błysnie poranek,
 Niech Eros twój boski kochanek
 Z snu zbudzi i smutną pocieszy!...“

„Z miłości snu już mnie nie zbudzi
 Głos słodki boskiego kochanka,
 Ja biedna, samotna wygnanka
 Wzgardzona od bogów i ludzi...
 I pocóż mnie wracać na ziemię
 Gdzie braci i siostr jęczy plemię?
 I pocóż mnie błąkać się po niej
 Z wieczystą, bezbrzeżną, tęsknotą,
 Gdy serce me ciernie oplotą,
 Myśl każda za toba pogoni?
 Ambrozyi niech puhar kto poda,
 Ust moich do czaszy nie nagnę...,
 Posłuchaj!—wieczności nie pragnę
 Ja boska, ja piękna, ja młoda,
 I chciałabym rozkuć łańcuchy
 Wiążące mnie z życia katuszą!...
 O, powiedz, wszechwiedny, gdzie duchy
 Ztąd bogów umarłych iść muszą?
 Czy wdzienną korony na skronie?
 Czy staną przed sędziów obliczém?
 Ja sama, czém będę po zgonie
 Czy cieniem, czy kwiatem—czy niczem?...
 Gdy cieniem—niech do stóp ci padnę,
 Gdy kwiatem—niech skroń twą oplotę,
 Gdy niczem—ach! wtedy już żadne
 Nie wznowią mych cierpień sny złote!...“

Rzekł anioł:

„O dumni bogowie,
 Odarci z potęgi i chwały,
 O rodzie tytanów zuchwały
 Dziś jeszcze grożący Jehowie,
 O dumni bez tronów mocarze,
 On nieśmiertelnością was karze!
 Przeklnijcie ambrozji czasę
 Przyjętą raz z rąk Ganimeda,
 W niej wieczne konanie jest wasze
 W niej siła, co umrzeć wam nieda!...
 I tobie téż byłby, o biedna,
 Śmiertelnych zgon teraz rokoszą,
 Lecz któż ci ofiarą najdroższą
 Ten zgon upragniony wyjedna?
 Ach, chyba że który z mych braci
 Na czoło ci dłonie położy
 I biorąc na siebie gniew Boży
 Istotę swą w tobie utraci.
 I wtedy ustanie ta siła,
 Co źródłem jest twojej niedoli...
 Jak boga cię miłość zgubiła,
 Tak miłość niebiana wyzwoli!...“

Rzekł. Pełne tajemnic wyrazy
 Rozbiegły się echem przez chmury,
 W puszczy głuszy odgrzmiały trzy razy,
 I trzykroć wróciły pod chmury.
 Rzekł. — Wstąpił na śnieżnej mgły zwoje
 Płynące w bezbrzeża świetlane
 I skrzydłem potężnym w chmur ścianę
 Uderzył i rozciął na dwoje.
 Z piór srebrnych tęczowe opale
 Otrząsnął i rozsiał po niebie,
 Pod skrzydła eteru wziął fale
 I rzucił ku gwiazdom przed siebie,
 I zniknął.....

W dalekie przestworza
 Wpatrzyła się Psyche wygnanka
 Jak w cichą, spokojną toń morza,
 Co smutnej wydarła kochanka.

Nad stepem na sinych chmur zgrębie
 W mgle białej księżycy sierp leży;

Od wschodu po niebie rozpięta
 Gwiazd srebrna sieć coraz to szerzój
 Na ciemnym połyska lazurze.
 Obłoki jak białe gołębie
 Wichrami rzucone w jej pęta
 W gwiazd sieci zawisły tam w górze.

Posepnych skał ciemne łańcuchy
 Na kresach pustyni jak strażę
 Czuwają przytomnie dokoła
 By żaden głos świata w step głuchy
 Nie przedarł się nigdy z daleka.
 Gdzie ocean piasku od wieka
 Spopielał w słonecznym pożarze
 Fal szarych roztoczył tysiące
 I na nieruchome ich czoła
 Wyrzucił jak białą wód pianę
 Kamienie od skał oderwane
 W promieniach gwiazd nocą błyszczące.

Posepnych gór ciemne łańcuchy
 Echami przez step z sobą gwarzą,
 Nadpływa z oddali szept głuchy:
 „Pod wodza młodego szedł strażą
 „Wybrany lud tędy do ziemi
 „Swych ojców.....“

I z braćmi młodszemi
 Prastarych skał mówią odłamy:
 „Pomnicie? Nie spodlon złym losem,
 Jak wołał ów lud wielkim głosem:
 Chanaan!...”
 I łańcuch gór rzekł: „Pamiętamy!...”

Wiatr podniósł kurzawy tumany,
 Rozwinął je w gwiazd świetle bladém,
 I poniósł przez dziki step śladem
 Śpieszącej gdzieś w dal karawany.

Rząd długi wielbłądów strudzonych
 Posuwa się zwolna przez piaski,
 Na garbach ciężarem gniecionych
 Kołyszac ładunek bogaty;
 Księżycy igrają odbłaski
 Po zwojach wzorzystej makaty,
 To z cieniów wykrzeszą błysk stali,

To biały płaszcz wiatrem podwiany
 Osrebrzą, to barwne turbany...
 Wkrąg cisza. Milcząca wciąż dalej
 Przez step karawana pomyka.
 I tylko czasami w oddali
 Wiatr jęknie strudzony pogonią,
 Lub echo rozniesie szczęk broni,
 Odezwie się krzyk przewodnika,
 Wielbłądów dzwoneczki zadzwonią,
 I rzenie rozlegnie się koni.
 Oh, długo wędrowców tych rzesza
 Snać idzie w słonecznym pożarze,
 I zdala przez stepy pośpiesza;
 Tak pełne znużenia ich twarze,
 Tak w dal wyteżone źrenice
 Skwapliwie szukają oazy,
 I usta spalone rozpaczy
 I przekleństw szeptają wyrazy.
 A zbieg gwiazd wciąż drogę im znaczy
 W najdalsze pustyni granice.

Już śmierć zażegnali dwa razy
 Na piasków ognistych arenie,
 Wielbłądy mordując po drodze,
 I gasząc w tych źródłach pragnienie.
 Znow wody zmniejszały zapasy,
 Pragnienie dokucza znow srodze,
 Daleko palmowe gdzieś lasy,
 I zbliża się tylko śmierć blada...

I oto pod jeźdźcem ostatnim,
 Co ciągle ustawał wśród drogi,
 Koń zachwiał się nagle i pada.
 A jeździec się porwał na nogi,
 I ręce wyciągnął ku bratnim
 Wędrowcom; lecz nikt z towarzyszy
 Wotania nie słucha, nie słyszy...
 Więc powlókł się sam pomaleńku
 Czas jakiś, staj kilka za nimi,
 I runął na ziemię bez jęku,
 A tuman kurzawy olbrzymi
 Przeleciał nad trupem.

Przez stepy za piasku szedł słupem
 Młodzieniec w tęczy barw szatach,
 U ramion miał skrzydła sokole,
 Róż białych niósł wieniec na czole

I gwiazdy jak rosę na kwiatach...
 Nad jeźdźcem przystanął wśród drogi,
 I lekkim dotknięciem swęj ręki,
 Promieniem otoczył mu skronie,
 I spokój przywrócił téj twarzy,
 Zastyglęj wśród bólu i męki.
 A potem mu rękę na łonie
 Położył i gwiazda wspaniała
 Z nad ciała martwego wzleciała,
 I wbiegła na białych róż wieniec.

W step głuchy szedł dalej młodzieniec.
 On czuwa w pustyniach na straży,
 On puszcze przebiega i morza,
 Bezлюдne, bezbrzeżne przestworza,
 Przez które wędrowna wciąż rzesza
 W dalekie krainy pośpiesza.
 I tych, co samotni tam giną,
 Daleko od świata i ludzi,
 W pielgrzymkę prowadzi on inną,
 Rozgrzesza i z życia snu budzi,
 I wie dzie w świat lepszy, w świat nowy,
 Gdzie gwiazdę ich życia, na ziemi
 Zagasła, z gwiazdami bratniemi
 Sam złoży przed tronem Jehowy.

W step głuchy szedł dalej młodzieniec,
 Wśród blasków tęczowych skrzydlaty,
 Na czole róż białych niósł wieniec,
 I gwiazdy srebrzące róż kwiaty.

A tam u stóp nagich skał, w dali,
 Gdzie fala piaszczysta po fali
 W wysokie kurhany się piętrzy;
 Gdzie bieg uraganu najprędszy
 Moc traci, rozbija się, łamie
 W granitów bezdennym rozłamie;
 Gdzie głucho, ponuro grzmi skała,
 Echami pustyni trącona:
 Pół-dziecko—dzieweczka leżała
 Umarła, czy tylko uspiona
 Na piasku w promieniach księżyca.

Jak liść białej róży jęj lica,
 Ich profil misternie wycięty
 Na splotach rozwianych warkoczy,
 Rzęs cieniem zamknięte jęj oczy,

Jój usta jak pączek nietknięty,
 Co listki dwa ledwie rozchyła,
 A fala oddechu co chwila
 Z pod lekkiej zasłony przezroczy
 Pierś białą na światło wychyla,
 Jój rąk alabaster uroczy
 Połyska na szarém tle piasku,
 I iskrzą się w gwiazd srebrnym blasku
 U ramion skrzydełka motyla.

I Cherub wędrowny zdaleka
 Ją ujrzał i stanął nad śpiącą...

Jak blaski, gdy chmury roztrąca
 I mgłę wyłacają, co lekka
 Róztacza się w polu o świcie,
 Tak wzroku Cheruba promienie
 Dokoła objęły ją całą...
 On stał nieruchomy w zachwycie.
 Wiatr włosów jój muskał pierścienie,
 I z pod nich wychylał pierś białą,
 I przędzonym wzruszone oddechem,
 Jój łono podnosząc się drżało,
 A usta przelotnym uśmiechem
 Okraszał raz poraz sen złoty.

On patrzył i w oczach tęsknoty
 Miał wyraz—i przemknął przed niemi
 We wspomnień mgłę obraz kochanki,
 Co w niebios nie wzniosła się szranki
 Z nim razem z ziemskiego padotu;
 Co była mu siostrą na ziemi,
 Gdy niegdyś on z ludźmi pospołu
 Szedł drogą ciernistą po świecie.
 I znowu na śpiące padł dziecię
 Wzrok jego...

I jemu się zdało,
 Że ona to przed nim spoczywa,
 Ta piękna na zawsze stracona.
 Jój kruczy ów włos, co przepływa
 Kaskadą pierś drzącą i białą,
 Jój oddech ów wonny, co z łona
 Jak z kwiatu kielicha ulata,
 Jój kibić ta wiotka, przegięta
 Na falach piaszczystych, jój lica

Te piękne, na których zakłęta
 Wiosennych dni siła, co splata
 Czar wdzięków z powagą dziewiczą!
 Ach! taką jej uśmiech słodyczą
 Twarz zdołił rumieńcem płonącą,
 Ach! taką mu niebo ją dało
 Tam, kiedyś!...

I serce Anioła

Znów ziemską miłością zawrzało;
 Pochylił się nagle nad śpiącą
 I dotknął ustami jej czoła...

Zbudziła się ze snu dziewica.
 Step pusty, bezludny dokoła,
 Szaleje w oddali kurzawa,
 Wkrąg piaski, jak sięgnie rzut oka,
 Gdzie Cherub stał przed nią skrzydlaty,
 Tam tylko kolczata, wysoka,
 Stepowa kołysze się trawa.

Zbudziła się ze snu dziewica.
 Zkąd piękna, zkąd blasku w niej tyle?
 Kto oblekł w śnieżyste ją szaty?
 Zkąd srebrny ów dyadem u czoła?
 Kto w białe dwa skrzydła Anioła
 Przemienił skrzydełka motyle?...

Nad brzegiem kwiecistym Jordanu
 Fal szmery kołyszą się ciche,
 Nad niemi śpiewając hymn Panu,
 Ku gwiazdom unosi się Psyche.

© prawach kobiety,

WEDLE USTAW U NAS OBOWIĄZUJĄCYCH.

PRZEZ

Romana Wierchlejskiego.

Jakkolwiek mogą się ludzie różnić pod względem zapatrywania się na cel życia ludzkiego, na to bezwarunkowo zgodzić się muszą wszyscy, że człowiek dąży do tego, aby mu było coraz lepiej na świecie. Każdy pragnie zwalczać naturę, aby ją sobie uczynić uległą; każdy wrodzoną ciekawością wiedziony, usiłuje wyjaśnić sobie zjawiska świata fizycznego i moralnego; każdy wreszcie radby jeśli nie siebie, to otaczających siebie widzieć coraz lepszymi. Słowem, ta dążność do lepszego, czyli do doskonalenia się, objawia się w trzech kierunkach, a raczej pod trojakim względem, pod względem fizycznym, pod względem umysłowym, pod względem moralnym.

Człowiek jest istotą społeczną; bez społeczeństwa pojąć człowieka nie można. Żyjąc społecznie, człowiek działa w powyższych kierunkach i celach. Życie społeczne ułatwia mu, dopomaga w dążeniu do doskonalenia się. Zatem celem życia społecznego jest rozwój ludzkości, jest ulepszanie warunków bytu społecznego tak pod względem fizycznym jak i umysłowym i moralnym.

Cała więc działalność normalna ludzkości objawia się w rozwoju najrozlicniejszych stosunków, w jakich człowiek znajduje się z innymi ludźmi i z otaczającym go światem.

Działem nauk społecznych nazywamy ten dział badań ludzkich, który obserwuje, systematyzuje i udoskonala pojęcia o stosunkach społecznych, to jest, o stosunkach między ludźmi. Jedną z nauk społecznych jest nauka prawa, która obserwuje, systematyzuje i udoskonala pojęcia o stosunkach prawnych między ludźmi. Co rozumiemy

przez wyrazy prawo i stosunki prawne, postaram się treściwie objaśnić.

W naturze człowieka leży poczucie zachowania swój istoty; żąda on od innych aby szanowano jego osobę, a mianowicie jego życie, zdrowie, cześć i to, co on za swoje mienie uznaje. A oczywiście wzajemnie musi on szanować w innych ludziach ich życie, zdrowie, cześć i ich mienie. Przychodzi on na świat jako członek rodziny, członek gminy, wreszcie państwa; otacza go świat zewnętrzny, z którego czerpie środki utrzymania swój egzystencji. Otóż stosunki jakie wynikają z tego zetknięcia z rodziną, gminą, z członkami innych rodzin, gmin, z państwem a nawet z innymi państwami nazywamy stosunkami prawnymi, a urządzenie tych stosunków między ludźmi nazywamy prawem.

Widzimy zatem, że stosunki prawne między ludźmi polegają na wzajemnych prawach i obowiązkach. O ile człowiek ma prawo żądać aby szanowano jego istotę, aby spełniano względem niego przyjęte zobowiązania, o tyle sam ma obowiązek szanowania innych ludzi i spełniania swych względem nich zobowiązań. W ogóle każde prawo pociąga za sobą obowiązek i nawzajem wszędzie, gdzie spotykamy obowiązek, musimy domyślać się i prawa.

Człowiek żyje w pewnych grupach, jak np. w rodzinie, w gminie, w państwie. Jeśli weźmiemy pod uwagę każdą grupę oddzielnie, to przekonamy się, że osoby składające każdą grupę są w pewnych wzajemnych względem siebie prawach i obowiązkach dotyczących tej właśnie grupy.

Wszystko co nas otacza, dzielimy na dwa działy. Otaczają nas podobni nam ludzie; wszystko zaś co nie jest istotą ludzką podciągamy pod jedną kategorię rzeczy. Dlatego wszelkie stosunki prawne między ludźmi mają za przedmiot podobne nam osoby i rzeczy; i z tego względu wszelkie stosunki prawne rozpadają się także na dwie kategorie, to jest na stosunki osobiste i stosunki rzeczowe. Tym więc sposobem w jakiejś grupie będziemy obserwować człowieka, zauważymy, że człowiek z innymi członkami tej grupy znajduje się w stosunkach prawnych, osobowych i rzeczowych.

Najmniejszą grupą społeczną jest małżeństwo; te też w małżeństwie spotykamy stosunki między małżonkami osobowe i stosunki między małżonkami rzeczowe lub majątkowe. Następną nieco już większą grupą jest rodzina w ściślejszym znaczeniu, w której znów znajdujemy wzajemne prawa i obowiązki osobowe i rzeczowe.

Dalszą grupą większą jest ród. Rody i pojedynczy ludzie wchodzić w skład gminy, a gminy składają większe jeszcze grupy, z których składa się państwo; a wszędzie znajdziemy szereg stosunków prawnych osobowych i rzeczowych czyli majątkowych.

Prawo zarządzające stosunki prawne między obywatelami danego społeczeństwa nazywamy prawem prywatnym; prawo zarządzające stosunki prawne między rządzonymi a rządzącymi nazywamy prawem

publiczném. Wreszcie spotykamy jeszcze trzeci rodzaj prawa urządzającego stosunki prawne między państwami; prawo to nazywamy prawem między narodowém. Tym sposobem nauka prawa rozróżnia trzy wielkie działy: prawo prywatne, prawo publiczne i prawo międzynarodowe, pod które dadzą się podciągnąć wszelkie stosunki prawne ludzi między sobą.

Dotknąć się praw przysługujących u nas kobiecie w granicach tych działów jest zadaniem niniejszej pracy.

Nie mam zamiaru wkraczać w badania teoretyczne, położyłem sobie tylko za zadanie w sposób popularny zwrócić uwagę czytelnika a szczególnie czytelniczek, jakie prawa wedle ustaw u nas obowiązujących przysługują kobiecie.

Znajomość prawa, tak np. jak znajomość medycyny, stała się wprawdzie nie tylko u nas, ale prawie wszędzie specjalnością. Ale jak medycyna ma higienę, którą stara się popularyzować, a rozpowszechnione między szerszą publicznością pojęcia higieniczne chronią nieraz od smutnych następstw niezajomości medycyny, tak i prawoznawstwo powinno wydzielić z siebie gałąź nauki prawa, obznajmijającej ogół z głównymi przynajmniej pojęciami o prawach, jakim każdy musi ulegać, lub z nich korzystać może.

Gdyby kobieta wychodząca zamąż, gdyby rodzice wydający córkę z domu, mieli jasne pojęcie o stosunkach prawnych, w jakie kobieta mężatka wchodzi, ilużby to przykrościom, niepowodzeniom, nieszczęściom nawet dało się zapobiedz, gdyby umiano korzystać z tych praw, jakie kobieta może zastrzedz dla siebie.

Sądzę, że popularny wykład prawa będzie się coraz więcej rozpowszechniał, że i szkoły dla kobiet w swoich programach będą zamieszczać wykład głównych pojęć prawnych. Że tak jest, widzimy to już z praktyki, bo i u nas w kilku zakładach naukowych dla kobiet wprowadzono wykład nauk społecznych, a między nimi i naukę prawa.

Przystępując do wykładu praw kobiety i powracając do tego, co już wprzód mówiłem o podziale prawa na prawo prywatne (cywilne), publiczne i międzynarodowe, musimy prawa kobiety brać na uwagę ze względu na powyższe trzy działy, zaczynając od prawa publicznego, jako mającego przewagę nad prawem prywatnym.

W każdym społeczeństwie, a raczej państwie, obywatele biorą udział w życiu publiczném, oczywiście mniej lub więcej. Państwo domaga się od obywateli pewnych usług osobistych, jakoteż nakłada na nich obowiązek składania pewnej części swego mienia w formie podatków, ceł i innych opłat.

Usługi osobiste stanowią udział w sile obrończej (armia), tudzież udział w zarządzie (służba cywilna). Obowiązek służby wojskowej wyłącznie leży na ludności męzkiej; udział kobiet w służbie rządowej ogranicza się u nas zaledwie na dopuszczeniu kobiet do pewnych specjalnych rodzajów służby, jak np. do zajęć nauczycielskich, obsługi biur telegraficznych. Wprawdzie ustawy nie mieszczą w sobie wyra-

źnego zastrzeżenia o niedopuszczaniu kobiet do funkcyi publicznych; ale to pojęcie o niewłaściwości zajmowania przez kobiety posad urzędowych jest tak powszechném i silném, że nawet żadna wątpliwość pod tym względem nie bywa podnoszoną. Ustawa Towarzystwa kredytowego ziemskiego z r. 1825 mieści w sobie przepis, iż kobieta właścicielka dóbr stowarzyszonych może przez pełnomocnika brać udział w wyborach do władz Towarzystwa; a nawet w czasie bardzo niedawnym mieliśmy fakt, że Towarzystwo lekarskie odmówiło przyjęcia do swego grona kobiety-lekarza. Jeszcze jakby na granicy prawa publicznego i prywatnego ustawy nie dopuszczają kobiet, aby były świadkami tak zwanymi dla uroczystości, mianowicie przy sporządzaniu aktów stanu cywilnego (aktów urodzenia, małżeństwa i zejścia) i przy przyjmowaniu aktów publicznych przez notaryuszów, lub innych podobnej funkcyi urzędników (sekretarzy hipotecznych, komisarzy sądowych i t. p.). Czy stanowi dla kobiety równoważnik ta okoliczność, że kobieta przez pójście za mąż przybiera stan, tytuły i godności służące mężowi, wątpię. Ale prawo karne mieści w sobie pewne ulgi dla kobiet, a w przestępstwach przeciw czci kobiecej powiększa represyą. I tak co do kar głównych, kodeksem karnym objętych, uwalnia kobiety skazane na ciężkie roboty od robót w kopalniach i twierdzach, zamieniając te kary na roboty w zakładach fabrycznych; co do kar poprawczych, kodeks uwalnia kobiety od robót w tak zwanych oddziałach arestankich, zamieniając tę karę na oddanie do tak zwanych domów roboczych. W przestępstwach przeciw czci kodeks wymierza nawet bardzo surowe kary za pozbawienie lub usiłowanie pozbawienia czci niewieściej, a ustawa o karach wymierzanych przez sędziów pokoju i sądy gminne surowiej karze za obelgi wymierzone kobiecie.

Prawo prywatne albo cywilne zwykle dotąd dzielią na prawo rodzinne albo osobowe, i prawo rzeczowe lub majątkowe.

Rodzina bierze początek z małżeństwa; przedewszystkiém zatrzymujemy się nad tym najważniejszym dla kobiety działem prawa cywilnego.

W małżeństwie napotykaemy też same kategorie praw i obowiązków, o jakich niejednokrotnie wspominałem; napotykaemy na prawa i obowiązki osobiste,—i prawa i obowiązki majątkowe.

Prawo nasze o małżeństwie z r. 1836 w duchu zasad prawem kanoniczném wskazanych, zobowiązuje męża, aby kochał i szanował swą żonę, a nadto nakazuje mu wierność i obronę dla małżonki; żonie zaś za pierwszy kładzie obowiązek postuszeństwa, a nadto zaleca jéj miłość, uszanowanie i wierność; dalej, nakazuje żonie mieszkać z mężem i iść za nim wszędzie, gdzie mu się zostawać podoba; męża zaś zobowiązuje, aby żonę przyjął i opatrywał ją we wszelkie potrzeby życia według swéj możności; nakoniec żonie nadaje ustawa nazwisko męża i tytuły jego familijne.

Te przepisy są źródłem tak zwanéj władzy mężowskiej; ale uzupełniają się one kilku jeszcze przepisami, o których zaraz będzie mowa.

Kobięta wolna porównaną jest w zupełności co do praw majątkowych z mężczyzną, może rozporządzać swém mieniem wedle swego uznania tak przez darowizny i testamenta, jako i przez wszelkie inne sposoby w prawie cywilném znane, może obierać sobie stan i zatrudnienie wedle swęj woli. Ale z pójściem zamąż stanowisko prawne kobiety ulega radykalnej zmianie: kobięta przechodzi pod władzę męża, który prócz wzajemnej miłości i uszanowania winien żonie tylko wierność i opiekę, kiedy żona musi mu być posłuszną i iść za nim wszędzie; a nadto żadnych działań prawnych za wyłączeniem testamentu i hipotecznego zabezpieczenia swego mienia dopełniać nie może bez asystencyi i upoważnienia męża. Słowem, przez czas trwania małżeństwa jest ona ograniczona w zdolności do działań prawnych i dopięro z ustaniem małżeństwa powraca kobięta do pełni swęj zdolności prawnej.

Wprawdzie ze stanowiska społecznego uznać musimy, że w każdej grupie społecznej konieczném jest, aby czyjaś wola miała przewagę; bo inaczej gdyby wola każdego członka grupy społecznej była równą, musiałyby zdarzać się starcia woli przeciwnych; coby koniecznie prowadziło do anarchii. W grupach złożonych z kilku osób przewaga woli większości ma zwykle prawo zmusić mniejszość do poddania się woli większości; w stadle jednak małżeńskim złożonym z dwóch tylko osób, musi być daną przewaga jednęj woli nad drugą; a tę przewagę nadaje prawo mężowi, na którym z samęj natury rzeczy leżą obowiązki ważniejsze i cięższe; władzę przeto mężowską musimy uważać za konieczność społeczną. Niemniej przeto zaprzeczyć niepodobna, że stanowisko kobiety w małżeństwie o wiele jest gorszem od stanowiska żonatego mężczyzny.

Być może, iż natura wynagradza to w części kobiecie, dając jęj jako broń wdzięk i tę właśnie słabość i miękkość kobiecą, a nadto ową powszechnie uznawaną bystrość i umiejętność korzystania ze słabych stron mężczyzny. Ta jednak broń nie zawsze jest dostateczną. Kobięta niejednokrotnie jest ofiarą zmuszoną znosić samowolę nieokrzesanej natury, dobrze jeszcze jeśli tylko nieokrzesanej; ale nieraz znosić musi samowolę egoizmu lub innych występnych instynktów. Mężczyzna jeśli nawet natrafi na trudności małżeńskiego pożycia, zawsze ma większą łatwość uchylenia się od nich; daje mu tę łatwość przewaga władzy mężowskiej; ale kobięta jeśli natrafi na złego męża, znajdzie się nieraz w najstraszniejszym położeniu. Przewaga władzy mężowskiej oddaje mu zwykle pod zarząd mienie żony, wycofanie którego z pod tego zarządu jest najczęściej połączone z niezmiernymi trudnościami. Wreszcie jeśli pożycie staje się niemożliwem, zostaje jęj droga rozłączenia się z mężem, które dla żon nienależących do katolickiego wyznania może nastąpić w formie rozwodu przecinającego w zupełności pożycie małżeńskie, dla katoliczek daje tylko możność separacyi, która wprawdzie pod względem następstw prawnych cywilnych równa się rozwodowi; ale która związku małżeńskiego pod względem religijnym nie

przecina, tak, że gdy rozwiedziona kobieta może w nowe związki małżeńskie wstąpić, rozseparowana tego uczynić niema prawa. Ale i ta droga przy rozciągłości form procesowych i przy kosztowności procedury, a także obok usprawiedliwionej skądinąd dążności sądów duchownych do utrzymania świętości związku małżeńskiego przedstawia niekiedy trudności niepodobne do zwalczania. Praktykuje się, i to dość często, iż w razie złego pożycia strona pragnąca rozerwania węzła małżeńskiego wynajduje prawdziwą lub wymyśloną nieważność zawarcia małżeństwa, polegającą na pominięciu istotnych warunków wymaganych do ważności małżeństwa, lub na wykryciu przeszkód zrywających małżeństwo, lub wreszcie na niezachowaniu form i obrzędów wymaganych pod nieważnością, i niekiedy z pomyślnym skutkiem przeprowadza proces unieważnienia małżeństwa, a że owe prawdziwe lub zmyślane powody do unieważnienia małżeństwa zwykle wtenczas właśnie wynajdują się, gdy pożycie małżeńskie staje się niemożliwem, przeto szersza publiczność a nawet i sami prawnicy unieważnienie małżeństwa identyfikują nieraz z pojęciem rozwodu, i tego rodzaju przecięcie węzła małżeńskiego zwykle w praktyce nazywają rozwodem. Dodać tu wypada, że po rozpoczęciu sprawy o nieważność, rozwód lub separacją żona ma prawo opuścić wspólne mieszkanie; jednakże na żądanie męża sąd może oznaczyć mieszkanie dla żony. Sąd także może zobowiązać męża do dostarczania żonie w trakcie procesu alimentów, to jest, funduszu na utrzymanie.

Tu dopiero wspomnieliśmy o stosunku osobistym między małżonkami. Zastanówmy się teraz nad stosunkami majątkowymi między małżonkami.

Prawo cywilne daje szeroki zakres wolnej woli stron zawierających małżeństwo, pozwalając osobom wstępującym w związek małżeński urządzić stosunki majątkowe wedle swego uznania. Prawo nie stawia żadnych warunków ścieśniających swobodę umówienia się co do stosunków majątkowych na czas trwania małżeństwa, a nawet na przypadek jego rozwiązania; owszem kodeks cywilny, popierając zawieranie umów przedślubnych, dozwala wyjątkowo stanowić w umowie przedślubnej takie warunki, jakich w innych umowach nie dopuszcza; wymaga jedynie kodeks, aby umowa przedślubna nie była przeciwną prawu, dobrym obyczajom i porządkowi publicznemu, aby była zawartą urzędownie to jest aktem notaryalnym, aby była zawartą istotnie przed zawarciem małżeństwa, co się gwarantuje tym sposobem, iż wzmianka o zawarciu umowy przedślubnej o jej dacie i miejscu zawarcia musi być pod groźbą nieważności umowy przedślubnej zamieszczoną w akcie małżeństwa; stanowi nadto kodeks, że umowa przedślubna nie może uleść zmianie w czasie małżeństwa, i że umowa urządzająca stosunki majątkowe między małżonkami nie może być skutecznie zawartą w trakcie pożycia małżeńskiego. Należy przecież zauważyć, że zakaz urządzania w czasie małżeństwa stosunków majątkowych nie wzbrania małżonkom czynić sobie darowizn, które jednak ulegają w każdym czasie

odwołaniu, tudzież dozwala mężowi odstąpić na korzyść żony swoje mienie ale tylko o tyle, o ile odstąpienie to ma ją wynagrodzić za wniesiony mu posag. Jeżeli jednak strony umowy przedślubnej nie zawarły, w takim razie prawo samo urządza stosunki majątkowe między małżonkami na przypadek niezawarcia umowy przedślubnej.

Jeśli małżonkowie nie zawarli umowy przedślubnej, w takim razie mąż z samego prawa staje się zarządcą wszelkiego majątku żony, nie tylko otrzymanego przy zawarciu małżeństwa, ale i tego wszystkiego co jęj później przybędzie czyto przez los, czy przez spadek lub darowiznę, i jemu służy użytkowanie tegoż majątku, czyli że wszelkie dochody z majątku żony, a nawet dochody z pracy i staranności żony pochodzące stanowią własność męża; za co tylko ma on obowiązek ponosić ciężary małżeńskie, to jest, dostarczać odpowiednie utrzymanie żonie i dzieciom. Pożytki ze staranności i pracy żony o tyle tylko mogą stanowić wyłączną własność żony i wyjęte są z pod użytkowania męża, o ile żona za zezwoleniem męża prowadzi oddzielny handel, przemysł, kunszt lub profesyę; albo o ile odnosi zyski z talentu, jeśli takowym zarabia także za zezwoleniem męża. Prawda, że mąż bez zezwolenia żony nie może jęj majątku ani zbywać ani obciążać, ani nawet jęj kapitałów odbierać, wszelako i tak prawa męża do majątku żony są, jak widzimy, nader rozciąęte, i mąż ma sposobność nietylko korzystania z majątku i z pracy żony, ale nadto dając zły obrot interesom, może narazić majątek żony na straty.

Prawodawca stawiając żonę w takiej zależności od męża, dał jęj wprawdzie środki zabezpieczenia swych praw, te środki jednak, jak to okaże się poniżej nie zawsze mogą zapobiedz złemu. Mianowicie, jeśli mąż nie dostarcza żonie i dzieciom odpowiedniego utrzymania, żona ma prawo upomnieć się sądownie o odpowiednie dla siebie i dzieci utrzymanie, to jest, sądy na żądanie żony i w razie udowodnienia, że mąż nie dostarcza jęj i dzieciom odpowiedniego utrzymania, mogą zobowiązać męża wyrokiem do dostarczania na toż utrzymanie sumy tymże wyrokiem oznaczonej. Jeśli zaś mąż źle się rządzi, i przez to wystawia majątek żony na niebezpieczeństwo utraty, albo jeśli przychody z majątku żony pochodzące przez wierzycieli męża są tak dalece zajęte, że mąż zostaje w niemożności przyzwoitego opatrywania żony i dzieci w potrzeby życia, żona może żądać u sądu, aby mężowi odjęte było prawo zarządzania i użytkowania z majątku żony, a jeśli sąd uzna to żądanie żony za uzasadnione, i wyda odpowiedni prawomocny wyrok, w takim razie do żony jako właścicielki wraca się zarząd i użytkowanie z jęj majątku, z obowiązkiem przykładania się do wspólnych ciężarów małżeństwa w stosunku swęj i męża możności, a nawet ponoszenia ich całkowicie gdyby mąż majątku nie posiadał, ani sposobu zarobku nie miał. Nadmienić jednak wypada, iż niejednokrotnie się zdarza, że gdy mąż narobi długów, a żyje zgodnie z żoną, to dla pozbawienia wierzycieli możności wyegzekwowania swych należności następuje między małżonkami zmowa. Żona pozornie domaga się odjęcia mężowi zarzą-

du i użytkowania z jęj majątku, a mąż dobrowolnie poddaje się temu żądaniu; dlatego tęż prawodawca chcąc takim zmwom zapobiedz, wyraźnie zastrzegł, że dobrowolna w tym względie między małżonkami umowa jest nieważną; zatem sądy muszą sprawdzić, czy istotnie zachodzi wypadek, w którym odjęcie mężowi zarządu i użytkowania mogłoby być wyrzeczone.

Wspomniałem wyżęj, że środki te zabezpieczenia praw żony nie zawsze mogą zapobiedz złemu. Na usprawiedliwienie tego przytaczam, że naprzód żona musi d o ś w i a d c z y ć niezaradności lub nawet złęj woli męża, dalej musi się zaopatrzyć w dowody usprawiedliwiające jęj zarzuty przeciw mężowi, bo na nięj jako na występującej z procesem ciąży obowiązek udowodnienia jęj twierdzeń, ale następnie samo nawet postępowanie sądowe prócz kosztów wymaga długiego czasu; gdyż żona musi właściwie przeciw mężowi dwa przeprowadzić procesy. Jak już wyżęj wspomniałem, kobięta w czasie małżeństwa jest pozbawioną samodzielności w czynnościach prawnych, niemoże bez upoważnienia męża przedsiębrać jakichbądź działań dotyczących stosunków prawnych; w tych zaś wypadkach gdzie mąż nie może lub wzbrania się upoważnić żonę do działań prawnych, musi żona żądać upoważnienia od sądu. Otóż i w tym razie, gdy żona zamierza wystąpić przeciw mężowi, czy to o zmuszenie go do dostarczania jęj utrzymania, czy tęż o odjęcie mężowi zarządu i użytkowania, musi mieć na to upoważnienie sądu. Dawnięj w tym przedmiocie żona obowiązana była udawać się do prezesa sądu, który wzywał męża i mógł mu czynić uwagi, a w razie bezskuteczności takowych upoważniał żonę do wystąpienia do sądu. Obecnie żona musi podać prosbę do sądu o upoważnienie jęj do działania przeciw mężowi, sąd komunikuje mężowi kopię skargi i wyznacza termin do złożenia piśmiennęj odpowiedzi, a po minięciu dopięro tego terminu wyznacza sąd dzień do rozprawy, w którym oczywiście mąż ma prawo i sposobność odpierania żądań żony, i w którym zapada dopięro postanowienie sądu mogące upoważnić żonę do wytoczenia procesu przeciw mężowi; na mocy zaś tego upoważnienia żona dopięro występuje z właściwą sprawą, o zobowiązanie męża do dostarczania jęj utrzymania, lub o odjęcie mu zarządu i użytkowania, poczém znów następuje doręczenie mężowi kopii skargi i dokumentów, wyznaczenie terminu do odpowiedzi, wyznaczenie dnia do rozprawy; a w tym dniu choć zapadnie wyrok stanowczy zasądający żądanie żony, to wyrok ten nie jest prawomocnym i wprowadzonym w wykonanie być nie może, ale służą mężowi zwyczajne środki proceduralne, jak np. opozycya w razie zapadnięcia wyroku zaocznego lub apelacya. Tym sposobem może upłynąć bardzo wiele czasu nim żona osiągnie cel zamierzony.

Nadmienić tu wypada, że żonie służy, jak to już wspomniałem, prawo zabezpieczenia hipotecznego swych praw, to jest tak zwana hipoteka prawna. Jeśli mąż jest właścicielem nieruchomości, mającej hipotekę, lub praw hipotecznie dla niego zabezpieczonych, to żona ma prawo bez upoważnienia nawet sądowego sama stawić się w wydziale

hipotecznym i zażądać wpisania na prawach męża hipoteki prawnej, co się dopełnia przez określenie sumy, w jakiej żona uznaje swe prawa za zagrożone. Nakoniec prawo po ustaniu władzy mężowskiej daje żonie w celu wycofania swego mienia nader obszerne środki wykazywania, jaki wniosła majątek mężowi, pozwalając jej powoływać się nie tylko na pisma domowe, domniemania i badanie świadków, ale nawet na wieść publiczną.

Że prawodawca stanowiąc przepisy o małżeństwie i stosunkach z niego wynikających, napotyka niezmiernie trudności, temu niepodobna zaprzeczyć. Z jednej strony małżeństwo jest podstawą rodziny, utrzymanie jego świętości nie tylko ze względu na jego stronę religijną, ale i ze względu na los tych istot, które z małżeństwa na świat przyszły, jest pożądanym; z drugiej jednak strony słabość natury ludzkiej, jej skłonność do złego, stawiają owe szkopyły, których prawodawca ominąć i usunąć nie jest w stanie.

Wielu prawoznawców krytykują nasze prawo co do stosunków majątkowych między małżonkami na przypadek niezawarcia umowy przedślubnej. Znajdujemy istotnie w innych prawodawstwach inaczej urządzone te stosunki. I tak we Francyi stosunkiem prawnym w razie niezawarcia umowy przedślubnej jest wspólność, ale wspólność tylko majątku ruchomego i dorobku w czasie małżeństwa. I tu jednak mąż w czasie małżeństwa ma zupełną przewagę, jest on prawem wspólności, jak się wyraża znakomity nasz prawoznawca Dutkiewicz, może również żonie odmawiać odpowiedniego utrzymania i majątek żony złym zarządem narażać na upadek; i tu prawodawca musiał żonie dać środki bronięcia swego mienia, a mianowicie w trakcie małżeństwa proces o rozłączenie co do majątku, a po rozwiązaniu małżeństwa zrzeczenie się wspólności, tudzież środek zabezpieczenia praw żony przez zapisanie na majątku męża hipoteki prawnej.

W szeregu prawodawstw spotykamy i takie, gdzie żona pod względem majątkowym jest zupełnie niezależną od męża, tak jakby była mu obcą; mąż od żony i żona od męża mogą wzajemnie kupować, sprzedawać, wydzierżawiać, oddawać w zastaw swoje majątki, zaciągać pożyczki i wszelkie inne zobowiązania. Czy jednak ten stosunek wolnym jest od krytyki, czy nie wywołuje on w praktyce niewłaściwości? Najprzód w samej zasadzie przedstawia on sprzeczność; żona pod względem osobistym pozostaje także pod władzą mężowską, musi mu być posłuszną i iść za nim wszędzie, gdzie mu się iść podoba; jakże tu pogodzić owo posłuszeństwo z zupełną niezależnością majątkową? W praktyce często się zdarza, że żona zamożna opłaca się mężowi za tolerowanie wykroczeń przeciw obowiązkowi i władzy mężowskiej.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby młoda kobieta zdawała sobie jasno sprawę z tego, w jaki wchodzi stosunek wstępując w związek małżeński, gdyby rodzice wydający córkę zamaż więcej byli obznajmieni z prawami obowiązującymi, daleko częściej zawicranoby umowy przedślubne, bo właśnie umowy przedślubne mogą urządzać stosunki mają-

tkowe między małżonkami, tak, iżby prawa majątkowe żony były lepiej zabezpieczone.

Mówiłem wyżej, że kodeks cywilny zostawia wszelką swobodę układania się co do stosunków majątkowych w umowach przedślubnych. Jednak te układy dają się sprowadzić do pewnych typów. O tych więc typach musimy coś powiedzieć.

Można zatem umówić wspólność wszelkich majątków, lub wspólność tylko majątku dorobkowego, lub też kobieta zawierająca małżeństwo może sobie zastrzedz zupełną niezależność majątkową w ten sposób, że tak zarząd, jako i dochody z jej majątku, będą należały do niej wyłącznie, a nawet przykładanie się do ciężarów małżeństwa może być zależnym od umowy. W razie zastrzeżenia zupełnej niezależności majątkowej dla żony, czyli, jak to wyraża nauka, w razie zastrzeżenia rozdziału co do majątku, jeśliby mąż skutkiem samej umysłowej przewagi objął w swój zarząd majątek żony, miałby on tylko charakter pełnomocnika żony i takie pełnomocnictwo w każdym czasie może być cofnięte, a zarząd odebrany. Można nawet zastrzedz, że nieruchomości żony przez czas trwającego małżeństwa nawet za zezwoleniem męża zbywane i obciążane być nie mogą, i że kapitały jej hipotekowane podnoszone i zbywane nie będą.

Z kolei nadmienić wypada, że jeśli między małżonkami zajdą okoliczności, z powodu których nastąpi sprawa o unieważnienie, rozwód, lub separacją, wolno jest małżonkom po rozpoczęciu sprawy zawrzeć umowę w akcie notaryalnym co do urządzenia stosunków majątkowych na przypadek, gdy unieważnienie, rozwód, lub separacja będą stanowczo wyrzeczone.

Powiedziałem wyżej, że stosunki majątkowe, z powodu małżeństwa wynikłe, są dwojakie, to jest: stosunki majątkowe między małżonkami w czasie trwania małżeństwa, tudzież prawa, jakie służą małżonkowi do majątku drugiego małżonka po ustaniu małżeństwa.

Lubo prawa małżonka do majątku drugiego małżonka na przypadek ustania małżeństwa są zupełnie jednakowe dla mężczyzn i kobiet, dla pewnej jednak całości wypada mi powiedzieć o tych prawach, z których kobieta z powodu małżeństwa korzysta.

Małżeństwo ustaje i pożycie małżeńskie przecina się czworakim sposobem: 1) przez śmierć jednego z małżonków; 2) przez unieważnienie małżeństwa zawartego bez względu na brak warunków koniecznych, lub bez względu na przeszkody rozrywające małżeństwo, lub wreszcie bez zachowania form do ważności małżeństwa koniecznych; 3) przez rozwód i 4) przez separację na czas nieograniczony.

Po śmierci małżonka otwiera się po nim spadek, w którym podług naszego prawa pozostały przy życiu małżonek bierze udział. Udział ten może być również umówiony w umowie przedślubnej; ale jeśli umowa przedślubna nie istnieje, lub też w niej o udziale w spadku nie ma zastrzeżeń, w takim razie prawo stanowi o tymże udziale.

Udział ten jest zależnym od tego, z jakimi spadkobiercami zmarłego pozostały przy życiu małżonek przychodzi do spadku.

Jeśli zmarły małżonek pozostawia dzieci lub wnuki, czyli w ogóle zstępnych, w takim razie pozostały przy życiu małżonek otrzymuje po zmarłym współmałżonku część spadku równą części, jaką na każde dziecko przypada, licząc pozostałego małżonka przy podziale spadku za jedno dziecko; ale część ta służyć mu będzie tylko do użytkowania dożywotniego. Jeśli niema dzieci ani zstępnych, lecz znajdują się krewni zmarłego małżonka aż do czwartego stopnia włącznie, pozostały przy życiu małżonek otrzymuje czwartą część spadku na własność; gdy niema krewnych do czwartego stopnia włącznie, lecz są dalsi do dwunastego stopnia włącznie, pozostały małżonek otrzymuje połowę spadku na własność; a gdy niema krewnych do dwunastego stopnia, cały spadek przechodzi na pozostałego małżonka. Cały ten udział w sukcesyi ulega pewnej modyfikacyi, gdy prócz dzieci prawych, lub dalszych krewnych, przychodzą także do spadku i dzieci przyznane przez zmarłego małżonka. Nakoniec należy nadmienić, że małżonek ma prawo zmniejszyć przez testament do połowy udział współmałżonka w spadku.

Jeśli małżeństwo ustaje z powodu unieważnienia, rozwodu lub separacyi na czas nieograniczony, w takim razie prawo dla małżonka niewinnego zachowuje wszelkie korzyści z majątku winnego współmałżonka, jakie mu albo z umowy przedślubnej albo z prawa są zastrzeżone, tak iż niewinny małżonek ma prawo wygzekwowania od małżonka winnego za jego życia schedę sukcesyjną dlań przypadającą.

W dalszym ciągu praw kobiety należy zauważyć, że prawa jakie jęj ze względu na jęj płeć przysługują, ustawa uważa za prawo przywiązane do osoby, że zatem kobięta zamęzna poza obrębem naszego kraju, a więc nie pod panowaniem naszego prawa, jeśli tu zamieszka przynosi z sobą te prawa, jakie jęj przysługiwały tam gdzie zawarła małżeństwo. Zatem kobiety mężatki z Cesarstwa tu przybyłe, nie ulegają ograniczeniom przez nasze prawa dla mężatek przepisany. I tak, mężatki z Cesarstwa mogą tu zawierać umowy i sporządzać akty notaryalne lub prywatne bez upoważnienia i asystencyi męża; wszelako o ileby nabywały nieruchomości w kraju tutejszym położone, musiałyby się stosować do praw u nas obowiązujących. Kobięta pochodząca z miejscowości, w których nasze prawo nie obowiązuje, jeśli zawiera małżeństwo z tutejszym poddanym, staje się przez to samo tutejszą poddaną i ulega ograniczeniom jakie nasze prawo względem mężatek stanowi. Nawzajem tutejsza poddanka wychodząc zamąż za mężczyznę takiej miejscowości, w której nasze prawo nie obowiązuje, przestaje być poddaną tutejszą i korzysta z takich praw jakie obowiązują tam gdzie mąż jęj jest poddanym. Chociażby nawet taka mężatka zamieszkała w kraju tutejszym, nie przestaje ona co do praw swych osobistych ulegać prawom tęj miejscowości, gdzie mąż jęj był poddanym.

Przechodzę z kolei do stosunku matki względem swych dzieci.

Dzieci aż do pełnoletności, to jest do skończenia lat 21 zostają pod władzą rodzicielską. Władzę rodzicielską sprawują oboje rodzice. Prawodawca słusznie przypuszcza, że w normalnym stosunku udział obojga rodziców powinien się odbijać w wychowaniu przyszłych pokoleń. Ojciec głównie powinien wpływać na kształcenie umysłu dziecka, matka kształci w niem uczucie.

Rodzice mają obowiązek żywić, utrzymywać i wychowywać swe dzieci. W razie różności zdań między rodzicami co do utrzymywania i wychowywania dzieci, zdanie i wola ojca przeważa.

Gdy jedno z rodziców zeszło ze świata, albo z pewnych powodów nie może spełniać władzy rodzicielskiej, w takim razie władza rodzicielska w ścisłym brana znaczeniu ustaje; następuje władza opiekuńcza. Prawda, że pozostały przy życiu czy to ojciec czy matka, staje się z samego prawa opiekunem swych nieletnich dzieci, i co do niektórych szczegółów, przysługują mu prawa z władzy rodzicielskiej wynikające, ale ulega on już kontroli władz opiekuńczych, jakoto opiekuna przydanego i rady familijnej; a nawet i władz państwowych, mianowicie prokuratora i sądów.

Prawodawca nie widział dostatecznej rękojmi dla nieletnich w samą już miłość rodzicielską pozostałego przy życiu rodzica, skoro doświadczenie uczy, że nawet to uczucie rodzicielskie przy zmianie stosunków chłodnie niekiedy, a nawet zmienia się w niechęć. Widzimy zatem, że kobieta-matka pozostaje z samego prawa opiekunką swych dzieci, skoro mąż zejdzie ze świata, lub też z powodów innych, jak np. z powodu choroby umysłowej męża lub kary głównej pozbawiającej męża praw familijnych, ustaje władza rodzicielska. Może jednak ojciec pozostały przy życiu matce i opiekunce wyznaczyć jednego lub więcej doradców, których matka w rzeczach opieki radzić się powinna. Również w razie rozwiązania małżeństwa przez unieważnienie, rozwód lub separacyą, matka o ile jest stroną niewinną, samą przez się prawem staje się opiekunką swych nieletnich dzieci. Jeśli jednak matka-opiekunka chce wstąpić w nowy związek małżeński, powinna zażądać zwołania rady familijnej, która postanowi, czyli opieka przy niej ma pozostać; gdy zaś matka tego zaniedba, utracą opiekę samą przez się prawem, lubo do niej może być przez radę familijną przywróconą.

Matce także służy prawo czy to przez testament, czy nawet przez akt przed którymbyś sądem lub urzędem zeznany, obrania opiekuna dla swych dzieci, jeśli ojciec nie żyje lub opieki sprawować nie może.

Jeśli rodzice dziecka nie żyją, babka ich opieki z samego prawa nie sprawuje, ale babki i dalsze wstępne tak z linii ojczyściej jako i z linii macierzystej w stanie wdowieńskim żyjące, mają prawo brać udział w radzie familijnej swych wnuków i dalszych zstępnych, a nawet sprawować nad nimi opiekę, o ile im takowa przez radę familijną zostanie

nadaną. Siostry lub inne krewne nieletnich, do rady familijnej należeć nie mogą.

Matka-opiekunka ma prawo nieletnie swe dziecię usamowolnić, jeśli ono jest w wieku przez prawo oznaczonym, to jest ma najmniej lat 15 skończonych, i w tym razie staje się z samego prawa kuratorką usamowolnionego swego dziecka; żona zaś mężczyzny uznanego za bezwłasnowolnego z powodu choroby umysłowej, może być przez radę familijną mianowaną jego opiekunką.

Kobięta na równi z mężczyzną ma prawo w warunkach prawem określonych przysposobić osobę obcą, to jest nadać mu prawa swego dziecka lub wziąć na opiekę cudze nieletnie dziecię. Oczywiście prawa te przysługują jęj bez ograniczenia, o ile jest wolną; jeśli zaś jest mężatką, potrzebuje w tych razach zezwolenia męża.

Mówiąc o dzieciach, mieliśmy na myśli dzieci w porządku prawnospołecznym na świat przychodzące. Są przecie niestety wypadki, że ojciec lub matka, albo i to i drugie nie przyznają się do rodzicielstwa dziecka. Tu także prawo nasze nie stawia na równi kobiety z mężczyzną. Owszem, mężczyzna o ile nie jest mężem matki dziecięcia, może nie przyznać się do ojcowstwa i takowego prawo cywilne poszukiwać zabrania. Matka przeciwnie nie może nie przyznać dziecka, jeśli fakt macierzyństwa zostanie udowodnionym. Słowem, jeśli dziecię urodziło się nie na łonie małżeństwa, a matka dobrowolnie go nie przyznaje, dziecko ma prawo udowodnić kobiecie, że jest jego matką, a taka matka ma obowiązek dać temu dziecku sposób do życia, a tymczasem żywić je i wychowywać.

Pozostaje mi jeszcze dodać, że prawo cywilne i handlowe uwzględnia w pewnym stopniu słabość płci niewieściej; i tak: wedle prawa handlowego podpis kobiety niehandlującej na wekslu, nie daje przeciw kobiecie rygorów prawa wekslowego. Tudzież tak kodeks cywilny, jako i ustawa postępowania sądowego z r. 1864 w przepisach o przymusie osobistym, rządzą się pewną względnością dla kobiet.

SCEPTYCY, STOICY I EPIKUREJCZYCY *)

PRZEZ

Wojciecha hr. Dźieduszyckiego.

II.

Panie i Panowie!

Gdy tu niegdyś miałem zaszczyt przemawiać, musiałem już niejednokrotnie wymówić imię Demokryta z Abdery w Tracyi. Myśliciel ten, lekarz z zawodu, żył jeszcze za czasów drobnych a udzielnych państweczek municypalnych i zdobył sobie wielką sławę, przedewszystkiem w lekarskim zawodzie; opowiadają o nim, że przypisał sobie tak mądrą dyetę, że dożył stu lat. Gdy czuł, że jednak śmierć się zbliża, potrzebował dla jakiegoś interesu przeżyć przez trzy dni; przyrodzony i przewidziany kres żywota i nauka jego nie odmówiła mu przysługi: przez trzy dni utrzymywał się sztucznie przy życiu, nie przyjmując żadnego pokarmu, a wachając tylko chleb, czyli raczej bułkę, bo bułkę tylko jadał Grecy.

Jak to często u lekarzy bywa, przyszedł w ciągu dłużej praktyki do przekonania, że niema duszy w człowieku; wszystkie zjawiska życia tłómaczył sobie za pomocą praw fizyki, i przekonał się w dodatku, że usposobienie i rozum każdego człowieka zawisły od budowy jego ciała i od stanu jego zdrowia, i ztąd wyciągnął wniosek, że myśli i zamiary są tylko bardziej uchwytne układowi cząstek cielesnych. Z tych wniosków wynikał z konieczności wniosek dalszy, że człowiek umiera cały gdy umiera jego ciało; nieśmiertelność duszy bajką i zabobonem, a śmierć naprawdę nieprzerwanym nigdy a wiecznym snem. Śmiesznością tedy to, co prawią o strachach nocnych, o karach i nadgrodach pośmiertnych, i o gniewie bogów. Tém stare baby straszą dzieci, a strach trwa u mężów dorosłych i zatruwa im życie, i przeszkadza im

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za miesiąc lipiec r. b.

w rozumnym działaniu. Obowiązkiem filozofa tedy prawdą wypowiedzianą uwolnić rodzaj ludzki od tego strachu.

Dodatkiem do zabobonu: wiara w bogi nieśmiertelne, a sprawiedliwie rządzące światem. Życie pełne dowodów, że bogowie nie dbają o ludzkie czyny; ileto razy bluźnierca i niedowiarek żyje długo i szczęśliwie; ileto razy śmierć okropna porwała bogobojnego bogów sługę! A jeśli powiemy, że nie można sobie bogów wyobrażać na podobieństwo mściwych ludzi, i że nie za ofiary i modlitwy nadgradzają, jedno za czyny sprawiedliwe, sprzeciwimy się przedewszystkiem nauce wszystkich na świecie kapłanów, a potem nie obronimy bogów. Bo któż nie widział zbrodniarza i kłamcy, pozostającego do śmierci szczęśliwym, bogatym, potężnym i nawet poważanym człowiekiem? Któż nie był świadkiem tego, jak wszystkie nieszczęścia i hańba nawet waliły się na głowę sprawiedliwego?

Uznają to wszystkie narody. I na to, by bogów urojonych obronić przed słusznemi zarzutami, wymyślili ludzie baśń o nieśmiertelności duszy, i o tém, że sprawiedliwość spełni się dopiero w innym życiu. Demokryt nie mógł wierzyć w nieśmiertelność ową; i jakżeż miał wierzyć w bogi? Jeśli są, to chyba nas nieobchodzą zgoła i nie wtrącają się do rządów ziemi. Możemy i powinniśmy żyć bez bojaźni bogów i sądu pośmiertnego, bez niewolniczego zabobonu; powinniśmy się cieszyć każdą chwilą życia udzielonego nam, niebojąc się nadprzyrodzonych mocy, i niespodziewając się nagród nadprzyrodzonych.

Oto była nauka Demokrytowa. Za dni Zenona odnowił ją i wydoskonalił w Atenach Epikury, i przeciwstawił ją surowemu a wzniosłemu systematowi stoików. Epikury był synem nauczyciela wiejskiego z Attyki; zawczasu zapragnął wiedzy, a nabywszy jęj, jak sądził, podstatkiem, zabrał się do Mityleny na wyspie Lezbos, gdzie mu się wydało prawdopodobnym, że i niesławny profesor z Aten zarobi sobie na chleb dostateczny. Nie zawiodły go nadzieje. Już jako człowiek dość zamożny przeniósł się z Mityleny na łód Azyi Mniejszej do bogatego Lampsaku. Tu nabył już dość reputacyi i dość majątku, by się mógł odważyć na powrót do Aten. Kupił sobie teraz w stolicy wiedzy dworek przedmiejski z ogrodem, i w tym ogrodzie gromadził dokoła siebie szczupłe a zaufane grono przyjaciół, z którymi rozmawiał potrosze o wszystkim, i którym odczytywał mnogie swoje pisma. Podziwiano go nad miarę w ogrodzie, i filozofią jego zwano téż czysto filozofią ogrodu.

Oto jęj zarys ogólny.

Świat powstał przypadkiem. Każdy naród co innego prawi o powstaniu świata. Napozór zgodne te baśnie przeczto, że wszystkie przypisują bogom współudział jakiś przy powstaniu świata; ale przypatrzwszy się rzeczy z blizka, pozna każdy, że ta zgoda podań ludowych, ułudą. Jedne narody mówią, że materya istniała od początku, i że bogowie użyli jęj na to, by z nięj świat zrobić rozmaity. Inni przypisują samotnemu Bogu moc cudowną, za pomocą której z niczego

świat stworzył. Jedne podania twierdzą, że świat i bogowie wyłonili się wespół z jakiegoś pierwotnego jaja, a przypisują bogom tylko stworzenie rodzaju ludzkiego; inni przypisują ślepej materii moc twórczą, na mocy której i bogów wydała i ludzi, tylko że ludzie z razu dzicy i do bydła podobni, otrzymali od bogów i prawa, i ogień, i ziarno do pierwszych zasiewów; są nawet baśnie, wedle których pierwotnie nieśmiertelne i wszechwiedne prawie ludzkie plemię zostało zepsute i zgubione za sprawą zazdrosnych bogów. Według jednych podań, świat istniał od lat kilku tysięcy; inne podania przypisywały królestwom ludzkim trwanie milionów lat, i mówiły o tém, że dawni królowie panowali czasem i kilkanaście tysięcy lat, wstąpiwszy już na tron w podszłym wieku. Każdy naród inaczej opowiada początek dziejów ludzkich; z różnych tych opowiadań, wymyślonych przez samochwalstwo różnych narodów, widać wyraźnie że zaginęła pamięć najdawniejszych dziejów ludzkości; i jakimżeby cudem miała się była zachować pamięć dawniejszego jeszcze powstania świata i rodzaju ludzkiego?

Człowiek rozumny nie wierzy żadnemu świadectwu, skoro usłyszy wiele sprzecznych z sobą świadectw. To téż człowiek rozumny nie wierzy żadnemu ludowemu podaniu o stworzeniu świata, i przypisze bezpiecznie przypadkowi powstanie wszechrzeczy. Atomy różnorodne i często haczkami opatrzone, lecą nieustannie, w otchłań, nadół, zderzają się w locie swoim i wiążą w różne figury, i tym sposobem powstają ciała rozmaite, i rozmaite wonie, widma i odgłosy napełniające świat. Tym sposobem powstała ziemia, powstały widziane przez nas gwiazdy, i powstały zapewne mnogie inne światy, o których nie mamy i nie możemy mieć żadnego wyobrażenia. Ludzie, którzy wierzą w moc bogów twierdzą, że ład i porządek tego świata, jest dowodem niezrównanej mądrości jego twórców, ale to twierdzenie, jawném dzieciństwem. Niema przyczyny, dla którejby nie było powstało mnóstwo światów nieprzebieżone, nieskończone. Pusta przestrzeń niema kresu granic; wszędzie wśród przestrzeni zderzają się atomy, wszędzie tedy powstały światy. Ogromna większość światów tych chaosem nieprzejrzany. Wypadkiem istnieje ład jakiś w naszym świecie, i nic dziwnego, że pośród mnóstwa niezliczonego gałek, znalazło ślepe przeznaczenie także jedną gałkę białą; prawdopodobnie nawet istnieją gdzieś wśród przestrzeni światy o wiele lepsze od tego tu, w którym śmierć i nienawiść, choroba i boleść tak wielkie miejsce zajmują.

Na naszej ziemi powstały organizmy, w których gra rozmaitych sił przyrody rodzi na pozór wolne choć w samej rzeczy konieczne ruchy. Organizmy te zrazu zupełnie pierwotne doskonały się przez długą wieków kolę i stały się wreszcie tém, czém są obecnie, mnogim zarodem rozmaitych, misternych a pięknych roślin i zwierząt. Pośród nich występuje na naczelne miejsce ród ludzi, podobny z budowy do większych zwierząt lądowych; mnogie sploty jego mózgu, misterna budowa oczu i uszu, wielka drażliwość i giętkość palców, gardzieli i je-

zyka, i pewne tajne własności serca i wątroby zrodziły u ludzi mnóstwo najrozmaitszych poruszeń i uczuć, które przypisujemy działaniu rozumu i rozwagi, a które tłum nieuczony przypisuje istnieniu jakiejś niebiańskiej i nieśmiertelnej duszy. Demokryt już dowiódł, że to zabobon bezrozumny. Nikt nie widział zdrowej myśli w chorym mózgu, nikt nie widział czynów, nikt nie słyszał rozumowania martwego ciała albo jakiejś niecielesnej istoty. Istnieją wprawdzie mnogie powieści o widzeniach i upiorach, podobne do tych, które nam opowiadają o wyroczeniach i cudach. Ale te powieści mędrca nie przekonają.

Cuda, wróżby i widzenia trafiają się najczęściej w czasach bardzo odległych, albo u ludów bardzo ciemnych i zabobonnych. Prawie o nich niesłychać w czasach bliższych nas i pośród społeczeństw oświeconych. Ktoby wierzył w cuda i widzenia, tenby musiał chyba przypuścić, że duchy umarłych i bogowie mieli niegdyś zwyczaj mieszanego się w sprawy greków, że to dziś zaniechali, i że teraz łaskawi tylko na barbarzyńskie zgoła i nieokrzesane narody. A rzeczą oczywistą, że to niedorzeczne przypuszczenie.

Ktoś może powie, że przecież i w Atenach słyhać o widzeniach i cudach zdarzających się za samychże dni Zenona i Epikurego. Ale gdy się dopytamy o bliższe szczegóły tych zjawisk, dowiemy się niezawodnie, że to jakaś stara zabobonna baba widziała nieboszczyka męża we śnie, i myślała potem, że go ujrzała na jawie; albo że jakiś niemniej zabobonny filozof stoik wmawia w siebie uparcie, że to widział, co mu się tylko przywidziało, co sobie najczęściej z największym wyteżeniem woli wyobraził.

A gdyby nawet mędrzec prawdziwy i trzeźwy umysł widział na jawie i naprawdę umarłego znajomego i rozmawiał z nim, nie dowiedziałoby to nieśmiertelności duszy, bo nic zgoła nie może dowieść rzeczy sprzeciwiającej się tak najzupełniej codziennemu doświadczeniu i zdrowemu rozsądkowi. Gdyby się stało to, cośmy tu dopiero przypuścili, trzeba by uwierzyć w nadzwyczaj wyraźne przywidzenie, spowodowane przez nieznaną nam przyczynę fizyczne. Najprędzej latają po świecie jakieś widma czy obrazy istot istniejących dziś, a podobnie i tych istot, które niegdyś istniały; takie zupełnie nieistotne widma, takie cienie odbite niegdyś od jakiegoś zwierciadła, budzą w nas wspomnienia wyraźne, wyobrażenia wykończone, sny i czasem przywidzenia.

Nieśmiertelności duszy żadną miarą przypuścić nie powinniśmy. Wymyślono ją na to, żeby przypuścić jakąś sprawiedliwość bogów. Słabsi wymyślili sprawiedliwość, cnotę i obowiązek, pojęcia dowolne, którymi krępują wolę mocniejszych. Pomysły te mają swoje usprawiedliwienie; umożliwiają życie społeczne, i każdy prawodawca musi je uznać, i musi ludzi zmuszać do tego, by zważali na te pojęcia, zachęcając nagrodami i grożąc karami; bez tego żadne społeczeństwa się nieostały. Ale mędrzec wie, że te pojęcia nie mają głębszego źródła w naturze rzeczy; to wymysły ludzkie: tylko ludzie winni cnotliwego nagradzać, karać występnego. Gdy ludzie tego nie zrobią, nie zrobi

tego napewno przyroda; i zbrodniarz, który uszedł z rąk ludzkiej sprawiedliwości, może być tak samo szczęśliwy, jak mąż najcnotliwszy. Bogowie z pewnością go nie ukarzą ani w tym, ani w tamtym świecie. Bajką i nedorzecznością zasługa inna, jak zasługa czysto ludzka, konwencyonalna i społeczna. Ludzie nie są panami swoich czynów i wolna wola jest złudzeniem. Bo i zkadżeby miała się wziąć wolna wola? Całym światem rządzi przypadek działający wedle prawa przyczyny i skutku, a czyny ludzkie zawisły jedynie od budowy ciała i od wpływów otoczenia. Kto inaczej mówi, ten przeczy jawnemu porządkowi świata, ten przypuszcza możliwość najniedorzeczniejszego chaosu, i ten uniemożliwia wszelką ludzką naukę, boć przecie nauka ludzka tylko badaniem ciągu przyczyn i skutków nieodmiennych i jednostajnych. Zbrodniarz jest zbrodniarzem na mocy budowy ciała i swego; nie jest winniejszym od głupca i od obłąkanego; a bohater niema większej zasługi od człowieka pięknego. I jakieżby to były bogi, któreby zbrodniarza karały po śmierci za rzeczy, których wcale nie zawinił, za rzeczy, które sprowadziła ślepa, nieubłagana konieczność? Mędrzec śmieje się ze sprawiedliwości pośmiertnej i z pośmiertnego życia. Nie istnieją dlań te strachy. On się śmierci nie boi; wie, że jest tylko nicestwem i że nicość nic cierpieć nie może. Bez trwogi tedy żyli Epikur i najmędrszy pośród jego słuchaczy, przyjaciel jego nieodstępny Metrodor; a grono tych, co się schodziło w ogrodzie, chwaliło mistrza, mówiąc, że on prawdziwym ludzkości bogiem, skoro ludzkość wybawił od zabobonnej trwogi.

Ogół nie pojął nauki Epikura. Wielu w Atenach gorszyło się tą nauką. Wielu twierdziło, że to ateizm najwidoczniejszy, najbezpieczniejszy, że to nauka najzgubniejsza, podkopująca wszelkie podstawy ładu społecznego, którego nigdy nie zdoła utrzymać, sam tylko strach przed katem. Słyszając te złorzeczenia, uśmiechał się tylko Epikur.

Przedewszystkiēm nie był ateuszem. Nie wiedział nic o bogach, ale bynajmniej nie przeczył bogom. Przypuszczał owszem, że istnieją gdzieś poza granicami świata i wiedzy ludzkiej; wiedział tylko, że w tym świecie niema ani śladu ich działania. Być może, że atomy zderzyły się gdzieś poza tutecznym światem tak, że z tego zderzenia powstałi nieśmiertelni, wiecznie szczęśliwi i nad wyraz piękni bogowie. Dlaczegoż nie? Epikur przyznawał nawet, że chce w to wierzyć wobec powszechniej ludów zgody. Nie wie tylko i nie może wiedzieć, jacy to są bogowie? nic o nich zgoła twierdzić nie może, nie bawiąc się w poezję i w czcze domysły. Są, ale jacy są i ilu ich jest, tego nikt nie wie i tu nawet zgoda ludów powszechna nic nam powiedzieć nie może, skoro każdy naród wierzy w zupełnie innych i niepodobnych do siebie bogów. Dla jednych bóstwo abstrakcją jakąś nieuchwytną; drudzy przewalili bogami jakichś nieśmiertelnych ludzi, przebywających na niebie; inni wreszcie czczą zwierzęta, gwiazdy, albo żywioły i ci jedni znają naprawdę swoich bogów, ale źle czynią, przezywając bogami rzeczy tuteczne, a pozbawione rozumu.

Epikur mógł tylko twierdzić z pewnością, że bogowie nie mają zgoła żadnego związku ze światem, a to przekonanie dawało mu właśnie bardzo wysokie wyobrażenie o potędze, dobroci i wszechmocy bogów. Nie da się zaprzeczyć istnienie cierpienia na świecie, i każdy z nas może sobie łatwo wyobrazić świat o wiele lepszy i pozbawiony cierpienia, podobny do tego, o którym prawią poeci, opisując Olimp, albo błonia Elizejskie. Skoro ten świat nie jest doskonałym, skoro pod wieloma względami jest zły i bardzo zły, bluźnierstwem utrzymywać, jakoby bogowie byli czyto świat ten stworzyli, czyto tylko kiedykolwiek wpłynęli na tok ziemskich zdarzeń. Wtedy musielibyśmy przyznać jedno z dwojga: albo to, że bogowie są źli, że mają upodobanie w cierpieniu, i że dla okrutnej rozkoszy świat ten uczynili złym; albo też, że bogowie niemocni, i że zło przeto sami mimowoli cierpią, ponieważ nie mogą mu przeszkodzić. Otóż kto bogom chce oddać cześć powinna, ten uzna prawdę nauki Epikura, i ten uwierzy, że istnieją gdzieś poza światem, tam, gdzie żadna styczność z nimi nie jest możliwą, że o nich nic zgoła wiedzieć nie możemy, że nie dbają o nasze czyny, o nasze cierpienia, o nasze modlitwy i ofiary, że niczego nie pożądata, niczego nie pragną, i że trwają w zupełnej bezczynności wśród nieskazitelnego szczęścia.

Podobnie bezpodstawnym, jak zarzut bezbożności, i zarzut, jakoby nauka Epikura zagrażała podstawom ładu społecznego. I owszem, gdyby kiedy epikureizm stał się powszechną własnością wszystkich, nie potrzebaby więcej wśród miast karzącej ręki kata, i ludzie byłiby o tyle szczęśliwymi, o ile w ogóle mogą być szczęśliwymi na mocy natury swój. Wszystko, co wiemy, wskazuje na tę prawdę, że rodzaj ludzki doszedł do dzisiejszej oświaty zapomocą długowiecznego postępu. Początki ludzkości były zwierzęce zgoła; dopiero po tysiącach wieków może, szczęśliwy traf oddał w ręce ludzi moc krzeszenia ognia; ognisko stało się początkiem rodziny i wszelkiej cywilizacji, stało się naprawdę dopiero początkiem ludzkości, i jeśli co można sprawiedliwie nazwać opiekuńczym i dobroczynnym bóstwem, dawcą wszelkiej nauki i sztuki, to chyba ognisko domowe. Przy nióm łupano zrazu krzemiona, zapomocą których odpędzano drapieżnych mieszkańców puszczy; w ogniu topiono później spiż i nareszcie żelazo, a gdy raz człowiek posiadał żelazo, zbudował miasta, postanowił prawa i założył podwaliny odtąd coraz doskonalszej nauki. Z Epikuryzm nastąpiła nowa i najdoskonalsza doba dziejów ludzkich; już postęp ludzkości dochodził do kresów swoich. Odtąd ludzkość uwolniona od zabobonnej trwogi, od uciążliwego nabożeństwa, i od jarzma nałożonego na dusze i rozumy przez kłamiących i łakomych kapłanów bóstw wymyślonych, mogła zażywać owoców prawdziwej mądrości. Odtąd nie słuchała już baśni niedorzecznych o bogach, o pierwszych ludziach, cudotwórcach i bohaterach; odtąd nie miała już marnować czasu na dysputach o rzeczach, o których nic zgoła wiedzieć nie można, jako to o Bogu, wolności woli i nieśmiertelności duszy, a czas wolny miała obrócić na badanie i opa-

nowanie przyrody, i na poznanie własnej natury i własnych potrzeb. Skończyło się dzieciństwo ludzkości, nastał wiek męskiej rozwagi.

Mędrzec epikurejczyk będzie miał na celu dogodzenie istotnym potrzebom swojej natury. Potrzebę każdą oznacza żądza, a zaspokojenie potrzeby każdej sprawia rozkosz; udaremnienie żądzzy zowiemy boleścią. Oto mędrzec powinien o tém myśleć, jakby mógł dostąpić jaknajwięcej rozkoszy w życiu swoim. Rozum i doświadczenie nas przekonują, że są rozkosze trojakie: przyrodzone i konieczne, przyrodzone i zbyteczne, przeciwne naturze i zbyteczne. Pierwsze każdy człowiek, chcący żyć, musi zaspokoić; drugich poszukuje mędrzec; trzecich unika.

Rozkoszą naturalną i konieczną sen, zdrowe jadło i napój. Jest to prawem powszechném, że to, co jest potrzebném zdrowemu człowiekowi, jest zarazem przyjemném; bez tej przyrodzonej harmonii nie mógłby rodzaj ludzki istnieć; stroniłby człowiek każdy od tego, bez czego się obejść nie może i zginałby marnie; nie żadna boska mądrość przeto tak zestroiła potrzeby ludzkie; jest to dziełem przypadku o tyle koniecznego, że jemu tylko zawdzięcza rodzaj ludzki swoje istnienie. Tak jak tedy świat się w całość ułożył, ma człowiek każdy nieprzebrane źródło szczęścia w codziennych najkonieczniejszych zajęciach; jé, pije, śpi, prócz tego używa nawet bez własnego przyczynienia innych rozkoszy nieustannych: oddycha, widzi światło dzienne i mnogie wielobarwne przedmioty, słyszy tony, czuje wreszcie ciało swoje. Jeśli mimo to wszystko nie jest szczęśliwy, to chyba dlatego, ponieważ własnemu szczęściu użyć nie umie.

Rozkosze drugiego rodzaju, naturalne a zbędne, nie są koniecznymi dla utrzymania jednostki; bez nich jednak rodzaj ludzki albowy nie istniał wcale, albo nie wzbliły się ponad stan zwierzęcy. Całą cywilizacją ludzką zawdzięczamy temu szczęśliwemu trafowi, że właśnie ten drugi rodzaj rozkoszy jest rozkoszą. Mędrzec powinien jéj hołdować, powinien jéj poszukiwać, a wtedy nietylko sam będzie szczęśliwym, ale oprócz tego uszczęśliwi społeczeństwo ludzkie.

Pociąg rozkoszny kojarzy z sobą obie płcie ludzkie, rodzi miłość tęskną i szczęśliwą, spokojne małżeństwo. Rodzinę uświęca jeszcze przyzwyczajenie, a niewieście miło, gdy skromnie mężowi ufa, mężowi dobrze, gdy się mężnie żoną opiekuje; pociąg błogi i potężny kojarzy siłę ze słabością i tém umożliwia szczęście jednostek, trwanie rodzaju fizyczne. Ku temu samemu celowi dąży miłość dla dzieci i dziecinne pragnienie nauki i pieczyoty. Rodzina dla mędrca źródłem nowej, czystej i trwałej rozkoszy. Przyjaźń kojarzy pojedynczych ludzi do wspólnej pracy i obrony; ona to stworzyła pierwsze niezbędne polityczne związki i ona także wielkiego a szlachetnego szczęścia źródłem. Rozpowszechnioną a słabszą przyjaźnią ogólne współczucie, łączące każdego nietylko z całym rodzajem ludzkim, ale z całą żywą przyrodą. Wrażliwe dusze doznają z pomocą tej powszechnej miłości nieustannych a czułych rozkoszy, a mędrzec znając naturę ludzką, będzie ka-

żdemu czynił dobrze, i będzie unikał cudzej krzywdy, pewny, że się na mocy własnej natury ucieszy cudzém szczęściem, że się cudzym bólem zmartwi.

Przyroda wprawiła w pierś ludzką badawczego ducha, zapomocą którego człowiek się wzbija ponad zwierzę, zapomocą którego opanowuje przyrodę, i czyni możebném wielkie rozmnożenie rodzaju ludzkiego. Badanie i poznawanie prawdy jest rozkoszą i użyteczną rozkoszą, i każdy mędrzec winien jęj używać w miarę sił i wczasu, przypatrując się dziwom przyrody, tak rozmaitym a tak dostępnym dla każdego, odczytując księgi historyi i rozpoznając prawdy logiki i matematyki. Nowe to źródło szczęścia dla mędrca, nowe to źródło powszechnego społecznego dobra.

Ani człowiek pojedynczy ani rodzina się nieostoją. Człowiek potrzebuje gminy i państwa, a patryotyzm, ambycya i męstwo dane człowiekowi na to, by mogły istnieć państwa. Mędrzec zajmuje się tedy sprawami miasta w którym żyje, i narodu pośród którego się narodził. Nie czyni tego ani fanatycznie, ani ślepo, i nie niszczy ani swojego ani drugich szczęścia dla urojonej chwały; ale cieszy się potęgą, oświatą i cnotą rodaków, i przyczynia się do pomnożenia ich; zajmuje się sprawą publiczną o tyle, że pragnie uznania i uciechy, którą sprawia miłość rodaków. Co więcj, w chwilach wielkich wysień narodowych, nie będzie się mędrzec bronił zapałowi; i owszem pójdzie walczyć i ginąć za naród, wiedząc o tém że zapał i świadomość męstwa, sprawiają rozkosz, którą warto nawet śmiercią okupić. Pszczoła w obronie ula kłuje żądłem i tém samém poświęca własne życie na rzecz roju; pszczoła tego nie czyni z zabobonu ani dla obowiązku; czyni to, ponieważ jęj ta ofiara rozkosz sprawia. I ludziom może poświęcenie sprawić rozkosz najwyższą, a mędrzec często sobie tę rozkosz oberze.

Sztuki piękne i przyroda gotują ludziom estetyczne biesiady. Poezya, muzyka i widok piękna nastrajają duszę w sposób nad wyraz rozkoszny, i sposobią człowieka do użycia szlachetnych rozkoszy miłości, rozumu i poświęcenia, o których dopióroco pawiłem. Rozkosz estetyczna przeto nietylko jest pozwoloną, ale jest nakazaną, i mędrzec będzie zawsze szukał tój rozkoszy.

Oto podaliśmy bogatą treść życia mędrca. Szukając rozkoszy i siebie i społeczność ludzką uszczęśliwi. Są jednak rozkosze zgubne, od których powinien stronić. Że wszystko na świecie, a przeto i natura ludzka dziełem ślepego przypadku, przeto i w piersi ludzkiej są niektóre pragnienia zgubne obok wielu użytecznych! Gdyby te żądze zgubne przeważały, nie mógłby rodzaj ludzki istnieć; dziś istnieje, ale cierpi w skutek działania huci przeciwnych jego szczęściu. Są popędy, których zaspokojenie zrazu rozkosz sprawi, a po chwili zrodzi ciężkie nieszczęście, boleść, chorobę, albo przynajmniej nudę i niesmak. Do takich zabronionych rozkoszy należą przedewszystkiém wszelkie nadużycia zmysłowe, w których orszaku ciągną liczne i straszne choroby. Długo będzie żył i zdrow będzie, kto swoje zmysły na wodzy utrzyma i on tylko zastuży sobie na imię mędrca.

Niemniej szkodliwemi łakomstwo i zawiść, gniew i pycha. Rodzą one w człowieku wielki wewnętrzny niepokój, boleść fizyczną i częstokroć stałe niezdrowie; co więcej, tylko krzywdą cudzą można nasycić te hucie, a krzywda cudza budzi w piersi każdego człowieka niepokój sumienia, stojący na straży trwania rodzaju ludzkiego. Tak jak dobrodziejstwo komuś wyrządzone podwójnie cieszy dobroczyńcę, tak zbrodniarza gryzie wspomnienie krzywdy, a widmo zamordowanego będzie nieustannie trapiło pamięć mordercy. Szczęśliwy traf zrodził w piersi ludzkiej sumienie; ono potężniej od ręki kata strzeże społecznego porządku, i mędrzec, znając gorycz złego sumienia, nie skrzywdzi bliźniego swego za żadną cenę.

Postępując wedle wskazówek danych przez Epikura, można wiele nieszczęść uniknąć, można użyć wiele zdrowej rozkoszy. Ale świat ten jest tak niedoskonały, że rozmaite choroby i nieszczęścia mogą spotkać i najdoskonalszego mędrca. Złość i głupota ludzka, i ślepa moc przeznaczenia mogą każdego ciężko nawiedzić. Na to tedy, aby być szczęśliwym zupełnie, nie wystarcza roztropne działanie: potrzeba tu czegoś więcej, trzeba wewnętrznej mądrości. Człowiek powinien własne usposobienie do szczęścia nastroić. Ktoś może wszystko mieć, co do zewnętrznego szczęścia należy, a może mimo to być wiecznie utrapiony i nieszczęśliwy; głupiec wiecznie czegoś żałuje, czegoś pragnie, czegoś się domaga, nigdy się nie cieszy chwilą bieżącą, tęskni za przeszłością, goni za jakąś niedoścignioną przyszłością, wymyśla sobie nieistotne zamartwienia, urojone strachy i nerwowe choroby. Mędrzec, któryby leżał na murawie z dzbankiem wody i kromką chleba, może być tak szczęśliwym jak sam Jowisz olimpijski. We wszystkiem wyszukuje dobrą stronę i cieszy się chwilą bieżącą, a każdy z nas, którzy tu jesteśmy, ma jakiś powód do uciechy i jeśli się smuci, to tylko dlatego, że samocheący zwraca całą swoją uwagę na jakiś przeszły, albo terażniejszy niepomyślny szczegół, pośród ogólnie pomyślnego obrazu życia. I co więcej: nierozsądny przesąd każe może nie jednemu z nas smucić się teraz; wyda się komuś może, że rzecząby to było nieprzyzwołą, gdyby długo w sobie nie odnawiał pamięci ukochanej niegdyś a dziś umarłej osoby; a ktoś drugi może myśleć, że rozpamiętywanie skruszone dawnych błędów zbawiennem na przyszłość ćwiczeniem; ale to dziwne przesady tylko! Umarłych nie ma nigdzie na świecie i na nic im się nie przydadzą żywym żyjących; nie odwołasz minionego czynu, a żal za błędem sprawą głupców. Chwytaj dzień dzisiejszy, patrzaj radośnie na światłoienne; ciesz się jeśliś nie głodny; nie troszcz się o jutro, bo nic nie poprawisz troską! Bądź wesoły i dobrej myśli a dowiedziesz, żeś mędrcecm naprawdę!

Taką była nauka, którą Epikur wykladał w ogrodzie. Nie ma pochwały; którejby uczniowie nie dawali filozofowi, a wszyscy przeciwnicy nawet świadczą zgodnie, że Epikur wiódł życie zupełnie nieskazitelne, że był najlepszym przyjacielem, spokojnym i prawym obywatelem i nawet człowiekiem miłośnym i dobroczynnym, co zresztą by-

wało rzadkością w starożytności. Mimo przykładu założyciela tej sekty nie zaufało państwo żadne tej filozofii, i jak się zdaje nie posiadała ona nigdy płatnej z urzędu katedry. Królowie Wschodu i cesarzowie Rzymu bywali sami często epikurejczykami, nie chcieli jednak mieć zbyt wielu epikurejczyków poddanymi i woleli, aby ludy wierzyły w moc bogów i w nieśmiertelność duszy.

Obszła się jednak nauka ogrodu i bez urzędowej opieki. Na pozór rozsądna i jasna, stała się ulubienicą wszystkich światowców. Księgi Epikura rozeszły się w niezliczonych odpisach po Grecyi i Rzymie, po Egipcie i Syryi, Galii i Hiszpanii. W dalekiej Brytanii unoszono się nad rozumem ateńskiego mędrca, a czczono go jako oswobodziciela ludzkiego w Dacyi nad brzegami Dunaju i Dniestru. Należało u zamożniejszej albo choćby tylko u wykształcenijszej młodzieży do dobrego tonu wyznawać elegancko wygłaszany epikureizm; i kobiety nawet w Rzymie przystępowały dość licznie do modnej sekty, pozbywając się tak ciężaru zabobonu i troski przesądu, i znalazł się wreszcie łaciński poeta Lukrecy, który epikureizm opiewał z niepospolitym talentem.

Komu się dobrze działo na świecie, kto był pozbawiony nieopisaniej tęsknoty za lepszym światem i wyższą cnotą, ten był rad, że wsparty o powagę Epikura, nie potrzebował się oglądać na wolę bogów i nie potrzebował myśleć o życiu pośmiertnym; żył tak jak mu z tępem dobrze było; nie zasmucał się przesądami potępieniami przez filozofią; stosował się do tego, co mienił być naturą swoją; otaczał się orszakiem podchlebiających pieczeniarzy, i spoczywając starożytnym obyczajem na łożu, przy stole suto zastawionym, cieszył własną duszę, patrząc na rozpromienione, bezmyślne oblicza stołowników, których każdy ruch zależał od jego woli. Gdy czego chciał panujący, albo namiestnik prowincyi, nie spotykał twardego oporu u Epikurejczyka; człowiek roztropny umiał ocenić siłą nierówność i swojej woli nie przeciwstawiał możniejszemu, a zresztą czuł przyjemność wielką, gdy doznawał łaski cezara, albo choćby prokonsula. Starał się tedy o tę łaskę, potakiwał panu i czynił zadość pańskiemu rozkazowi. Rad był, jeśli mógł się dostać do Rzymu, jeśli mógł bywać w teatrze, w cyrku i w łaźniach, jeśli mógł spoglądać na pańskie oblicze, jeśli mógł sięść przy pańskim stole choćby u końca. Zamierało w nim wkrótce przywiązanie do zakątka, w którym się rodził, do ojczystej prowincyi i do przodków języka. W patriotyzmie jak we wszystkim szukał tylko rozkoszy, a rozkosz wszelką dawał tylko patriotyzm rzymski. Mędrzec epikurejski przestawał tedy być Grekiem albo Galem, i z dumą powtarzał o sobie, że jest Rzymianinem. A na to by miał sławę opiekuna nauk, trzymał na dworze swoim mnóstwo bratnych filozofów rozmaitych sekt, choćby nawet i stoików, którym dawał wikt i stancję i z którymi czasem raczył mówić o rzeczach obojętnych. Była to chodząca pałacowa biblioteka, której tajemnicie nie zgłębiał pan pałacu, posiadający już oddawna całą prawdę zawartą w łatwej nauce epikurejczyków.

Bywał tam na pańskim dworze niewolnik faworyt, którego piękna postać zastąpiła na pańską łaskę. Bawiąc zawsze przy boku pana zachwycał filozofii ogrodu, i stosował się do niej po swojemu; przyjemną mu była łaska pańska, więc za nią się ubiegał, przysparzając panu przyjemności jaknajwięcej. Sprowadzał tedy dla pana konie, wino, pachnidła i niewolnice, a choć to czynił nieraz z jawną ludzką krzywdą, choć rozkosz pańska bywała okupiona krwią i hańbą cudzą, czuł niewolnik, że awans w łasce pańskiej taką napawa go słodyczą, że przy niej i nie warto wspominać o jakiegóż tam zgryzocie sumienia. Niebawem pan i niewolnik przychodzili powoli do przekonania, że i sam Epikur uległ resztkom jakiegoś przesądu, gdy mówił o zgryzocie sumienia. Gdy poraz pierwszy byli pacholeętami w cyrku, patrzeli z przykrością niejaką na krwawe igrzyska; dziś przyzwyczajenie stępiło zewszystkiem drażliwość pierwotną, i widok walki, krwi i śmierci, rodził w widzach przyjemne tylko uczucie. Tak samo pierwsza krzywda ludziom wyrządzona, sprawiała zrazu nieprzyjemność wielką; ale właśnie dzięki nauce mędrca z ogrodu, nauczyli się pan i niewolnik zagłuszać głos sumienia; wiedzieli, że to, co się stało, już się odstąpić nie może i że skrucza zajęciem głupców, zapominali tedy jak najprędzej o dawnym grzechu, a cieszyli się rozkoszą, którą sprawił; a jeśli wspomnienie popełnionej zbrodni wracało natarczywie, pan i niewolnik, a niebawem wyzwoleniec, zagłuszali je nowemi, coraz huczniejszymi i wybredniejszymi zabawami. Tak pan żył wśród biesiad, nie myśląc o jutrze, a wyzwoleniec z lekkim sumieniem okradał pana, sądząc, że bogatego nawet nie krzywdzi, a wiedząc że sobie dogadza, i niebawem sam stawał się panem wielu niewolników.

Kobiety były mniej skore do nauki epikurejskiej; ponajwiększej części modliły się do bogów; nieletnie wyznawały dawną wiarę, inne lgnęły do nowych fantastycznych zabobonów, i te nawet, które najniżej upadły, wracały ze łzami do ołtarzy srogich, albo litośnych bogów; trafiała się jednak i kobieta wyzwolona. Bogów nie znała już, szukała tylko rozkoszy i zabawy; bez skrupułu odpłacała się mężowi niewiernością za niewierność; dzieci zabijała w łonie, chcąc uniknąć trudów macierzyństwa, i użył szkodkiego owocu wolnej miłości, i dziwiła się Epikurovi, gdy czytała, że mędrzec rozkoszą przeżywał wiarę małżeńską. Kobieta taka nie uznawała rozkoszy jarzma. Słuchała praw natury, ale prawa jej natury mówiły jej co innego jak ateńscy moralisci. Nerwy jej wszystkie drżały niespokojnie; nieustannie łaknęła zmiany, żądała innych zabaw, innych kochanek, innych okolic, i była podobną do chorego, co się na łożu rzuca, i miejsca dla głowy nie znajdzie na poduszce.

Szukając zabawy, szukając rozkoszy, nudził się świat starożytny. Dziś rzucał możny rzymianin dom w mieście i pędził z pośpiechem na wieś; na wsi spędził dni kilka i znów niecierpliwie zateśknił za Rzymem, i włókł się po opylonej drodze nazad do stolicy, z pieskiem faworytem na kolanach, w orszaku filozofów i błaznów. A wnet rzuciło nim gdzieś aż na wybrzeża Syryi, z kądem przywoził do Rzymu dziwny orszak śpie-

waków, grajków, karłów, i gorszych jeszcze dziwolągów, któremi nie mógł odgonić znudzenia zrodzonego przez wybredne samolubstwo epikurejczyków.

Hart mężzi gdzieś zaginął. Niemiano sity oprzeć się przemocy; na to ludzie byli zbyt rozumni, by się mieli poświęcać dla takich mrzonek jak wolność i ojczyzna. Neron przeto, lub Domicyan, albo Heliogabal władali światem bez zapory, gdy traf wyniósł na stolicę, Nerona, Domicyana i Heliogabala. Choć zamłodu najczęściej przez stoików wychowywani, ukochali ci cesarzowie naukę ogrodu, i szukali roskoszy. Najpierw było to dla nich roskoszą, gdy mogli uszczęśliwiać tłumy; zachowywali się niechętnie, gdy na kogo przyszło podpisać wyrok śmierci, niebawem upajali się oklaskami ulicy i pochwałą senatu. Ale niebawem żadne im już niestarczyło podchlebstwo; ukochali byli cnotę dla pochwały, które cnota daje, ale przekonali się, że księżę będzie chwalebny przez dworzan za wesoły występki, podobnie jak za cnotę, a występki wydał im się o wiele zabawniejszym. Zaczęli się tedy bawić wszechmocą swoją tak, jak wielkie rozkapryszone dzieci, aż zabawa ta stała się stekiem najpoczwarniejszych okropności; a świat samolubny i zniechęcały póty cierpiał ze zgiętym karkiem wszystkie wybryki tyrańskiej swawoli, póki jakiś wyzwoleniec albo dworzanin, nielepszy od swego pana, nie zabił go pokryjomu, drżąc o własne drogie życie.

Znudzony śmiertelnie senator, uczestnik wielu dziwacznych zbrodni, sławny z tego, że był pomiędzy mordercami jednego z ostatnich Cezarów, powoływał czasem do domu swego żebraka dziwaczego, co także o sobie twierdził, że jest filozofem. Był to Cynik, wyznający naukę Antistenesa, męża co żył przed Zenonem i Epikurem za dni Platona. Zaproszony przychodził do pana możnego w łachmanach, niezaczęsany, z zanieczyszczoną brodą i niemytymi nogami, i siadał podczas biesiady na ziemi, często pod stołem, gdzie jadł spadłe ze stołu okruchy, albo gdzie godniej i nawet z pewną dumą odmawiał wina i łakoci, przyjmując tylko chleb, figi, kaszę i wodę czystą, jadło najuboższego południowego ludu. Za to jadło odwdzięczał się dziwaczniemi żartami, nieprzyzwoitým błaznowaniem, i prawdą wypowiedzianą nieraz w sposób krotocwilnie rubaszny. Nareszcie, gdy często przeszedł wszelką nieprzyzwoitości miarę, został przez służbę pańską za kark wyrzucony z sali biesiadnej. Był to sprośny, napoły wzgardzony a napoły wyśmiany błazen i żebrak. A jednak niepomierna pycha, a może i wielka wiedza ukrywała się pod łachmanami jego brudnego płaszczka.

Czasem siedząc pod stołem zagrzewał się do dysputy, i zaczął dowodzić epikurejskiemu gospodarzowi, że wygodny nauczyciel z ogrodu, złe wnioski wy dobył ze swój nauki. Prawdą to, że wiara w bogi, i cuda i nieśmiertelną duszę baśnią i zabobonem, ale jeśli co z tego jasno wynika, to chyba to jedno, że człowiek jest zwierzęciem, i że zwierzęciem pozostać powinien. Prawda to, że trzeba się pozbyć wszelkich przesądów i żyć wedle natury, ale sztuka, nauka, zaszczyty, rodzina

i bogactwo, to wcale nie rzeczy przyrodzone, to wymysły zepsutej ludzkości, to owoce przesądu, i początek nieszczęścia. Tylko pies i cynik żyją według natury.

Każdy epikurejczyk, który przeszedł lata młodzięńczych złudzeń, przekonał się dawno o tém, że nie ma na świecie prawdziwej rozkoszy. Syrena przekłeta woła nas zdaleka, wabiąc obietnicą niebiańskiego napoju; ale gdy się do niej zbliżysz, poda ci puhar pełen zółci, nudy i niesmaku. Gorączka, która dręczy i Cezara i jego wywoleńców, najlepszym dowodem prawdy słów owych. Większej nie ma rozkoszy nad tę, którą dają chleb i woda i pospolity bezwstyd. Wszystko inne kłamstwem i złudzeniem.

Śmiesznym i nad wyraz śmiesznym stoik, który ciągle swoją wolę przewycięża, goniąc za jakąś cnotą, i spodziewając się pośmiertnej nagrody. Będzie pracował całe życie, będzie się poświęcał wśród trudu, nie użyje i jednej chwili tak swobodnie, jak to czynić winno wszelkie zwierzę, a gdy wreszcie umrze, kościotrupem tylko będzie wielki człowiek. Zapomną o nim ludzie; w najlepszym razie żaki szkolne będą przeklinać jego pamięć, zato, że profesor im się każe uczyć o nim. A zresztą jakżeżby go mogło słowo pośmiertne wynagrodzić za trud życia nieznośny, kiedy po śmierci o niej nic wiedzieć nie będzie; kiedy po śmierci cieniem nawet nie będzie, kiedy po śmierci będzie niczym tylko?

Ale jeśli stoik śmiesznym bywa, o wiele śmieszniejszy jeszcze bogaty gospodarz biesiady, uczeń Epikurego i miłośnik rozkoszy. Szuka tego, czego nikt nie znajdzie. Myśli, że znajdzie rozkosz większą od téj, którą miewa każde zwierzę; kłopotce się i rozbija, aby mieć pięknych niewolników, złote szaty, wykwintne jadalno i wspaniałe komnaty. I czyż mu się zdaje, że psu pies mniej miły, jak jemu niewolnik z Karyi? Czyż myśli, że złocista szata lepiej grzeje od sieraczyny, że sieraczyna dolega temu, co nie przywykł do cieńkiej bielizny? Czy myśli, że chleb razowy nielepiej smakuje robotnikowi głodnemu, jak jemu bażanty? Że spracowany śpi mniej smacznie na ławie, jak on na misternie wyścieloném łożu? Niechaj więc, że głód i zmęczenie najlepszą przyprawą do snu i jadalno a dozna przecie raz w życiu prawdziwej rozkoszy, gdy o głodzie zje kromkę chleba, i gdy ze znużenia zaśnie na ziemi.

A już zgola szalonym ten, co uprawia nauki i sztuki, co goni za chwałą, za zaszczytami i poklaskiem. Nauką jedyną, prawdziwą tą, co każe zapominać o wszystkich wymysłach erudyków; mitologie, historye, filozofie, to zbiory kłamstw nudnych, to źródła wszystkich ludzkich obłądów. A w poezyi i muzyce odnajduje tylko umysł znudzonego próżniaka, subtelne piękności, dla innych niedostępne, dla zdrowych niezrozumiałe. Piękno prawdziwe dała wszędzie natura; widok spraw ludzkich ciekawszy od pieśni Homera, a pasterza nieuka ucieszy pieśń prosta robotnicy daleko więcej, jak misterna kompozycya muzyczna, co mu się samym tylko szumem wyda. Ludzie nieszczęśliwi i znudzeni

wmawiają w siebie, że sztuka pewną rozkosz sprawia; kto chce być szczęśliwym, winien się pozbyć i tego przesądu.

A jakąż niedorzecznością zaszczyty i łaska cesarska!

Diaczegóżby styczność z królem miała być miłszą od styczności z pierwszym lepszym włóczęgą? Jeśli włóczęga przystojny, a król brzydki, wołę włóczęgę. Jednakowo ciepłe ich ciała. Śpią jednako, jedzą jednako, piją jednako, i król nieinaczej od włóczęgi trawi; gdy poumiérają, nie inne po nich zostaną kościotrupy.

Na to, by zdobyć zaszczytne stanowisko, trzeba trudu wiele; a stanowisko zdobyte trudem nowym. Władza najgorszą niewolą, i zwierzędem żaden o władzę się nieubija. Honor, to najniecznośniejsza ludzka mrzonka. Gdy kto plunie w twarz ucznia Antistenesowego, ten obetrze sobie twarz, i nie będzie o to więcej dbał jak o kroplę dészczu, co mu padła na lice; a gdy kto go zbezczęści obelżywemi słowy, będzie słucał obelgi tak cierpliwie, jak psów nocnego ujadania. Uczeń Antistenesów naprawdę szczęśliwy, i nadziei pozbawiony i tęsknoty, potrzeb pozbawiony, zupełnie wolny, i po swojemu rozumny. Zarzucił potę podartego płaszcza na ramię, i powiedziawszy swoje, wyszedł dumnie i wesóło na świat słoneczny, zostawiając w biesiadnej izbie, przy sutym stole śmiertelnie znudzonego epikurejczyka.

(d. n.).

O B R A Z EKONOMICZNO-STATYSTYCZNY

ARCHIDYECEZYI GNIĘŹNIEŃSKIEJ W XVI WIEKU *).

NAPISAŁ

Stanisław Maroński.

Jana Łaskiego, areybiskupa gnieźnieńskiego: „Liber Beneficiorum“ archidyecezyi gnieźnieńskiej etc. Gniezno, 1880 i 1881.

W dalszym ciągu przedstawia ks. K. obraz archidyakonatu kaliskiego. Opisy beneficjów tego archidyakonatu są najnieładniej-
sze i najuboższe. Sumaryczność redakcyi przeważa w nich do tyła, iż
niektóre opisy zaledwie kilku wierszami są objęte ¹⁾. Maciej Śliwnic-
ki, archidyakon kaliski, autor tego opisu nazwanego również: „Inven-
tarium Beneficiorum“ ²⁾, zjeżdżał do każdej parafii, i tutaj zwoławszy
prowizorów kościoła i innych ludzi, przedstawiał im ośm pytań, tak
zwanym articuli ³⁾, na które oni pod przysięgą odpowiadali, on zaś
pokrótce sumaryczne ich wyrzeczenia zapisywał; ztąd ta dorywczość
i pobieżność opisów. Taksa kontrybucyjna, świętopietrze i kwitancya
całkiem pominięte. Podczas gdy we wszystkich innych opisach skrupu-
latnie zapisywano nazwisko każdego plebana, Śliwnicki na 89 kościo-
łów w 37 tylko razach to czyni. Wartość dziesięciny nigdzie w pie-
niądzach nie wyszczególniona; nie wspomniane ani kolenda, ani canapa-
lia, ani zwózka dziesięciny: co zaś do wikarych, tylko przy piętnastu
kościółkach o nich uczynił wzmiankę. Mimo to godzimy się chętnie na

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. b.

¹⁾ Ołobok (Lib. Ben. Łaskiego, II, 657) w 7, Górzno (tamże, II, 12),
Zbiorsk (tamże, II, 74) w 9, Kotlin (tamże, II, 26) w 10 wierszach opisane.

²⁾ Tamże, II, 5.

³⁾ Tamże.

zdanie ks. Łukowskiego ¹⁾, że opis ów „odśłania cenne właściwości, których nie znajdujemy w archidyakonatach lepiej opracowanych.” Do zalet tych, zaliczamy regularne zapisywanie prowentu z probostwa na grzywny obliczonego. Żałować tylko trzeba że Sliwnicki nie podaje taksy kontrybucyjnej, przez coby się była wykazała stopa procentowa, wedle której duchowieństwo kontrybucją 40,000 florenów składało. On też stosunkowo najwięcej patronów szlacheckich, bo 55 na 70, po nazwisku wymienił. Przysięgli zaś wszyscy po imieniu i z zaznaczeniem stanu zapisani. Potrąca również o stan moralny ludu, gdy notuje, że w Kalinowie ludzie są źli, uparci, co do spowiedzi nie chodzą, do komunii nie przystępują, a wielu z nich ekskomunikowanych ²⁾. Szkoda wielka, że autor takich zapisków konsekwentnie, żadnego nie wyłączaając stanu, nie czynił; ileżby to było światła spłynęło na obraz, odśłaniający nam ówczesny stan cywilizacji i moralności.

Archidyakoniat kaliski liczył, jakeśmy już powyżej wspomnieli, 89 kościołów, z tych 10 murowanych, położonych w dekanatach: kaliskim, krotoszyńskim, pleszewskim, stawskim i stawiszyńskim. Pięć ówczesnych kościołów znikło, pięć przybyło nowych, a cztery zamieniono na filialne. Z owych 89 kościołów pozostało po rozbiore Polski przy archidiecezyi gnieźnieńskiej 42, które dziś tworzą trzy dekanaty: pleszewski, krotoszyński i ołobocki. Pozostałe 47 kościołów odpadły do Królestwa Polskiego, do dyecezyi kujawsko-kaliskiej, i rozkładają się na cztery dekanaty: kaliski, turecki, sieradzki i stupecki. Patronatu królewskiego 5, duchownego 12, miejskiego 2, szlacheckiego 70 kościołów. Patroni szlacheccy wymienieni: J. Rajski, Korabita, w Rajsku; Bartodziejska, Łyczyński, Iwanowski w Kościelcu; Maciej i Mikołaj Droszewscy w Droszewie; J. Wolicki w Górznie; I. Chwałczewski i A. Duszyna w Skrzebowie; Hieronim Rozrażewski z Nowego Miasta w Kobiernie; J. Niewieski w Krotoszynie; Baszkowscy w Baszkowie; Kobylińscy w Kobylinie; J. Wyganowski w Wyganowie; Jutrowska ma w zastaw miasto królewskie Zduny; Jan Sośnicki i J. Karmiński w Karminie; Sośnicki w Sośnicy; Kowalewski w Kowalewie; Twardowski w Twardowie; Szymanowscy w Szymanowie; Kretkowscy w Kretkowie; Suchorzewski w Żegocinie; Kotlińscy w Kotlinie; Suchorzewski w Czerminie; Ostrorog, kasztelan kaliski, w Choczu; Suchorzewscy w Broniszewicach; Jan Sobocki w Lenartowicach, Jan Leszczyński w Gołuchowie; Siedleński w Brzeziu; Turscy w Tursku; Andrzej Korycki w Sowinie; Magnuszewski w Magnuszewicach; Kucharscy w Kucharach; Giżycy w Giżycach; Lewkowscy w Lewkowie; Szczurki w Szczurach; Jan Taczanowski w Chorzewie; Jedleccy w Jedlcu; Kuczkowscy w Kuczkwie; Sobocki, Korabita w Sobocie; Filip i Piotr Rosowsy, Korabici, Piotr Wolicki w Rosoczycy; J. Gruszczyński, kaszte-

¹⁾ Lib. ben., II, str. XXXV.

²⁾ Homines mali, obstinati, non confitentis, neque communicantes, et multi excommunicati. Tamże, II, 83.

lan wieluński, w Gruszczycach; Błażkowscy w Błażkach; Krowicki, Korabita w Górze; Chlewscy w Chlewie; Ostroróg w Koźminku; Rajski i Gacki w Gaci; Jarand, wojewoda łęczycki, w Stawie; Kobyliński trzyma zastawem wieś królewską Tłokinię; Zaremba, wojewoda kaliski, w Kamieniu; Tokarscy w Tokarach; Zaremba, wojewoda kaliski, w Głuchowie; Przespolewscy w Przespolowie; Kosmowscy w Kosmowie; Złotnicy w Złotnikach; Zbierscy w Zbiersku; Lipski w Lipiu; Mikołaj, Kacper, Andrzej Piątkowscy w Piątku; Kobyliński trzyma zastawem wieś królewską Blizanów; Rusocki, kasztelan biechowski, w Brudzewie; Rychnowski w Rychnowie; Jastrzębski w Jastrzębnikach; Laskowski i księżniczka pleszewska trzymają zastawem wieś królewską Russów; Gardzyna, wojewoda poznański, w Pamięcinie; Kobyliński, kasztelan rozpierski, w Tykadłowie; Kobyliński trzyma zastawem wieś królewską Zborowo; J. Mycielski i Dzierzbinińscy w Dzierzbiniu; Zaremba w Kalinowie. Co do herbów, notował archidyakon tylko Korabitów; może być, że z respektu dla wysokiego swego przełożonego, prymasa Łaskiego, należącego, jak wiemy, do tego rodu.

Granica północna archidyaconatu przypiera do południowej krawędzi archidyaconatu gnieźnińskiego, wspólną z tąż mając rozciągłość. Na zachód, od źródeł Teleszyny do Unikowa, szła razem z granicą zachodnią archidyaconatu uniejowskiego. Południowa zaś granica biegła od Klonowy do Grabowa, odcinając od archidyaconatu kaliskiego archidyaconat wieluński. Od Grabowa, zwrotem zachodnio-północnym, poczyna się granica zachodnia, która najprzód ku błotom baryckim biegnie; mijając Ostrowo i Raszków, dochodzi rzeki Lutyni, której korytem miejscami idąc, u dolnego jęj biegu ku wschodowi się wygina, poczem przybywszy do Prosny, w pobliżu jęj ujścia do Warty, z granicą północną się łączy. Granica ta dzieli równie archidyaconat, jak i archidyecezyą, od biskupstwa poznańskiego. Prócz tego należy do archidyaconatu kaliskiego w biskupstwie poznańskim położona inkława, mieszcząca w sobie miasta: Krotoszyn, Sulmierzyce, Zduny i Kobylin. Archidyaconat mieści się całkowicie w województwie kaliskim, wyjąwszy wązki pas ponad wschodnią granicą, należący z miastem Błażki do województwa sieradzkiego. Co do politycznych granic, tylko południowa archidyaconatu granica dzieli i województwo kaliskie od ziemi wieluńskiej, a północna połowa wschodniej od województwa sieradzkiego; południowa zaś część granicy tej leży w ostatniem, zachodnia i północna w kaliskim województwie.

W skład archidyaconatu wchodzą obszary z następujących powiatów.

I. Powiat Kaliski. 30 mil □ z 7 miastami, 248 wsiami, 43,800 mieszk. Miasta były: Kalisz, Błażki, Chocz, Koźminek, Opatówek, Staw, Stawiszyn; ostatnie pięć miejscowości są teraz osadami. Z obszaru owego odchodzą dla województwa sieradzkiego 2 mile □ z Błażkami, 48 wsiami i 6,400 mieszk., tak, iż w Kaliskim pozostaje 28 mil □, 6 miast, 200 wsi, 37,400 mieszk.

2. Powiat Pleszewski. 11,5 mil □ z 2 miastami: Pleszew i Sobótka (teraz wieś), z 92 wsiami, 16,305 mieszk.
3. Powiat Odolanowski. 5 mil □ z 2 miastami: Sulmierzyce i Ociąż (teraz wieś), z 45 wsiami, 8,470 mieszk.
4. Powiat Turecki. 4,5 mil □ z 39 wsiami, 6,400 mieszk.
5. Powiat Krotoszyński. 4,3 mil □ z 3 miastami: Krotoszyn, Kobylin i Zduny, z 28 wsiami, 8,600 mieszk.
6. Powiat Sieradzki. 1,5 mil □ z 15 wsiami, 2,600 mieszk.

Obszar ten leży w województwie sieradzkim.

7. Powiat Słupski. 1,4 mil □ z 14 wsiami, 2,100 mieszk.

8. Powiat Wrzesiński. 0,6 mil □ z 3 wsiami, z 550 mieszk.

Archidyaconat cały zawiera: 58,8 mil □, 14 miast, 484 wsi, 88,825 mieszk. Z tego przypada na województwo kaliskie: 55,3 m. □, 13 miast, 421 wsi, 79,825 mieszk.; na sieradzkie zaś: 3,5 mil □, 1 miasto, 63 wsi, 9,000 mieszk. Doliczywszy 4,441 żydów, czyni razem 93,266 mieszk.; ludność stosunkowa na milę kwadratową wynosi 1,608 głów; na takową przypada 8 wsi, a jedno miasto na 4,2 mil, 1 kościół parafialny na 0,7 mil □, na 1 parafię 987 dusz.

Archidyaconat wieluński. Opis archidyaconatu tego, który dopiero prymas Łaski z części kaliskiego utworzył, stawiamy co do ujemnych stron jego tuż obok opisu kaliskiego, chociaż w ogóle i staranniej i dokładniej jest zredagowanym. Jan z Śleszyna Trojan, pleban w Iwanowicach, kapelan prymasa, układając w r. 1522 poruczony sobie opis, dał mu, jak to Góra i Śliwicki byli uczynili, tytuł: „Inwentarium Beneficiorum et proventuum” ¹⁾, a zgodnie z ostatnim nakreślił szemat, articuli ²⁾, owych pytań, na które żądał odpowiedzi. Jest on z pomiędzy swych kolegów jedynym, który zwyczajem wizytatorów stale przy każdym kościele opisywał argenterya, sprzęty kościelne, paramenta, księgi liturgiczne, mszały, agendy i t. p. Za to też ani taksy kontrybucyjnej, ani świętopietrza, z wyjątkiem jednego razu, ani patronów, wyjąwszy jednego, nie zapisał. O wikaryuszach tylko przy dwóch kościołach wspomniął; nazwisko plebana często opuszczone, walar dziesięciny rzadko zapisany, opisy domów, placów, ogrodów, ról, łąnów, w ogólnikach nakreślone.

Archidyaconat wieluński liczył 42 kościołów, z tych 6 murowanych. Podzielone one były na dekanaty: krzepicki, rudzki i wieluński. Dziś kościoły te należą do dyecezyi kujawsko-kaliskiej, tworząc, z wyjątkiem 2-ch kościołów, należących do dekanatu częstochowskiego, jeden dekanat wieluński. Prócz owych 42 kościołów było jeszcze 10 filialnych; dzisiaj jest 35 parafialnych, a 32 filialnych. Patronatu królewskiego było 5, duchownego 6, szlacheckiego 20. Z patronów sam tylko Zaremba, wojewoda kaliski w Czarnożyłach zapisany.

Archidyacon. wieluński graniczył na północ z archidyacon. kalis-

¹⁾ Lib. ben., II, 52.

²⁾ Tamże.

kim i uniejowskim, z którymto ostatnim i na wschód sąsiadował. Południowa granica poczyniała się przy Popowie nad Liczwartą, za którą w górę postępując, wnet się od niej odczepia, a zakreśliwszy poza Krzepicami łuk, ku górnej podążała Prośnie, której korytem następnie kręto się wijąc, aż do Bolesławca sięgała. Dzieliła ona zarazem archidyaconat od ziemi wieluńskiej, ale i archidyecezyą od Szlązka i biskupstwa wrocławskiego. Na zachód idzie granica od Bolesławca, ziemię wieluńską przeryniając, prostopadle w północnym kierunku aż do miasta Grabowa, gdzie się z północną granicą schodzi. Odłączała ona biskupstwo poznańskie od archidyaconatu i archidyecezyi.

W skład archidyaconatu wchodziły tylko dwa następujące powiaty:

1. Powiat Wieluński. 42 mil □, z 8 miastami, 102 wsiami, 34,100 mieszkańcami. Miasta były: Wieluń, Bolesławiec, Lututów, Ossyaków, Praszka, Wieruszów, Kamion, Toporów, z których tylko Wieluń miastem się ostał; Kamion i Toporów wsiami, a reszta osadami.

2. Powiat Częstochowski. Dostarczył do tego archidyaconatu 2 mile □, z miastem Krzepicami, dzisiejszą osadą, 8 wsiami, 2,200 mieszkańcami.

Cały archidyaconat obejmuje: 44 mile □, 9 miast, 110 wsi, 36,100 mieszkańców. Z tego mieściło się 43,5 mil □, 8 miast, 108 wsi, 35,100 mieszk. w ziemi wieluńskiej; 0,5 mil □ z Krzepicami, 2 wsiami, 1,000 mieszk. w województwie krakowskim. Doliczywszy 1,805 żydów, czyni razem 37,905 głów. Stosunkowa ludność na 1 milę kwadratową wynosi 862, na takowąż przypada 2,5 wsi, a jedno miasto na 4,9 mil □; 1 kościół parafialny na 1 milę □; na jedną parafię 860 dusz.

Archidyaconat Łęczycki. Opisowi funduszów kościelnych archidyaconatu tego należy się co do dokładności i staranności, tak jak i następującemu opisowi archidyaconatu łowickiego miejsce tuż obok kuzelowskiego opisu. Beneficya w ogóle obszernie opisane, względnie w dość jasnym przedstawiają nam się świetle. Plebani wszędzie po nazwisku wymienieni, jak też regularnie zapisanym jest, czy i ile wikaryusy pleban utrzymuje. Taksa kontrybucyjna i świętopietrze z małymi wyjątkami stale notowana; kwitancyi tylko brak. Kształt gruntu i ról plebańskich, ich rozciągłość, granice, ogrody i budynki plebańskie, czynsze, robocizny dość szczegółowo zapisane. Plebanom niedbałym, ostro wytykane jest ich niegospodarstwo, ich niedbałość, narażająca beneficjum na straty i upadek; takowych zapisów nie znaleźliśmy w żadnym innym opisie. Co do ujemnych stron, ta sama co i w innych opiszach, razi niedostateczność, nieściskość i ogólnikowość. Cyfry tak co do rozmiaru gruntów, jak i wartość dziesięciny rzadko podane.

Oba opisy, tak Łęczycki, jak i łowicki są co do formy, zwrotów i całego toku wykładu i opisania tak do siebie podobne, iż domysł ks. Łukowskiego, iż autorem ich jest jedna i ta sama osoba, t. j. domniemany autor opisu Łęczyckiego, Feliks Naropiński, archidyacon Łęczy-

cki ¹⁾, nam się zdaje być trafniejszym, niż drugi jego, żadnym argumentem nie poparty domysł, jakoby Tomasz Rożnowski, późniejszy archidyakon łowicki miał archidyakonat ten opisać ²⁾).

Oba te archidyakonaty tworzyły aż do r. 1512 jeden archidyakonat łęczycki ³⁾. W tym dopiero roku erygował prymas Łaski archidyakonat łowicki, odłączając go od łęczyckiego. W czasie jednakowoż układania Libri Beneficiorum, terytoria te kościelne nie były jeszcze dostatecznie rozgraniczone, dlatego też w księdze opisy beneficjów obu archidyakonatów wspólnie chodzą, podzielone tylko na 4 dekanaty: tuszyński, łowicki, szczawiński i łęczycki. W dalszym toku uwag naszych rozpatrywać jednakowoż będziemy owe archidyakonaty wedle ich następnej stałej cyrkumskrypcyi, podług której archidyakonat łęczycki mieścił w sobie dyakonaty: łęczycki, kłodawski, kutnowski, żegrzski i tuszyński, a łowicki dekanaty: łowicki, skierniewicki i rawski.

Obejmował archidyakonat łęczycki w owych 5 dekanatach 100 kościołów, z których po rozbiorze Polski, 22 do dyecezyi kujawsko-kaliskiej; a 78 do archidyecezyi warszawskiej się dostało, i z których 6 kościołów albo zupełnie upadło albo na filie zamienionych zostało. Nowo powstałych parafii liczy się 6. Patronatu królewskiego było 9, duchownego 26, szlacheckiego 63, napół duchownego, napół szlacheckiego 2. Szlacheccy patronowie po nazwisku wymienieni są następujący: Jakób, sędzia sieradzki, Mikołaj i Jakób z Kruszewa, Klemens, Feliks, Andrzej, Stanisław, Abraham, Stanisław Skwark ze Żeromina, Jan, Wojciech z grabińskiej Woli w Sroczku. Bernard Majkowski z Majkowa w Rącznie; Andrzej Pukarzewski w Maluszynie; Łukasz z Górki, kasztelan poznański w Bogdanowie; Walenty Żaksiński, chorąży inowrocławski w Chociszewie; Wojciech z Głodzanowa, kasztelan łęczycki w Parzęczewie; Stanisław Leźnicki, Aron Powodowski, Jan Saski w Leźnicy Wielkiej; Jan i Mikołaj Woźniccy, Andrzej Truskawski w Turze; Jan Psarski w Domaniewie; Jan Niewiecki, Jan Poddębicki w Poddębicach; Tomasz w Kałowie; Grzegorz Sarnowski w Dalikowie; Mikołaj Bełdowski w Bełdowie; Jakób Romiszewski, Maciej Czajka w Mileszkach; Jarosław Łaski, wojewoda sieradzki w Strykowie; Jan Dobrski w Dobrzej; Stanisław Siótkowski w Skoszewach; Stanisław Lasocki, podkomorzy poznański w Brzezinach; Jan Gosłubski, proboszcz gnieźnieński w Bartoszewicach; Wojciech Głodzianowski, opiekun Adama, Andrzeja i Stanisława Modlińskich w Giecznie; Stanisław Gieczyński, Stanisław Modliński, Mikołaj Skórka w Modlinie; Stanisław Sokołowski, cześnik łęczycki w Bielawach; Jan Brzeźnia (Brzechna?) w Goraju, Jarosław Sokołowski, starosta kolski w Grabowie; Paweł i Marcin w Umieniu; Jarosław Łaski, wojewoda sieradzki w Borzysławicach; Jan, niegdyś dziedzic Dzierzbic, w Dzierzbicach; Mikołaj Lubrański,

¹⁾ Lib. ben., II, str. 6.

²⁾ Roczn. Tow. Przyj. Pozn. X, 36.

³⁾ Lib. Benef. I, 4.

wojewoda poznański, Jan Chodowski w Chodowie; Jan Miloński w Milońcach; Jan w Krośmiewicach; Andrzej Kucieński, wojewoda rawski w Nowem; Andrzej z Kutna, kasztelan gnieźnieński, Wacław z Ostrogora w Kutnie; Wojciech Gledzianowski, kasztelan łeczycki, Jakób Wituński, Mikołaj i Jan Strzegoccy w Strzegocinie; Jan we Wituni; Jan Bedleński, Mikołaj Goszcz (Goski?) w Bedlinie; Maciej, Jakób, Andrzej Rakowieccy w Żychlinie; Tomasz Sobocki w Sobocie.

Postać archidyakonatu wyobraża trójkąt, którego podstawą północna, bokami wschodnia i zachodnia granica, a którego wierzchołek zetknięcie tych dwóch ostatnich tworzy. Granica północna, dzieląca tak archidyakoniat, jak i archidiecezją od biskupstwa kujawskiego, wychodząc od jezior i błót brdowskich, biegła na wschód w prostej linii; a wsunawszy się pomiędzy miasta Żychlin i Osmolin, tak iż pierwsze po stronie archidyakonatu, a drugie w biskupstwie kujawskiem pozostawało, kiernnek swój na południe wykręciła, by wschodnią archidyakonatu, odcinającą go od łowickiego archidyakonatu, stanowić granicę. Przeszedłszy Bzurę poniżej Soboty, szła ona najprzód korytém dolać Mogry, trzymając się brzegu lewego; poczem opuściwszy ją, a po za Brzeziniami zakreśliwszy niezbyt znaczny łuk, spuszczała się na południe, aż gdzie Wolborka się do Pilicy wlewa, i gdzie się stykały archidyakonaty łeczycki, łowicki i kurzelowski. Odtąd Pilicą, dzielącą ostatni od łeczyckiego, biegła ku źródłom tej rzeki; a stanawszy na wysokości pobliskiego Kurzelowa, ostrym kątem się na północ zwróciła, i poniekąd prostopadłe podążając mimo źródła Widawki, Grabówki i Neru ku północnej granicy, zachodnią archidyakonatu stanowiła granicę, która go głównie od uniejowskiego, a tylko kilka milowej przestrzeni od Dąbia do jezior brdowskich od gnieźnieńskiego odłączała archidyakonatu. Łeczycki archidyakoniat przeważnie wchodzi w skład województwa łeczyckiego. Granica północna w wielkiej części obu spólną była, dzieląc je od województwa brzesko-kujawskiego, na północ jednakowoż miasta Kutna weszła archidyakonalna granica do rawskiego województwa, zabierając dla swojego archidyakonatu obszar ziemi aż po rzekę Ochnię. Wschodnia granica, od Żychlina do Brzezini razem szła z granicą wojewódzką, dzieląc województwo rawskie od łeczyckiego; potem wkroczywszy w ostatnie, odcinała od tegoż spory szmat ziemi z miastami Ujazdem i Inowłodzem dla archidyakonatu łowickiego; dobiegłszy Pilicy, weszła na granicę, dzielącą województwo sandomierskie od sieradzkiego, po której biegła aż do zetknięcia się z zachodnią granicą. Ta zaś wkroczywszy do ostatniego województwa, odebrała mu dla archidyakonatu swego klin ziemi pomiędzy nią, a źródłami Neru i Pilicą leżący, z Piotrkowem, Rozprzą, Tuszynem i Wolborzem. Dopiero u tychże źródeł zbiegła się z granicą polityczną, z którą z małemi wyjątkami pospół idąc, województwo łeczyckie od sieradzkiego i kaliskiego oddzielała.

Na archidyakoniat ten składają się następujące powiaty:

1. Powiat łęczycki: 23 mil □ z 5 miastami, 386 wsiami, 45,950 mieszkańcami. Miasta były: Łęczyca, Parzęczew, Podgębice, Piątek, Katów. Ostatnia miejscowość jest teraz wsią, reszta prócz Łęczycy, na osady zamienione. Obszar ten całkowicie się mieści w województwie łęczyckim.

2. Powiat piotrkowski: 19 mil □ z 171 wsiami, 30,500 mieszkańcami, z 4 miastami: Piotrków, Wolbórz, Sulejów, Rozprza; trzy ostatnie miejscowości teraz osadami. Obszar ten cały wchodzi w skład województwa sieradzkiego.

3. Powiat kutnowski: 14 mil □ z 239 wsiami, 30,560 mieszkańcami, 5 miastami: Kutno, Dąbrowica, Orłów, Żychlin, Oporów. Ostatnie miejscowości teraz wsie, a reszta, prócz Kutna, osadami. Z obszaru owego wchodzi w województwo łęczyckie 12 mil □ z miastami: Dąbrowice, Orłów, Żychlin, z 206 wsiami, 25,360 mieszkańcami; województwo zaś rawskie: 2 mile □, z miastami Kutnem i Oporowem, z 33 wsiami, 5,200 mieszkańców.

4. Powiat brzeziński: 14 mil □, z 98 wsiami, 16,950 mieszkańcami, 4 miastami: Brzeziny, Będków, Stryków, Bartoszewice; ostatnia miejscowość teraz wsią, reszta prócz Brzezin osadami. Cały obszar wchodzi w skład województwa łęczyckiego.

5. Powiat łódzki: 14 mil □ z 13,890 mieszkańcami, 92 wsiami, 5 miastami: Kazimierz, Tuszyn, Rzgów, Łódź, Zgierz. Z tych teraz Kazimierz i Tuszyn osadami, Rzgów wsią. Z powyższego mieści się w województwie łęczyckim 8,5 mil □ z miastami: Kazimierz, Zgierz i Łódź, z 59 wsiami, 8,290 mieszkańcami; w województwie sieradzkim 5,5 mil □, z miastami Tuszyn i Rzgów, z 33 wsiami, 5,600 mieszkańcami.

6. Powiat łowicki: 5,5 mil □ z 2 miastami a teraz mniejszymi osadami: Bielawy, Sobota, z 67 wsiami, 10,160 mieszkańcami. Cały ten obszar w województwie łęczyckim leży.

7. Powiat kolski: 5,5 mil □, z 3 miastami a teraz osadami: Dąbie, Chełm, Kłodawa, z 55 wsiami, 9,550 mieszkańców, Wszystko się w województwie łęczyckim mieści.

8. Powiat nowo-radomski: 5,3 mil □, z 49 wsiami, 7,260 mieszkańców. Cały obszar do województwa sieradzkiego należy.

Archidyaconat cały obejmuje 100,3 mil □, 28 miast, 1,157 wsi, 164,820 mieszkańców. Z tego przypada na województwo łęczyckie: 68,5 mil □, 20 miast, 871 wsi, 116,260 mieszkańców, na województwo sieradzkie: 29,8 mil □, 6 miast, 253 wsi, 43,360 mieszkańców, na województwo rawskie: 2 mile □, 33 wsi, 5,200 mieszkańców. Dolicywszy 8,241 żydów, czyni ogólna ludność 173,060 głów; na takową przypada 11,5 wsi, a jedno miasto na 3,6 mil □, 1 kościół na 1 milę □, 1,648 głów na jedną parafię.

Archidyaconat łowicki. W archidyaconacie tym mieściło się 42 kościołów, z których 7 było królewskiego, 19 duchownego, reszta

w liczbie 15, szlacheckiego, 1 napoty królewskiego, napoty szlacheckiego patronatu. Z kościołów owych upadły później 3 kościoły. Po rozbiorze Polski jeden z owych wcielony został do dyecezyi sandomierskiej, reszta, 41, do archidyecezyi warszawskiej przyłączoną została. Wymienieni są następujący patroni szlacheccy: Prandota, wojewoda rawski w Żelaznie i Boguszycach; Katarzyna Kuczka w Czerniewicach. Abraham i Dorota Paplińscy, Katarzyna Paplińska, Mikoła Włodek, Andrzej, Maciej i Michał Lipscy; Wojciech Jagiełka w Krzemienicy; Jan Koryciński, Mikołaj i Tomasz Małeccy w Małeczu; Piotr Dunin, wojewoda brzeski, żona Wincenta w Ujeździe; Bartłomiej Żelechliński w Żelechlinku; Jan Plichta, Piotr Samson i Jan Kozielek w Kołasinku; Stanisław z Dmosina, Andrzej i Piotr z Kurzeszyna w Dmosinie.

Granica północna archidyaconatu, będąca przedłużeniem linii granicznej północnej archidyaconatu łęczyckiego, biegnie od Żychlina w prostym kierunku do Kocierzewa; tutaj styka się pod kątem prostym z granicą wschodnią archidyaconatu, która prostopadłe na południe się spuściwszy, idąc około miast Bolimowa, Skierniewic, Rawy, a w pobliżu Łęgonic na wschód się wygiąwszy, poniżej Nowego miasta do Pilicy, na rozgraniczu archidyaconatów kurzelowskiego i łowickiego i biskupstwa poznańskiego, przytyka. Granica ta dzieliła zarazem archidyaconat i archidyecezyą od tegoż biskupstwa. Na południe opiera się pierwszy na Pilicy, odłączając go od archidyaconatu kurzelowskiego, na zachód zaś, graniczy z archidyaconatem łęczyckim. Północna i wschodnia granica leży w województwie rawskim; południowa dzieli toż województwo wspólnie z łęczyckiem od sandomierskiego; zachodnia zaś, począwszy od Żychlina aż do Brzezin, rozłącza oba pierwsze województwa, poczem wszedłszy w województwo łęczyckie, południową swą częścią w témże leży województwie.

Następujące powiaty dostawiały ziemi archidyaconatowi;

1. Powiat łowicki: 14,5 mil □ z 89 wsiami, 19,150 mieszkańcami, 2 miastami; Łowicz, Bolimów; ostatnia miejscowość teraz osada. Wszystkie mięści się w województwie rawskim.

2. Powiat rawski: 12 mil □ z 122 wsiami, 14,450 mieszkańcami, 5 miastami: Rawa, Nowe-Miasto, Inowódz, teraz osada, Łęgonice, teraz wieś, Budziszewice, teraz wieś. Z obszaru owego mięści się w województwie rawskim 10 mil □ z miastami: Rawa, Nowe-Miasto, Łęgonice, Budziszewice, 107 wsiami, 16,350 mieszkańcami; w województwie łęczyckim 2,1 mile □ z miastem Inowódzem, 15 wsiami, 3,100 mieszkańcami.

3. Powiat brzeziński: 7,1 mil □, z 4 miastami: Ujazd, Jeżów, Dmosin, Główno, wszystko teraz osady, z 56 wsiami, 8,150 mieszkańcami. Z tego wchodzi do województwa rawskiego 6,3 mil □ z miastami Jeżów, Dmosin, Główno, z 51 wsiami, 6,900 mieszkańców, do województwa łęczyckiego 0,9 mil □, z miastem Ujazdem, 5 wsiami, 1,250 mieszkańcami.

4. Powiat skierniewicki: 8 mil □ z 73 wsiami, 14,500 mieszkańcami, miastem Skierniewicami. Wszystko wchodziło do województwa rawskiego.

5. Powiat grójecki: 1,3 mil □, z 12 wsiami, 1,700 mieszkańców. Wszystko w województwie rawskim.

Cały archidyaconat obejmował 43,1 mil □, 12 miast, 352 wsi, 62,950 mieszkańców. Z tego wchodziło w skład województwa rawskiego 40,1 mil □, 10 miast, 332 wsi, 58,600 mieszkańców; do województwa łęczyckiego: 2 mile □, 2 miasta, 20 wsi, 4,350 mieszkańców. Do tego doliczywszy 3,174 żydów, czyni 66,097 głów, na 1 milę □ 1,302 głowy; na tę wypadnie 8,2 wsi, a jedno miasto na 3,7 mili □, 1 kościół parafialny na 1 milę □, 1 parafia na 1348 głów.

Archidyaconat kamieński. Jak już wiemy, archidyaconat ten, w r. 1512 nowo utworzony przez prymasa Łaskiego, opisanym nie został, nad czém już powyżej się zastanawialiśmy. Gdy jednak zamiarem naszym jest narysować topograficzno-statystyczny obraz całej ówczesnej archidiecezyi, wypada nam przynależne wiadomości, o ile one archidyaconatu owego dotyczą, zestawić. Czynimy to na podstawie wizytacyi generalnych onegoż, w wieku XVII i XVIII sporządzonych, a przechowujących się w archiwum kancelaryi biskupiej w Pelplinie ¹⁾.

Z dokumentu przez prymasa r. 1517 wystawionego, mocą którego fundusze archidyacona kamieńskiego pomnożone zostały, a któryśś powyżej z rzeczonego archiwum podali, widzimy, że pierwotny podział archidyaconatu na dekanaty, innym był jak w czasach późniejszych. Rozkładał on się bowiem na dekanaty: nakielski, tucholski, sempolski i chojnicki. Podział ten jednakowoż krótkotrwały, ustąpił wnet nowemu na dekanaty: nakielski, łobżenicki, trucholski, wiegboriski i czarneńsko- (Hammerstein) człuchowski. Pozostał on też aż do nowej organizacyi biskupstw polskich na mocy buli de salute animarum z r. 1821, gdzie się owe dekanaty przedzierzgly w dekanaty nakielski, bydgoski, kamieński, tucholski i człuchowski. Kościołów liczył za czasu Łaskiego archidyaconat kamieński 57 ²⁾, z których było królewskiego patronatu 18, duchownego 7, szlacheckiego 32. Teraz prócz 30 filialnych, znajduje się na obszarze powyższym 54 kościołów parafialnych. Gdy w roku 1821 przeszło trzy czwarte części archidyaconatu odjęto

¹⁾ Są następujące: *Visitatio ecclesiarum ac sacerdotum in archidioecesi Gnesnensi Archidiaconatus Camenensis... per... Stanislaum Trebnic, archidiaconum et officialem Camenens. expedita anno, 1653. Visitatio... per... Michaelem Lewald Jezierski, Archidiaconum et Officialem Camenens... facta et expedita. A. D. 1696. Visitatio Archidiaconatus Camenensis (Szembek). 1744. Visitatio Generalis Archidiaconatus Camenensis... per Ludovicum Josephum Mathy, Prothonotarium Apostolicum... ecclesiarum Metropolitanac Gnesnens., Cathedralis Posnanicens.,... visitatorem generalem, anno 1766 inchoata, et subsequenti anno videlicet 1767 continuata.*

²⁾ Lib., ben. Ł., I, 4.

archidyecezyi, i takowe wspólnie z archidyakonatem pomorskim, położonym pomiędzy wschodnią onejże granicą i Wisłą, a odebranych biskupstwu kujawskiemu, do biskupstwa chełmińskiego przyłączone zostały: odpadło do tegoż biskupstwa 32 parafii umieszczonych w dekanatach człuchowskim, kamieńskim i tucholskim, a 22 położonych w dekanatach nakielskim i bydgoskim pozostało przy dawniej metropolii.

Granica zachodnia archidyakonatu, prostopadłe stanąwszy na Noteci po stronie wschodniej miasta Ujścia, biegła ku rzece Gdździe, a osiągnąwszy ją, szła jej korytem aż do ujścia rzeczki Czarnej (Zahne); odtąd suchą drogą do jeziora Długiego podążała, by w dalszym swym biegu końcem swoim się oprzeć na północnych brzegach jeziora Bielskiego (Belzig). Granica ta, będąc zarazem i zachodnią granicą archidyecezyi, dzieliła jedno i drugie od biskupstw poznańskiego i kamieńskiego. Przy jeziorze Bielskiem skręciwszy się na wschód, określając miasto Białę ¹⁾, nad niem położone i biegnąc wzdłuż południowego stoku centralnej wyżyny tylnopomorskiej, licznemi poprzerynaną jeziorami i bagnami, stanowi ona zarazem granicę północną archidyakonatu i archidyecezyi z biskupstwami kamieńskim i kujawskiem. Dobięwszy źródła rzeki Brdy, wykręca się potem na południe, by wschodnią tworzyć granicę archidyakonatu. Biegnie najprzód nieprzerwanie ²⁾ korytem rzeki Brdy aż po za ujście rzeczki Sępólny do Brdy; tutaj odcepiwszy się, podążyła do pobliskich źródeł strumy-

¹⁾ Miasto to z niemiecka Baldenburg się zowie. Dawniej je zwano Bialenburg. Tak rzeka Biała, jak i jezioro Bielsko (Belzig), z którego rzeka wypływa, a nad którym niemieckie Baldenburg leży, jako też dawniejsza nazwa niemiecka: Bialenburg przemawiają za tém, że polska nazwa brzmiała Biała; burg zaś przypiełi Krzyżacy, gdy tamże zamek wybudowali.

²⁾ Apparatus Pauper ad Historiam Ecclesiasticam Pomeraniae, ułożony w roku 1749 przez uczonego przeora Kartuzyan w Kartuzach na Pomorzu, Jerzego Szwegla, a przechowujący się jako manuskrypt w bibliotece seminarium w Pelplinie, zapisuje, że parafia polska ciechocińska (Poln. Cekzin), leżąca po lewej stronie Brdy, do archidyecezyi należała. („Ecclesiam hanc... ad Archidioec. Gnesnens. spectasse,” str. 197). W błąd wprowadziło uczonego autora nieścisłe tłumaczenie na polski język przywileju wsi pols. Ciehocina, w którym czytał: „A xięci Arcybiskupi podatek powinni będziemy za nich łożyć” (str. 196). Przywilej ten wystawiony został roku 1377 w języku niemieckim przez Henryka z Pullendorfu, komtura tucholskiego, w którym miejsce to brzmi: „und des Herrn Bischofs Geld sollen wir etc.” (Acta Generalia des General-Vicariats zu Pelplin, betreff. das Grund-Eigensthum der kathol. Pfarrkirche in Poln. Cokcyn). Na mapie Wielkopolski, powyżej już wspomnianej, mylnie jest ziemia Zaborska, czyli Podlaska, leżąca pomiędzy lewym brzegiem górnej Brdy a Czarną Wodą do archidyecezyi gnieźnieńskiej włączona. Ziemia ta wchodziła w skład dyecezyi kujawskiej. Cf. Ecclesiae Diocesis Vratislaw. et Pomer. Rubryc. dyecez. kujawsko-kaliskiej, z roku 1882, str. 22.

ka Plutnicy ¹⁾, wzdłuż którego aż do zgięcia przy wsi Krompiewie biegnie, gdzie go opuszcza, a przesunąwszy się pomiędzy archidiecezjalnymi parafiami: samsieczyńską, mroczeńską i ślezińską z jednej, a kujawsko-diecezjalnymi byszewską i dąbrowską ²⁾, z drugiej strony, w pobliżu Noteci ku zachodowi się wygiąwszy, kończy się u téjże rzeki. Granica wschodnia dzieliła zarazem z archidyaconatem archidiecezją od biskupstwa kujawskiego ³⁾. Od końca archidiecezyi prowadziła rzeka dopiero co wymieniona granicę południową, bez przerwy aż do zetknięcia się jęj z granicą zachodnią. Przerzynając w poprzek województwo guieźnięskie, dzieliła archidyaconat nasz od archidya-

¹⁾ W buli Innocentego II z r. 1136 zwany jest Plitviza (Cod. Dipl. Maj. Pol., I, 11); w dokumencie zaś Wojciecha, wojewody kujawskiego, z r. 1341 czytamy: Plutwicza (tamże, II, 535). Myśmy go nazwali Plutnicą dlatego, iż takie nazwy dość często spotykamy, np. w powiecie wajrowskim; i że tematową samogłoską w źródłosłowach plusk, pluta, wyrażających pojęcie mokości wody, jest *u*. Strumienia nazwa, gdy się poraz pierwszy w buli powyższej pojawiła, a o której zresztą już dawno zapomniano, dała pochoop do rozmaitych konjektur. Quandt, Baltische Studien, XV Jahrgang, I, 176, trafnie wskazał na strumień teraz już wcale nieznaczny, wypływający w pobliżu Mąkowska, który płynąc przez kilka jezior obok Łońska, Wierzchocina, Kraplewa, z lewej strony wchodzi do rzeczki Rokitki, która przez Gniłę do Noteci się wlewa. Domysł ten zupełnie stwierdził dokument z roku 1341, powyżej powołany, gdzie rivulus Plutwicze, pomiędzy Mroczą a Koronowem, w pobliżu dopiero co wymienionych wsi, zapisanym jest. Por. Cod. Dipl. Maj. Pol., II, 928; IV, 368.

²⁾ Ks. Korytkowski na mapie swój mylnie zaznaczył Dąbrówkę, jako-by w archidyaconacie kamieńskim leżącą. Rozmaite jednakowoż specyfikacje i katalogi kościołów biskupstwa kujawskiego, jak z r. 1577, 1583, 1753, parafie owe do diecezji téj i dekanatu bydgoskiego liczą. Porówn.: Rubr. dyec. kujaws.-kalisk. z r. 1882, str. 18, 22, 30. Na mapie Wielkopolski wieś Słupowo mylnie po stronie kujawskiej położoną została, podczas gdy w Kodeksie dobrze do Wielkopolski policzoną jest. Natomiast niepotrzebne tutaj zrobiono zamieszanie, gdy poprawiono to, co na mapie dobrze zaznaczono, gdzie Wierzchucin po stronie kujawskiej położonym jest. Do tego uczyniono w Kodeksie, IV, 368, nr. 5 tę uwagę: „w miejscu tém zaszła na naszę mapie omyłka; Wierzchucin należał do Wielkopolski, jak tego dowodzą dyplomata etc. Dyplomata powołane całkiem prawdę mówią, ale nie rozumieją one Wierzchucina, na mapie w Kujawach po lewej stronie Pluznicy położonego, bo to nie jest szlachecki Wierzchucin, ale raczj kościelny, który w archidiecezyi w Krainie, po prawej stronie rzeczki owęj, na północ od pierwszego miłę odległy znajduje się, a który na mapie pominięty został.

³⁾ Brzydki błąd na mapie ks. Korytkowakiego razi, gdzie ponad Brdą zamiast biskupstwa kujawskiego, biskupstwo chełmińskie, jako graniczące z archidiecezją zaznaczone jest. Jak wiemy, biskupstwo to dopiero w roku 1822 przeszło w posiadanie archidyaconatu pomorskiego.

konatu gnieźnieńskiego, a na wschodnich swych kończynach odłączała go wspólnie z archidiecezją od biskupstw kujawskiego i poznańskiego. Archidyakoniat kamiński mieścił się w dwóch województwach: gnieźnieńskim i pomorskim, które po równych częściach dzieliła linia graniczna, korytem Dobryniki idąca. Południowa połowa, do gnieźnieńskiego województwa należąca, obejmowała dawniejszy powiat nakielski, zwany także „Krainą“, który wyraziste, bo naturalne określały granice, jako to rzeki: Noteć, Głda, Dobrynka, Kamionka, Brda i Płutnica. W skład jego wchodziły cały powiat złotowski na południe Dobryniki i Kamionki; wyrzyski z wyjątkiem Polichna i Paterka, skrawki powiatów chojnicko-tucholskiego, bydgoskiego i chodzieskiego. Północna zaś połowa, mieszcząca się w województwie pomorskim, obejmowała cały powiat człuchowski i części powiatu chojnicko-tucholskiego po prawej stronie Brdy leżące.

Powiaty powyższe, co do obszarów i ludności, z którymi weszły w skład archidyakonatu, przedstawiają następujące cyfry:

1. Powiat Człuchowski. 38 mil kw., z 5 miastami: Człuchów, Pr. Frydląd, Biała (Baldenburg), Czarne (Hamerstein), Łądek (Lan-deck), z 107 wsiami, 19,580 mieszk.

2. Powiat Złotowski. 27,6 mil kw., z 5 miastami: Złotowo (Flatow), Krajenka, Więcbork, Sępólno, Kamiień, z 113 wsiami, 16,990 mieszk. Z tego mieści się w województwie gnieźnieńskim 26,5 m. □, 5 miast, 107 wsi, 15,560 mieszk.; w pomorskim 1,1 mili kw., 6 wsi, 1,430 mieszk.

3. Powiat Wyrzyski. 21 mil kw., z 7 miastami: Nakło, Wyrzysk, Łobżenica, Dźwierzno (teraz wieś), Miasteczko, Wysoka, Mroczka, z 144 wsiami, 22,470 mieszk.

4. Powiat Chojnicko-Tucholski. 20 mil kw., z 2 miastami: Chojnice, Tuchol, z 97 wsiami, 14,180 mieszk. Z tego do województwa pomorskiego: 18,4 mil kw., 2 wymienione miasta, 86 wsi, 12,980 m.; do gnieźnieńskiego: 1,6 mil kw., 11 wsi, 1,200 mieszk.

5. Powiat Bydgoski. 5 mil kw., z 30 wsiami, 4,100 mieszk.

6. Powiat Chodzieski. 4 mile kw., z 13 wsiami, 1,480 mieszk.

Cały archidyakoniat obejmował: 115,6 mil kw., 19 miast, 504 wsi, 78,800 mieszk. Z tego wchodziło w skład województwa gnieźnieńskiego: 58,1 mil kw., 12 miast, 305 wsi, 44,810 mieszk.; pomorskiego: 57,5 mil kw., 7 miast, 199 wsi, 33,990 mieszk. Do tego doliczwszy 3,965 żydów, czyni 82,660 głów, na milę kw. 733 mieszk.; na milę wypada 4,4 wsi, 1 miasto na 6,6 mil kw., 1 kościół parafialny na 2 mile kw., na jedną parafię 1,418 dusz.

Wedle powyższych obliczeń, obejmowała cała archidiecezja, granicząca na północ z biskupstwami: kamińskim i kujawskim, na zachód z kujawskim, poznańskim i krakowskim, na południe z krakowskim, na wschód z wrocławskim, poznańskim i kamińskim ¹⁾,

¹⁾ Są dowody, że archidiecezja gnieźnieńska, aż do czasu zagarnięcia

736,6 mil kw., z 176 miastami, 4,775 wsiami, z 668 kościołami, 861,531 mieszk. chrześcijańskimi i żydowskimi ¹⁾. Z tego mieściło się w województwie sieradzkim 154,8 mil kw., 25 miast, 1,241 wsi, 185,336 dusz; w gnieźnieńskim: 134,2 mil kw., 42 miast, 906 wsi, 140,150 mieszk.; w kaliskim: 124,2 mil kw., 34 miast, 862 wsi, 170,026 mieszk.; w łęczyckim: 68,5 mil kw., 20 miast, 871 wsi, 122,073 mieszk.; w sandomierskim: 99 mil kw., 22 miasta, 529 wsi, 94,657 mieszk.; w pomorskim: 57,5 mil kw., 7 miast, 199 wsi, 35,660 mieszk.; w ziemi wieluńskiej: 43,5 mil kw., 8 miast, 108 wsi, 37,005 m.; w województwie rawskim: 42,1 mil kw., 10 miast, 365 wsi, 66,990 mieszk.; w poznańskim: 5,4 mil kw., 2 miasta, 36 wsi, 6,196 mieszk.; w brzesko-kujawskim: 3,4 mil kw.; 1 miasto, 27 wsi, 3,297 mieszk.; w krakowskim: 0,9 mil kw.; 1 miasto, 3 wsie, 1,470 m.

Na milę kwadratową wypada 1,160 mieszk., 65 wsi; 1 miasto na 4,2 mil kw., 1 kościół parafialny na 1,1 mili kw., 1,224 mieszk. chrześ. na jedną parafię. (d. c. n).

Pomorza przez Krzyżaków w r. 1309, aż do morza Bałtyckiego się rozciągała posiadając tutaj archidyakoniat słupski (Stolpe), po lewej stronie Leby położony. Por. Hirsch w *Scriptores Rer. Pruss.*, I, 775. Cod. Dipl. Major. Polon., IV, 375. Maroński: *Die stammverwandtschaftlichen und politischen Beziehungen Pommerns zu Polen, bis zum J., 1227*, str. 45.

¹⁾ Zob. załączającą się przy niniejszym tablicę.

AUSTRYACKA NOWELA SZKOLNA.

PRZEZ

Michała Chylińskiego.

I.

„Dzieło, którego tu dokonywamy, jest bardzo złe; nie znajduje łaski u wielce szanownej zjednoczonej lewicy. Depcemy oświatę publiczną w Austrii; nie chcemy dać całym pokoleniom sposobności do kształcenia się; chcemy przywrócić, co powrócić już nie może; policzujemy dzieje powszechnie, ducha nauki i postępu. Co gorsza, chcemy ducha podrastającej młodzieży oddać znów pod jarzmo Kościoła; a co najgorsza, niektóre kraje mają mieć głos w sprawie szkół swoich. O zgrozo! Państwu austriackiemu zagraża ruina. Jedna tylko jest pociecha, że oburzenie ludu niebawem w proch zamieni nas, którzy nowelę uchwalamy, wraz z samą nowelą. Nowela ta jest ową kroplą wody, która sprawia, że przepełniona już miarka przelewa się; nowela ta spowodzi burzę, która przełamie zapory i otworzy drogę prowadzącą do pożądanego zdawna panowania znów jedynie powołanej do tego dawniej partyi „wiernokonstytucyjnej,” do panowania nowej zjednoczonej lewicy.“

Tak rozpoczął w parlamencie austriackim przy dyskusji nad nowelą szkolną swoją mowę Wojciech hr. Dzieduszycki, a w dowcipnie zestawionych zwrotach krasomówczych tego znakomitego pośła streszczają się wybornie wszystkie zarzuty, jakie w zaciekłym i namiętnym tonie, podnosili przeciw tejże noweli pierwszorzędni centralistycznego stronnictwa koryfeusze. Przez dwa tygodnie, na 13 długich posiedzeniach, z wytężeniem najdzielniejszych swych sił i zasobów umysłowych, z użyciem całego arsenału dyalektycznych i krytycznych środków, szturmowała zaciekle lewica Izby poselskiej do gabinetu hr. Taafego, a rozprawy parlamentarne nad niektórymi zmianami w urzędzeniach szkolnych, wybiegły rychło na pole wyłącznie polityczne, na którym

wiedeńscy centraliści toczyli zażarty bój o byt polityczny, o straconą władzę i hegemonią w państwie. Uniesieni straszną boleścią, w żałosnych swych głosach, odwoływali się ci mężowie starsi wyraźnie do tych „błogich czasów stariej Austrii,“ w których wszechwładna biurokracya wywiesiła fałszywy liberalizm jako przewodnią ideę państwa, a oświatę różnorodnych ludów, składających monarchią, ograniczyła do zupełnego zgermanizowania wszystkich instytucyi naukowych.

Do tego okresu omnipotencyi państwa, urzeczywistniającej w pełnym blasku ideał bezwzględnie centralistycznej formy rządu, odnoszą się początkowe dzieje szkoły ludowej w Austrii. Od Maryi Teresy bowiem i jej „liberalnego“ syna Józefa II, datuje się „powszechna ustawa szkolna“ z roku 1774, przepisująca szkołom ludowym, jako cel główny „jednostajne kształcenie sposobu myślenia wszystkich ludów.“ Na tej samej zasadniczej myśli osnuty, ukazał się następnie za cesarza Franciszka I w roku 1805 zbiór postanowień, odnoszących się do szkół ludowych, znany powszechnie pod nazwą „politycznej ustawy szkolnej,“ wprowadzającej jednostajność w sposobie myślenia i zasadach, w pojęciach o ojczyźnie i obowiązkach względem niej, które stanowią mają najściślejszy węzeł między monarszą władzą i spokojną powolnością poddanych, a wreszcie utrzymanie nienaruszonej harmonijnej politycznej zgody między narodami monarchii, różnemi pod względem obyczajów, zwyczajów, klimatu i t. p.

W tento sposób zdrowe zasady dydaktyki i pedagogiki poświęcono jednostajności politycznego systemu, który oparłszy cały ustrój szkolny na jednej i tej samej zasadzie, przepisał dla wszystkich rodzajów szkół jednostajne plany i książki szkolne. Wskutek tak bezwzględnie jednostajnych, z góry narzuconych urzędów, zakłady naukowe, jak słusznie zauważono, zeszyły na proste tresowanie uczniów, nauczyciele na tresowników, a uczniowie na automatów mechanicznie uczących się zadanych lekcji i recytujących je na zawołanie.

I oto liberalna lewica w austriackiej Izbie poselskiej wśród powszechnego roznamiętnienia i rozdrażnienia, zatęskniła za tą szczęśliwą dobą dziejową, w której urządzenia szkolne wszystkich krajów nąginano do jednego centralistycznego szablonu, a wszyscy jej mówcy wychodząc z zasad wolności, dalszą argumentacyą swoją opierali na stariej austriackiej tradycyi biurokontycznej. Słusznie też ks. Jerzy Czartoryski, w świetnej mowie, pełnej głęboko obmyślanych poglądów politycznych, uderzając na przestarzałe formuły t. z. racyi stanu, z całą siłą zaznaczył, iż centralistom trudno rozstać się z ideami dziedzicznymi. „Widać — wołał mówca — jak te tradycye, do których zawsze się odwołujecie, tradycye z czasów przedmarcowych (r. 1848) dziś jeszcze tkwią w kościach i szpiku całego pokolenia, przybrawszy tylko konstytucyjny strój odświętny, w którym paradują ku zjednaniu sobie mniejszej wdzięczności. Skoro tylko coś nie zgadza się z doktryną panów przeciwników, mówią, że to nie liberalne i powołują się na tradycye biurokratyczno-policyjne. Ależ czasy przedmarcowe wszakże są poję-

ciem niewoli, a wy wszystko zawsze z tych czasów cytujecie! I tem chcecie udowodnić, że my jesteśmy wrogami wolności? A gdy się zwróci uwagę, że te cytaty nie zgadzają się z pojęciami rozwoju wolności, do których ja zaliczam także np. uszanowanie indywidualności, uszanowanie gminy, uszanowanie praw krajowych, zrzucacie sukienkę liberalizmu i ukazujecie się w urzędowym stroju doktrynerów biurokratycznych.”

II.

Pozornie tylko na nowe tory weszła szkoła ludowa w Austrii w r. 1855, kiedy zawarty został konkordat między papieżem Piusem IX a monarchią austriacką, który uregulował stosunki między państwem a kościołem. W artykułach V—IX zawiera on zasadnicze zarysy organizacji szkoły ludowej. Według art. V konkordatu, cała nauka katolickiej młodzieży we wszystkich publicznych i prywatnych zakładach naukowych, musiała być zastosowaną do zasad religii katolickiej, a biskupi mieli kierować całym religijnym wychowaniem młodzieży i troskliwie czuwać nad tem, aby w szkołach nie uczono niczego, coby się sprzeciwiało katolickiej wierze i moralności. Według art. VIII konkordatu wszyscy nauczyciele, pracujący w szkołach ludowych katolickich, oddani byli pod nadzór kościoła, a naczelnego inspektora szkół mianował cesarz na przedstawienie biskupów.

Konkordat zapewnił tedy przeważny wpływ kościołowi na edukacją publiczną, wysunął wychowanie religijne w duchu katolickim na pierwszy plan, ale dawniej rutyny biurokratycznej nie złamał, gdyż i konsystorze ówczesne ulegały prądom i tendencjom politycznym do tego stopnia, iż obojętnie się zachowały nawet wobec wprowadzenia języka niemieckiego do wykładów religii w gimnazyach. Panującego systemu centralistycznego, nie szanującego indywidualności, nie uwzględniającego różnorodności umysłowego wykształcenia w Austrii, pragnącego, aby państwo wszędzie wniknęło, wszystko załatwiło i zcentralizowało, nie skruszyły, w ustroju szkół nawet ustawy zasadnicze państwa z 21 grudnia 1867 roku, na mocy których państwo wyłącznie sobie zastrzegło najwyższe kierownictwo i nadzór nad ogólnym nauczaniem i wychowaniem, a tem samem szkoła nasza nie wydobyła się z błędnego koła centralistycznego, a oświata ludowa nie mogła się dźwignąć odpowiednio do potrzeb praktycznych i tradycji historycznych poszczególnych krajów koronnych.

Nowa era w rozwoju szkoły ludowej w Austrii zaświtać miała w roku 1869, kiedy uchwalono nowe zasady dla urzędów szkolnych, a gdy ustawa ta przychodziła do skutku, wówczas posłowie galicyjscy uważali w niej naruszenie prawa i konstytucyi, która tylko ustanowienie zasad ogólnych przekazywała radzie państwa, poruczając sejmom krajowym szczegółowe ich rozwinięcie. Gdy zaś głos posłów naszych, będących wówczas w mniejszości, przebrzmiał bez wpływu,

wówczas ze stanowczym protestem, opuścili oni Izbę poselską i nie brali udziału w szczegółowej nad nową ustawą szkolną dyskusji.

Wbrew tedy woli galicyjskiego poselstwa, ustawa ta przyszła do skutku i wprowadziła: 1) równouprawnienie uczniów i nauczycieli bez względu na wyznanie religijne; 2) zaprowadziła obowiązek ośmioletniego uczęszczania do szkoły; 3) poruciła naukę wszystkich przedmiotów oprócz religii, nauczycielom świeckim; 4) rozszerzyła przesadnie plan i zakres nauki w szkołach; 5) zaprowadziła szkoły wydzielone i 6) podniosła znacznie wymagania przy egzaminie kandydatów, pragnących uzyskać kwalifikacyą nauczycieli szkół ludowych.

Stworzoną na takich zasadach ustawę szkolną powszechnie podziwiano, a rozptylując się w przesadnych pochwałach, uznano ją za wzór ustawodawczego dzieła. Doświadczenie okazało jednak wkrótce, że ustawie zabrakło naturalnej siły, która zapewnia życie i pomyślny rozwój, a wedle zręcznego i dowcipnego wyrażenia się posła Euzebiusza Czerkawskiego, całe to dzieło, które zasobami wiadomości i wiedzy w podziw wprawiać mogło, nieuprzedzonym wydawało się, jak Wagnera homunculus w Göthego „Faustcie,” spłodzony sztuką uczonego, ale nie mający siły, jaką tylko płód naturalny mieć może. Homunculus ten rozbić się musiał o żywioły przeciwne, bo „chociaż nauka jest kosmopolityczna, nie całkiem tak ma się rzecz z wychowaniem. W wychowaniu trzeba baczyć przedewszystkiem na indywidualność wychowanka; do niej nauka stosować się powinna. Zastosujmy to do ludów, a wychowanie każdego ludu będzie musiało być inne. Praca, historia, którą lud ten przeżył, forma wiary w rzeczy nadzmysłowe, sposób życia duchowego w sztuce i umiejętności, wszystko, cokolwiek obejmuje i uszlachetnia życie, powinno znaleźć oddźwięk w wychowaniu ludu, powinno być materiałem i środkiem do uszlachetnienia i podźwignięcia ludu. Odstępując od tej zasady, można dochować się człowieka sztucznej organizacyi duchowej, który nigdy nie będzie mógł spełnić przeznaczenia swego.”

Austria stanowi całość złożoną z różnych organizmów politycznych, z których każdy ma swoją odrębną historią i odrębne właściwości. Te to właściwości przynajmniej w pewnej części, uwzględniła sankcyonowana 2-go maja b. r. nowela szkolna, która nie naruszając prawideł ogólnego ustawodawstwa szkolnego, wyrwała je z pod wpływu politycznej doktryny, podciągającej pod jeden szablon odmienne stosunki i potrzeby cywilizacyjne różnych krajów, a dążącej wyraźnie do oderwania zupełnego szkoły od kościoła.

W instytucye szkolne z r. 1869 z przyczyny ich niepraktyczności, niezastosowania do potrzeb ludu i kosztowności niezwyklej, nie uderzyli pierwsi Polacy, ale niedostatki tej ustawy, wykazane zostały w sposób jaskrawy najpierw w gruntownej mowie Belcredego w Izbie wyższej, a w ślad za tém zgrupowała się prawica w Izbie niższej około znanego wniosku Lienbachera, żądającego, aby czas przymusu szkolnego z lat ośmiu ograniczyć do sześciu, który to postulat znalazł

uwzględnienie w noweli szkolnej. Wniesiona nowela nie mogła naturalnie zadowolnić wszystkich; była ona tylko nieśmiałym, połowicznym środkiem, odpowiadającym w części życzeniom ludności katolickiej i jej reprezentantom w radzie państwa; ale w każdym razie wprowadziła ona zmiany na podstawie praktycznych doświadczeń, a wprowadziła je z wielką oględnością i wyrozumieniem, nie chcąc zburzyć ciągłości całego dotychczasowego systemu szkolnego.

III.

Przeciw projektowanej noweli podniosła zjednoczona lewica, wojująca kruchym taranem pseudo-liberalnych frazesów, straszny krzyk rozpacz i boleści! * * Trudno zrozumieć przyczyny, dla których i niektóre organa warszawskie, mieniące się postępowemi, jak „Przegląd tygodniowy” i „Prawda” skargom tym wtórować się nie wahały. * * Red. Zatrzęsło się państwo w swych fundamentach, wpływem reakcyjnym szerokie otworzono szlaki, omnipotencją państwa zastąpiono wszechwładzę kościoła w szkole, zrujnowano szkołę, obniżono poziom nauki w szkołach ludowych, obskurantyzm podniesiono na stanowisko zasady społecznej i politycznej, a wreszcie naruszono ustawę zasadniczą państwa, uprawniającą wszystkich obywateli bez różnicy wyznania do udziału we wszystkich urzędach publicznych! Oto przeraźliwy lament zbankrutowanego stronnictwa politycznego, co niedawno będąc w większości w zaprowadzeniu bezpośrednich wyborów, nie chciało dojrzyć pogwałcenia praw konstytucyjnych, lecz wołało hardo i butnie, iż ustawy zasadnicze nie powinny tamować zdrowego rozwoju politycznego na szerszej podstawie, ale raczej mają tworzyć fundament do dalszej, silniejszej i wszechstronniejszej budowy społecznej.

Lament to zaiste nieuzasadniony, gdyż w dawniej ustawie szkolnej pozostało wiele rzeczy nietkniętych, nienaruszonych, a tylko mała jej część uległa nieznacznej modyfikacji. Zbyt szerokie ramy trzebaby zakresić niniejszemu artykułowi, gdybyśmy chcieli skrupulatnie dotknąć wszystkich zmian, wprowadzonych w dawniej ustawie szkolnej; drobiazgowość taka zawiódłaby nas chyba wprost do zestawienia tekstu ustaw z r. 1869 a r. 1883, coby nie było ani bardzo pożytecznym, ani ciekawym. Wypadnie nam tylko wskazać na ogólną ideę przewodnią, przyświecającą noweli, i podać choćby tylko pobieżną ilustracją do kilku jej paragrafów, przeciw którym najgwałtowniejszą wszczęto wrzawę.

Rozpoczniemy od § 21 noweli, onego paragrafu, który miał być warownią przyszłego obskurantyzmu w oczach lewicy. Paragraf ten określa w tej samej formie, co dawna ustawa szkolna, zasadę, iż „obowiązek uczęszczania do szkoły zaczyna się z ukończonym szóstym, a trwa aż do ukończonego 14 roku życia,” i dopiero w dalszych postanowieniach zawiera jasno sformułowane ulgi, jakie na przedstawienia rodziców można przyznawać dzieciom, skoro przez sześć lat do szkoły uczęszczały. Konieczność tych postanowień wywołało doświadczenie, iż nigdzie w Austrii ośmioletni przymus szkolny przeprowa-

dzonym w rzeczywistości nie został; cichaczem tedy tolerowano ten anormalny stan, z konieczności zwalniano dzieci od wypełnienia ustawodawczego rygoru, a praktyka dowiodła, iż we wszystkich krajach austryackich poza Galicyą, dzieci już po 12 roku uzyskiwały dispensę od całodziennéj nauki szkolnéj.

Nowela usuwa tedy to w praktyce tolerowane zniżenie poziomu naukowego, stanowiąc, że uczęszczanie do szkoły bezwarunkowo ma trwać sześć lat, a dopiero potem może być dzieciom aż do ukończonego 14 roku życia udzielana skrócona co do czasu nauka, ograniczająca się do pewnéj części roku, do półdzionków, lub wreszcie do pewnych dni w tygodniu. Nowela postanawia w końcu, iż odtąd ulgi co do obowiązku uczęszczania do szkoły w siódmym i ósmym roku przyznawane będą tylko na prośby zwierzchności gminnéj, podczas gdy według dawnéj ustawy szkolnéj prośby o to wnoszone były przez samych naczelników gmin. Często zdarzało się, że taki naczelnik, myśląc tylko o własnym synu, wnosił podanie imieniem całej gminy. Takiemu nadużyciu zapobiega tedy nowela i wymaga, aby reprezentacja gminy wносиła prośbę, w czém leży rękojmia, że za podstawę ulg służyć będzie w przyszłości wzgląd na dobro ogółu, a nie korzyści i zachcianki indywidualne.

Nowela tedy usunęła jaskrawe niezgodności między praktyką a teorią i położyła tamę możliwym nadużyciom; i czyż dlatego może być nazwana wsteczną?

„Niéma tu ani wstecznictwa, ani pogwałcenia, rzekł poseł Dzeduszycki, bo jakkolwiek istnieje dawna ustawa, przepisująca ośmiolecie, ale ustawa nie jest wykonywana. Czy zaś dobrze jest, żeby obowiązująca ustawa nie była wykonywana? Czyż to nie podkopuje w ludności poczucia prawa i powagi ustaw, co stanowi ważny czynnik w życiu państwa, szczególnież konstytucyjnego? A więc lepiej, że ustawa będzie zgodna z prawdą, z rzeczywistością. Nikogo nie zniewala się posyłać dzieci do szkoły tylko przez lat sześć, nikomu nie zadaje się gwałtu. Nazywanie się liberałami może byłoby na miejscu, żebyście dowiedli słuszności téj nazwy, głosując raz za tém, co jest libertas.”

Lecz najcielniejsze pociski wymierzono przeciw § 48 noweli, za pośrednictwem którego, zdaniem lewicy, szkoła staje się wyznaniową i poddaną nadzorowi kościoła. Paragraf ten przypisuje, iż kierujący nauczyciel powinien należeć do wyznania większości uczniów i uzyskać ze strony władzy kościelnéj świadectwo, kwalifikujące go do udzielania nauki religii dla tego wyznania, do którego większość uczniów dotychczaséj szkoły należy.

Paragraf ten, jak wykazał dowodnie poseł E. Czerkawski, jest tylko konsekwencyą § 5-go, który stanowi, że o nauce religii staranie należy do społeczności wyznaniowych, że jednak wyjątkowo i sposobem subsydyarycznym nauki téj udzielać może także nauczyciel świecki, a to za zgodą społeczności wyznaniowéj. Paragraf piąty tedy, mówiąc o świeckich nauczycielach religii, oczywiście stanowi zarazem, że tacy nauczyciele być powinni, którzyby religii uczyć mogli. I jedynie to ma

§ 48 na celu, dodając tylko, że nauczyciel ten ma być zarazem kierownikiem szkoły. Z tego jednak nie wynika jeszcze, żeby nauczycielowi temu wolno już było uczyć religii, bo to zawisło od przyzwolenia biskupa; ale obowiązkiem państwa jest mieć staranie o to, aby był taki nauczyciel.

Z pod paragrafu tego wyjętą jednak została Galicya. Powody, dla których to się stało, rozwinięte w jasnej i jędrnej formie przez p. Czerkawskiego, a rzucające wiele prawdziwego światła na nasze wewnętrzne stosunki, pozwalamy sobie w zwięzłym podać streszczeniu:

„My w Galicyi, powiada dr. Czerkawski, zajmujemy wyjątkowe stanowisko. Przepis § 48-go może być stosowany w kraju, w którym jest przeważnie jedno tylko wyznanie. Tam niedobrzeby było, gdyby wśród ludności jednego wyznania pojawił się nauczyciel innego wyznania. Ale w kraju, jak Galicya, gdzie różne wyznania warstwami leżą tuż obok siebie i nad sobą, trzeba w interesie pokoju wyznaniowego starać się, aby te różne wyznania nie były rozłączone, lecz ile możności do siebie zbliżone i z sobą pojednane. Gdyby w Galicyi ten paragraf obowiązywał, to byłby on co do rzymskich, a greckich katolików obojętny. Polacy i Rusini mają jedną wiarę, a że gminy prezentują nauczyciela, przeto nie można przypuścić, żeby gmina grecko-katolicka wzięła sobie innowiercę na nauczyciela. Nie potrzeba u nas takich postanowień zawistnych. Protestantów jest u nas bardzo mało, a ci mają po większej części własne szkoły wyznaniowe. Ale z żydami rzecz ma się osobliwiej. Dawniej mieli w różnych miejscach po kraju szkoły wyznaniowe; te szkoły wyznaniowe zamieniły się potem na powszechne szkoły publiczne. Szkoły te istnieją po dziś dzień i lubo nazywają się publicznymi, służą głównie potrzebom żydów. Nikomu ani się zamarzy obsadzać je innymi nauczycielami, jak żydowskimi. Rozwój szkół atoli sprawia, że dzieci żydowskie gromadzą się także w szkołach dawniej chrześcijańskich; zdarzały się nawet wypadki, że takie szkoły chrześcijańskie mają teraz większość uczniów żydowskich. Gdyby przeto § 48 obowiązywał w Galicyi, trzeba by usunąć nauczyciela chrześcijanina, a ustanowić żyda. Nie będę rozwodził się, czy to zgadzałoby się z poglądami ludności, skoro, jak wiadomo, całe wykształcenie nasze jest bądź co bądź przeważnie chrześcijańskie. Ale nabawilibyśmy się jeszcze innego kłopotu. Wiadomo, że stanowi nauczycielskiemu nie poświęca się tyle młodzieży żydowskiej, ile potrzeba do obsadzenia wszystkich szkół; braknie egzaminowanych nauczycieli żydowskich. Cóżby się stało z wakansem w braku nauczyciela? Wypadałoby wziąć nieegzaminowanego, a to nie byłoby z korzyścią, podczas gdy wyjęcie Galicyi z pod § 48-go pozwoli nam nie troszczyć się o to, jakiego wyznania będzie nauczyciel. Oprócz tego jest u nas inna jeszcze trudność. Nasze żydowstwo dzieli się na dwie połowy: reformistów i chassidim. Gdyby chciano uczynić zadosyć potrzebom religijnym, zachodziłaby wątpliwość, których uwzględnić. Mają też osobne władze wyznaniowe. Do której udać się, czy do władzy reformi-

stów, czy chassidim? Krajowa władza szkolna musiałaby narzucać się jako sędzia obu stronom, musiałaby wyrokować na korzyść jednych lub drugich. To sprowadziłoby zamęt, z któregoby wyjść trudno."

Że taki zamęt mógłby istotnie powstać, o tem przekonywają nas dowodnie daty statystyczne, zestawione przez p. hr. Dzieduszyckiego, celem wykazania, że nie we wszystkich krajach koronnych ludność jest jednolitą. Podczas bowiem, gdy w dolnej Austrii z stolicą państwa Wiedniem, jest tylko 2% nie-katolików, w Styrii zaledwie 1%, w Czechach niespełna 4%, jest ich w Galicyi prawie 18%, w Dalmacyi nawet 20%. A więc w pewnych krajach okoliczności nie pozwalają, by bez podziału dzieci, bez zakłócenia pokoju w szkole, już z mocy ustawy nauczyciel był tego samego wyznania, co przypadkowa większość dzieci. A gdy uwzględnimy nie cały kraj, lecz np. tylko miasta galicyjskie, stosunek wyznań będzie jeszcze wcale inny; tu stawa 50% naprzeciw 50%. Jakażby to była gonitwa między żydami a chrześcianami o kierownika szkoły! Partya, która w wyścigach tych byłaby pokonana długością pół łąba, uczułaby się obrażoną i upośledzoną; albo poszłyby dzieci żydowskie do jednej, chrześciańskie do drugiej szkoły, i tak odstreczyłoby się nawzajem od siebie przyszłych członków społeczeństwa, przyszłych obywateli państwa.

Pozostaje nam wreszcie pomówić o §§ 17, 18 i 19 noweli szkolnej, które zaprowadzają nową organizacyą szkół wydziałowych. Szkoła wydziałowa, która dotąd była czemś w rodzaju wyższorzędnej szkoły pospolitej, będzie odtąd osobną instytucyą z kursem trzyletnim, nawiązanym do ukończonego piątego roku szkoły pospolitej, z planem nauk, obliczonym na praktyczne przysposobienie dzieci do życia rzemieślniczego i rolniczego, a więc uwzględniającym potrzeby i okoliczności miejscowe.

Doświadczenie pouczyło bowiem, że szkoła wydziałowa według organizacyi z r. 1869 nie odpowiadała swemu celowi, była kreaeyą zupełnie chybioną. Wyłuszczył to dosadnie i trafnie poseł hr. Dzieduszycki, a głos ten, potrącający o najżywotniejsze kwestye wychowania publicznego, zastosowanego do potrzeb i wymagań ludności, nie będzie obojętnym i dla szerszego koła czytelników.

„Stopień powszechnej oświaty ludowej powinien się podnosić z biegiem czasu, a na to są szkoły wydziałowe. Pytam zaś: czy szkoły wydziałowe, jak je dotychczas widzimy, spełniają to zadanie swoje? Statystyka odpowiada, że nie. I spełnić go nie mogą. Dotychczas szkoła wydziałowa jest właściwie ludową szkołą miasta; ludność wiejska zaś, przeważna większość ludności austryackiej, nie może z niej korzystać. Wedle noweli zaś, szkoła wydziałowa będzie nie ośmioklasową, lecz trzyklasową, i stanowić będzie instytucyą osobną, przystępną dla każdego dziecka, które wyszło już z pospolitej szkoły wydziałowej. Ale to nie wystarcza jeszcze. Wymyślono tę piękną teorią przy stole biurowym w Wiedniu, stwarzając jeden szablon na wszystkie kraje i okolice. Dziecko mające skończyć szkołę wydziałową, musiałoby

poświęcić jęj tyle lat, jakgdyby ucześniezało do gimnazyum niższorzędnego, kosztowałoby tyleż i może musiałoby nawet opuścić dom rodzicielski. Człowiek z ludu zaś, wysyłając już dziecko z domu, woli oddać je do gimnazyum niższorzędnego. My, którzy wszyscy mniejwięcej znamy się na szkołach, wiemy, że gimnazyum niższorzędne jest o wiele gorszym zakładem oświaty ludowej od szkoły ludowej; ale nie uwierzy temu człowiek z ludu, któremu zdawać się będzie, że zazdrościmy jego dziecku tego, czego używają nasze dzieci. Łacina, greczyzna, stypendyum, gimnazyum wyższorzędne, matura, uniwersytet, urzędnik, ksiądz, uczony, lekarz, a może nawet poseł—oto co rodzicom z ludu stawa na myśli i dlatego nie posyłają dzieci do dzisiejszej szkoły wydziałowej. Dajmy szkole wydziałowej siłę atrakcyjną, urządzmy ją tak, żeby oprócz teoretycznej dawała także naukę praktyczną, a będzie uczęszczaną.”

Następnie po świetnie przeprowadzonej polemice z wywodami posła Carnerego, przystępuje hr. Dzieduszycki do umotywowania, dlatego Polacy, głosując za szkołą wydziałową wedle noweli, chcą się sami wyjąć z pod noweli i zatrzymać dawną szkołę wydziałową.

„Dla naszego kraju, powiada poseł Dzieduszycki, dawna szkoła wydziałowa była zupełnie nieprzydatna, bo trzeba nam dopiero dochować się ludności, któraby z szkół wydziałowych w ogóle korzystać mogła. Jak zaś to zrobić i jak urządzić same szkoły wydziałowe, to sejm tylko rozumie. I dlatego bardzo to pocieszająca dla nas rzecz, że rzeczywiście uzyskamy teraz prawo dźwigania oświaty ludu naszego w sposób racjonalny. Jest to nabytek takiej wartości, że za tę cenę musimy zgodzić się na żądania tych, którzy żądają czegoś dla swoich krajów. Jest to nabytek takiej wartości, że postąpilibyśmy sobie bardzo niepolitycznie i niemądrze, że zgrzeszylibyśmy przeciw krajowi własnemu i przeciw państwu, gdybyśmy nie pochwycili oburącz téj sposobności do stopniowego podźwignienia u nas oświaty ludowej własną ręką i z należytem zrozumieniem rzeczy, tak, żeby zrównać lud nasz z ludami już szczęśliwsiymi. Albowiem wiedzcież panowie, że od stu lat wszystko urządzano u nas z Wiednia, a urządzano źle, i to jest przyczyną, że lud nasz nie stanął jeszcze na tym stopniu oświaty, na którym widzimy zachodnie kraje monarchii.”

W omawianej noweli uwydatniliśmy te paragrafy, które całej ustawie wybitniejszą nadały cechę i około których w parlamencie żarliwe rozwinięły się rozprawy. Gabinet hr. Taafego, pragnący zapewnić swobodniejszy rozwój wszystkim narodowościom, musiał też uwzględnić odmienne stosunki i potrzeby w niektórych dzielnicach monarchii austriackiej i dlatego nowela określa wyraźnie zasadnicze wyjątki dla Galicyi, Dalmacyi i kilku innych krajów koronnych. Tak przeto nowela w najważniejszych swych postanowieniach bezpośrednio nie dotykała Galicyi, ale mimo to posłowie nasi, zgadzając się na ogólne zasady i dążności téj nowej ustawy, bronili jęj świetnie i w rezulta-

cie sami jedynie zapewnili ostateczne zwycięstwo projektowi rządowemu.

IV.

Nowela szkolna z 2 maja, uczyniła w § 75 ten požądany dla Galicy wyjątek, iż zastrzegła sejmowi poczynienie w wielu postanowieniach téjże ustawy zmian takich, któreby odpowiadały potrzebom i stosunkom kraju, a jakkolwiek § 11 lit. i ustawy zasadniczej naznacza granicę, jak daleko sięga kompetencya sejmu w ustawodawstwie szkolnym, to jednak i w tak ścieśnionym zakresie, można będzie w ustroju szkolnym wiele wadliwości sprostować, wiele przesady usunąć, a natomiast wiele świeżych i zdrowych pierwiastków edukacyjnych do życia powołać. Tak przeto sama nowela z 2 maja zawiera niejako wezwanie, aby najbliższy sejm galicyjski przystąpił do stanowczej reformy wychowania publicznego, od którego cała przyszłość pokoleń, tudzież harmonia społeczna i duchowa kraju zależy.

Nie pierwszy téż raz stanie sprawa reformy szkolnej na porządku prac naszego sejmu. Sprawa szkół ludowych, opartych na zasadach przymusu i bezpłatności, podniesioną została w sejmie galicyjskim roku 1869 przez wniosek posłów Chrzanowskiego, Dunajewskiego i Szujskiego. Konstytucyjne zasady szkoły ludowej, uchwalone w radzie państwa w Wiedniu, zastrzegły dla prawodawstwa krajowego wypracowanie osobnych ustaw, poruszających się w ramach państwowej ustawy szkolnej. Sejmowa komisya edukacyjna pod przewodnictwem d-ra Majera, wypracowała téż już w r. 1872 cały szereg tych ustaw, ale wśród pracy téj nabrała tém głębszego przeświadczenia, że nawet ogólne zarysy ustawodawstwa szkolnego w Wiedniu nakreślone, nie dadzą się z korzyścią zastosować do naszych stosunków i że tylko więksha swoboda sejmowi pozostawiona, mogłaby umożliwić ułożenie ustaw, odpowiadających w zupełności potrzebom kraju.

To téż już po kilkuletniem doświadczeniu, podniesiono w sejmie wyraźnie i dobitnie rażące niedostatki w organizacyi szkół naszych, a dość na tém miejscu przypomnąć, że hrabia Rey poddał wówczas surowej krytyce przesadny plan nauk w szkołach ludowych, hrabia Męciński uderzył na administracyą, nadzory i zarządy szkolne, a ś. p. Szujski przypomniął, że ustawy, które według planu ogólnego, z pewną wątpliwością w ich skuteczność, już w roku 1873 przyjęte zostały, wymagają gruntownej rewizyi i reformy na zasadzie nabytych doświadczeń. Wychodząc z oplakanego stanu ekonomicznego kraju, oraz z faktu grożącej nam hipertrofii inteligencyi, zwrócił Szujski uwagę, że reforma szkół ludowych winna przedewszystkiem mieć na oku zwrócenie nauki do celów praktycznych życia, gdy dzisiaj nauka ta wiedzie tylko do jednego celu ogólnego wykształcenia, a pozostawiając po drodze poronione półinteligencye, zamiast zasilać, pozostawia bez pomocy realne cele życia: rolnictwo, przemysł, rękodzieła

i handel. Plan nauk rozwleczony na lat sześć, nie zapewnia w krótkim czasie nauki czytania, pisania i rachunków, zajmuje czas przesadzoną nauką poglądu, a książki obliczone zarówno na wiejską, jak na wiejską ludność, nie rachują się ze specjalnymi potrzebami jednej i drugiej.

Nam trzeba — mówił Szujski — wykształcenia rolnika, aby się utrzymał przy ziemi, mieszczanina, aby się trudnił przemysłem i handlem, a nie ucznia, któryby zdolny, czy nie zdolny, drapał się do przepelnionych gimnazyów. Z takiego wychodząc założenia, żądał Szujski dla szkół osobnych wiejskich, czteroletniej nauki, dającej w tym czasie niezbędne wiadomości czytania, pisania, rachunku i religii, i czteroletniego kursu powtarzań, przez dwa pońdnie w tygodniu, dla młodszych dzieci wolne. Ułatwia się przez to zakładanie szkoły, naucezanie nauczyciela, a zapewnia kształcenie dalsze.

Przeciw tój czteroletności nauki przemawiali niektórzy posłowie w sejmie, ale izba przychyliła się na ostatniej sesji jednomyślnie do wniosku podjęcia tój sprawy na przyszłej sesji galicyjskiego sejmu, który, spodziewać się należy, zerwie ze starym systemem i rutyną i obmyśli w szerokich rozmiarach myśli reformy szkolnej, któraby odpowiedziała rozumnym potrzebom i wymaganiom naszego społeczeństwa.

W jaki zaś sposób należałoby praktycznie do tego ważnego dzieła przystąpić, wskazał z właściwą sobie bystrością i głębokiem zrozumieniem potrzeb kraju marszałek Zyblikiewicz w swój programowej mowie, wygłoszonej przy zagajeniu przeszłorocznego sejmu.

„Oświata ludowa postępuje co roku, lecz nader zwolna. Zasady naszej ustawy szkolnej są wzorowe, mamy bowiem naukę bezpłatną i przymusową, a nadto winny dzieci uczęszczać do szkoły 6—8 lat. Dziewięć lat obowiązuje ta ustawa, a jednak procent ludności naszej nieumiejącej czytać i pisać jest w porównaniu z innymi krajami monarchii, bardzo niekorzystny. Jakoż jest u nas jeszcze 2413 gmin administracyjnych, które dotąd żadnej szkoły własnej nie mają, ani do sąsiedniej wsi nie są przyłączone. Napozór zdawałoby się, że brak fundusów jest powodem, iż tak znaczna liczba gmin zostaje bez nauki nawet czytania. Tak jednak nie jest. Przyczyną złego jest, że dotąd więcej staraliśmy się o wydoskonalenie, czyli o reorganizacyą szkół dawnych, aniżeli o zakładanie nowych, rozporządzałe więc fundusze poświęciliśmy raczej na reorganizacyą dawnych aniżeli na otworzenie nowych szkół. Za tём poszło, że przez dziewięć lat ostatnich zreorganizowano u nas więcej niż 2000 szkół a założono nowych zaledwie 224, to znaczy, że potrzeba jeszcze więcej niż 96 lat, aby każda gmina miała swoją szkołę, jeżelibyśmy chcieli pozostać przy dotychczasowym systemie. Otóż rzecz zastanowienia godna, czy mamy przy nim pozostać, czy tóz go zmienić? Mojm zdaniem, należy zająć się wyłącznie zakładaniem szkół nowych na tak długo, dopóki każda gmina nie będzie miała swój szkoły a w tym celu potrzeba: powstrzymać dalszą reorganizacyą szkół, która jest bardzo kosztowna; koszt dzisiej-

szych szkół, wynosi przeszło 1½ miliona złr.; przed reorganizacją było ich o 224 mniej, lecz natomiast kosztowały 700,000 złr.; nie urządzić szkół nowych na skalę zreorganizowanych, lecz na skalę szkół dawnych, aby tém łatwiej kosztom ich i utrzymaniu podołać; nie wymagać od gmin kosztownych budynków szkolnych, lecz zadowolnić się chociażby chatą włościańską, byle żadna gmina nie była początkowej nauki pozbawiona; podjąć nanowo organizacją szkół dopiero w chwili, gdy w każdej gminie będzie szkoła.

Fundusze na te nowe szkoły w przeważnej części leżą odłogiem, są jeszcze nietknięte. Według ustawy szkolnej, każdy mieszkaniec płacić winien na utrzymanie nauczyciela 12% dodatków do podatków, a tych dodatków nie płaciły i nie płacą dotąd gminy, które szkoły nie mają. Znaczny więc kapitał szkolny został przez 9 lat zmarnowany. odtąd potrzeba te fundusze realizować, a ponieważ nie wystarczą, uzupełnić je oszczędnościami, jakie przez powstrzymanie reorganizacji uzyskamy. Tym sposobem do lat kilku każda gmina może mieć swoją szkołę. Nie będzie ona wprawdzie wzorowa, ale zawsze będzie czynnikiem oświaty, chociażby tylko czytać i pisać uczyła."

Oto jasno sformułowany program, do którego należałoby nawiązać nateraz całą pracę około oświaty ludowej. Program taki, oparty na szerokim poglądzie stosunków krajowych, natchniony bystrym duchem zdrowej inicjatywy, kruszy jednym zamachem skomplikowaną budowę biurokratycznego mechanizmu, do którego całą swą działalność nastroiła rada szkolna krajowa, będąca prosto biurokratyczno-pedagogicznym oddziałem namiestnictwa, pozbawionym wszelkiej samodzielności i niezdolnym wydobyć się z pod bezwzględnego wpływu i zależności od ministerjum.

Statut organizacyjny zastrzegł wprawdzie radzie szkolnej prawo wygotowania ogólnych projektów naukowych, tudzież częściowych projektów we względzie szkół ludowych i średnich, drogą uchwały sejmowej w wykonanie wejść mających, a na tej też zasadzie spodziewano się, iż nowy organ edukacyjny do życia powołany, na gruncie narodowym i autonomicznym oparty, zerwie stanowczo nie starych tradycji biurokratycznych i edukacji publicznej szersze, ściśle narodowe otwóży widnokręgi. Tymczasem nasza naczelna instytucja edukacyjna, zagrzęzła szybko w urzędniczej rutynie, przywiązała się zbyt namiętnie do jednostronnej pedanterii pedagogicznej i nie potrafiła działać twórczo i ożywczo, gdyż nie chciała odczuć i zrozumieć czego wymaga kraj, nie liczyła się z siłami i zasobami tego kraju, a tém samém nie umiała wychowania publicznego zastosować do żywotnych potrzeb i warunków naszego społeczeństwa.

Kształcenie i wychowanie młodzieży na uczciwych i pożytecznych obywateli kraju, to bezsprzecznie jedno z najważniejszych zadań naszych. Wiadomo bowiem, że wychowanie wywiera bądź dodatni, bądź ujemny wpływ na całą przyszłość wychowawca. Od kierunku edukacji zależy tedy przyszłość całych pokoleń. Zapomocą szkoły,

można społeczeństwo wydobyć z nędzy, zachęcić do pracy, wpoić w nie zasady moralności. Jakikolwiek mogą być polityczne i ekonomiczne warunki, wśród których pewne społeczeństwo już rozwinięte poruszać się musi, to zawsze nader ważną jest kwestya, jakie fizyczne, moralne i umysłowe siły tych ludzi, którzy wychodząc ze szkół, powołani będą do szerszego działania na arenie publicznej. Miejmy też nadzieję, że reprezentacya naszego kraju, pojmując należycie znaczenie szkoły w życiu i rozwoju narodu, w najbliższym czasie zbada sumiennie niedostatki i wady w dotychczasowém szkół urządzeniu i rozumnie obmyśli organizacyą takich instytucyi, które w przyszłości oddawać będą społeczeństwu obywateli, zdrowo pojmujących swoje obowiązki w rodzinie, w kraju i w państwie.

Z CZARNEJ GODZINY.

POWIEŚĆ Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI *).

PRZEZ

Feliksa Śrzeniawitę.

XIV.

W październiku roku 1831 odpasawszy pałasz, zrzuciwszy mundur i ładownicę, wróciłem do Królestwa, i pod koniec tegoż roku ujrzałem się w Kielcach, z pięćdziesięciu złotemi całego majątku.

Cóż teraz przedsięwziąć? — zapytywałem sam siebie. — Znajomość regulaminu jazdy, a nawet fortyfikacyi, strategii i taktyki, których, gotując się do egzaminu kwatermistrzowskiego nabyłem, nie mogły mi w niczem dopomóc; co gorsza, nie znałem nikogo w Kielcach ani w okolicy. Cóż zatem począć i gdzie się obrócić? Stoicy w takich okolicznościach dają radę łatwą do spełnienia: ustąp z tego życia, w ten lub drugi sposób; masz wolną wolę i nikt cię nie zatrzymuje. Ale ta rada była dobrą przed pierwszym rokiem naszej ery, to jest na 1831 lat przedtém: chcąc nie chcąc tedy, musiałem się zdobyć na filozofią własnego wyrobu:

„Nikt cię nie trzyma, a zatem jesteś wolnym, i masz prawo nie liczyć na pomoc niczyją. W takim zaś składzie rzeczy, licz tylko na samego siebie! licz z wszelką pewnością, albowiem potrzeba jest matką wynalazku!”

W domu, gdzie bardzo szczupłą zajmowałem stancyjkę, był głównym lokatorem pewien wyższy urzędnik Komisji wojewódzkiej. Jego córeczka pod bardzo nieudolnym kierunkiem matki, uczyła się grać na fortepianie i fałszywe dźwięki tego instrumentu rozstrojonego razi-

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za lipiec r. b.

ły moje ucho, wznosząc się jako hymn pełen dysharmonii aż do mojego mieszkania na poddaszu.

Porozumiałem się więc z właścicielem domu, i ten na moję prośbę oznajmił owym państwu, że ma w domu swoim kogoś takiego, co nie tylko stroi fortepiany, ale i daje lekcye muzyki. Poproszono mnie nazajutrz: zagrałem kilka sztuk, i umówiłem się o wynagrodzenie po złotych polskich 1 i gr. 10 za godzinę, czyli po zł. 26 gr. 20 na miesiąc, ponieważ po 5 godzin na tydzień miałem dawać, biorąc już na siebie strojenie fortepianu.

Po upływie czterech miesięcy moja uczennica zrobiła takie postępy, że sława metra zaczęła się rozchodzić po Kielcach. Tym sposobem mniej więcej w pół roku miałem już do 70 złotych dochodu. Gdyby nie twarda konieczność sprawienia sobie kilku sztuk bielizny i odświeżenia garderoby, moje położenie byłoby świetne. Jadałbym był obiad codzień, gdy tymczasem, z racyi powyższych potrzeb, nie mogłem sobie pozwalać takiego zbytku...

— A wieleż ty razy jadałeś na tydzień?— zapytał major.

— Czasami cztery, czasami trzy, stosownie do okoliczności. Tymczasem pewna dawna myśl dręczyła mnie, jak rozpacz, jak stracona nadzieja, jak widmo przeszłości: pragnąłem wyrzucić ją z mojej pamięci, ale na próżno. Zaborze i brzeg Wiślany, i śpiew Precyozy, i ciche łyżi téj, która śpiewała, stawały mi coraz częściej przed oczyma. Szukałem zapomnienia, starałem się je zagłuszyć, starałem się zakochać w jakiejkolwiek kieleckiej piękności... Jedna miała wyraz oczu, lub przynajmniej coś takiego w spojrzeniu, co tamto spojrzenie przypominało; druga znów głos, inna postawę, nakoniec jeszcze inna chód podobny. Wmawiałem w siebie, że kocham w tajemnicy serca, tę, tamtą lub inną. W towarzystwach kieleckich dość mile mnie przyjmowano: widywałem przystojne a nawet piękne kobiety, ale władza ich wdzięków, a nawet przymiotów duszy nie rozpościerała się nigdy nad mojem sercem. Nakoniec znużony, zniechęcony przestałem kłamać sam przed sobą i żyć sztucznie podniecaném złudzeniem.

Burza minionych wypadków zerwała węzeł moich stosunków z przeszłością. Moi przyjaciele i znajomi rozproszyli się po szerokim świecie, nie wiedziałem nawet gdzie i którego z nich szukać? Z dzienników dowiedziałem się o śmierci pana podczaszego. Cóż wam powiem dalej, wam którzy znacie niezmierny dług mojej wdzięczności dla niego? Zacząłem powoli wpadać w uśpienie myśli, uczuć i woli: chodziłem jak automat poruszający się bezwiednie, zobojętniałem wreszcie na wszystko co mnie otaczało. Zapytacie może, co się stało z przyjacielem inojego dzieciństwa i pierwszej młodości? Nie wiem. Jan był gdzieś daleko, ale nie pod rodzinnym dachem.

Taki był stan mojego umysłu i serca, kiedy jeden z moich znajomych warszawskich, p. S., prawnik z powołania, przyjechał do Kielc na patrona trybunału. Spotkaliśmy się, wychodząc obydwaj z kościoła.

— Pan Pokrzywnicki!—zawołał on podając mi rękę— Co pan tu robisz w Kielcach?

— Daję lekcyę muzyki.

— Magister obojga prawa daje lekcyę muzyki?

— Cóż czynić, panie? Byłem adeptem prawa, byłem wojskowym, a od roku nowy obrałem sobie zawód.

— Gdzie pan mieszka?—zapytał mnie po chwili.

Wskazałem mu moję kwatere i pan S. przyszedł do mnie nazajutrz.

Dowiedziałem się od niego, że miał objąć liczną klientelę w Kielcach po swoim wuju, który umarł na patronacie, przed niedawnym czasem, poleciwszy go jako zdolnego następcę, wszystkim swoim klientom. Znałem pana S. w Warszawie z dobrej strony i przewidywałem, że w Kielcach będzie miał powodzenie. Był to człowiek młody, bystry, obrotny, a przytém uczciwy. Z takimi przymiotami ludzie dorabiają się majątku, nawet nie zbaczając z drogi prawej.

Pod koniec swoich odwiedzin, mój gość oświadczył, że w owym czasie dużo było procesów już zaczętych w województwie, że on mając ich powierzonych sobie kilkanaście, będzie potrzebował nie jednego dependenta; nakoniec zaproponował mi, czybym nie przyjął u niego miejsca?

— Obadwaj jesteśmy beżzenni—mówił do mnie.—Mieszkalibyśmy razem i pochlebiam sobie, że byłoby panu nie źle...

— Ale zkąd pan masz pewność, że mam praktyczne uzdolnienie do patronatu?—zapytałem.

Pan S. rozśmiał się i nie odstępując od swęj zwykłej otwartości odpowiedział:

— Ten stary zrzęda i kutwa K. żałuje dotychczas, żeś go pan porzucił. A jednak, to prawnik nie lada, prawnik con amore.

Wkrótce potem porzuciłem lekcyę muzyki, i przeniósłem się na mieszkanie do pana S. Moja sława w Kielcach urosła o cztery piędzie, kiedy się dowiedziano, że mam stopień uczony, z którym jak mniemano tailem się dla jakichś wyrachowanych i z góry obliczonych celów. Toczono nawet spory o to, czy jestem magistrem, czy doktorem? Najpewniej doktorem, kiedy taka znakomitość od wielkiego ołtarza, jak doktor obojga praw i patron trybunału kieleckiego S., nie miał nic pilniejszego po swoim przyjeździe, nad wezwanie mnie sobie na pomoc.

Dwaj inni dependenci czyli praktykanci zaledwie pokończyli szkoły i moim obowiązkiem było im dać wykształcenie praktyczne; z początku bowiem cała ich czynność zasadzała się na przepisywaniu. Prócz tego, pisałem obrony więkšej części spraw powierzanych panu S., który i bez tego miał wiele do czynienia w trybunale.

Moje wynagrodzenie roczne wynosiło zrazu złp. 1200, a w drugim roku podniosło się do 2500. Prócz tego miałem kwatere i stół w dodatku. Zakres naszych czynności coraz bardziej rozszerzał się,

i w skutku tego byłem zawalony pracą suchą, jednostajną, urozmaicającą się wtedy tylko, kiedy trzeba było dobrze pomyśleć nad systemem obrony.

— Panie Henryku! — mawiał on do mnie czasami, wróciwszy z trybunału bardzo zmęczony. — Jeżeli ja nie dostanę suchot gardlnych od ujadania się przed kratkami, a pan zwyczajnych od siedzenia po nocach, będzie to prawdziwy cud Opatrzności nad nami... ale cóż robić, trzeba pracować, trzeba się dorabiać, dopóki zdrowie i siły służą; bo wiek pracy jest tenże sam co wiek miłości, to jest młodość. Kto się nie wciągnie do pracy za młodu, ten na starość musi nad siły pracować...

— Za pozwoleniem pańskim, lecz jeżeli kto nie wykocha się za młodu?

— To na starość będzie robił głupstwa. Taki jest porządek natury i biada temu kto właściwą porę przepuszcza.

Jak tylko dochody z patronatu znacznie się powiększyły, pan S. zaproponował mi sam nową umowę, która w dwójnasób polepszyła moje położenie pieniężne. W końcu trzeciego roku miałem już do 10,000 złotych kapitału. W tymże czasie p. S. ożenił się z panną, która mu prócz gotówki niezbyt grubej, przyniosła w posagu spory, ale dosyć zaniedbany majątek ziemski nad Wisłą.

— Kochany koleżko! — rzekł on do mnie w kilka tygodni po ślubie. Nie znam się wcale na gospodarstwie wiejskiem: widzę to tylko, że w ten spory kawał ziemi trzeba włożyć spore pieniądze, aby go uczynić produkcyjnym. Czy mogę po przyjaźni pańskiej spodziewać się pewnej ofiary?

— Gotów jestem na wszystko. Powiedz pan tylko o co idzie?

Pan S. prosił, iżbym obejrzał ten majątek i dał o nim swoje zdanie. Była to pierwsza od lat czterech podróż moja z Kielc.

Majątek potrzebował istotnie nakładu; rozpatrzywszy się więc w nim i przywoławszy sobie na pamięć tradycje gospodarskie, zaczerpnięte w czasach mojego błogiego pobytu w domu ś. p. pana podczaszego, u którego wszystko wprawdzie po staremu, ale wzorowo było urządzone, obliczyłem w przybliżeniu koszt na przyprowadzenie gospodarstwa do dobrego stanu i znalazłem, że nie potrzeba było na to tak grubej sumy jak sobie p. S. wyobrażał. Widząc przytém, że przy coraz powiększającej się naszej klienteli, prowadzenie gospodarstwa wiejskiego o mil kilka od Kielc, wcale nie było mu na rękę, doradziłem, iżby majątek swojej żony wypuścił w dzierżawę. Mówiąc o klienteli, nazwałem ją naszą na tej zasadzie, że od ożenienia się jego, nowa między nami stanęła umowa. Pan S. był osobą urzędową i wyłącznie przed trybunałem działającą, de facto jednakże byliśmy równi; klienci zwracali się bez różnicy to do niego to do mnie: byliśmy jednem słowem najrzeczywistszymi spółnikami, on ponosił wszystkie wydatki, ja musiałem więcej pracować i ślezczyć nad sprawami: samo nawet uzdolnienie naszych dependentów było wyłącznie mojem dziełem. Mo-

głem był wprawdzie wystąpić osobiście i oddzielnie jako patron, ale rozerwanie naszej spółki byłoby zarówno dla obudwu stron szkodliwe: pragnęliśmy więc utrzymać ją i nadal. Podzieliliśmy się więc dochodami; i uważam sobie za obowiązek dodać, że myśl, czyli raczej propozycja tego podziału pochodziła całkowicie od mojego spółnika.

Majątek pani S. został wypuszczony w dzierżawę znajomemu, pewnemu panu Błońskiemu, którego żona dla edukacji dzieci przez lat parę mieszkała w Kielcach: przy niej zaś bawiła jój młodsza a nawet znacznie młodsza siostra, panna Flora. Znałem obie: widywałem je w towarzystwach kieleckich; bywałem nawet u pani Błońskiej. Panna Flora, osoba 20-letnia, była bardzo przystojna, dobra i starannie wychowana. Miałem dla niej prawdziwy szacunek, a nawet jakies uczucie, którego sam nie umiałem określić. Cokolwiekbądź, jak już powiedziałem, jój szwagier wziął tę dzierżawę; było to latem 1835 roku; i naturalnie, przy dość zaniedbanym stanie majątku, zachodziły kwestye, ściągające się po większej części do naprawy budynków. Otóż w jednej z takich kwestyi, ma się rozumieć dość ważnej, byłem uproszony przez obie strony do rozstrzygnięcia, jako arbiter i niby znawca, ze względu na moje wiadomości w gospodarstwie i budownictwie.

Serce uderzyło mi żywiéj, rzekłbym nawet, prawie radośnie na widok panny Flory, która razem z siostrą i szwagrem siedziała na ganku, w chwili mojego przyjazdu do Przyłéku; tak się bowiem wieś pani S. nazywała.

Ale i cóż to jest serce? Gdyby mi kazano wyrysować allegoryczne uosobienie dziwactwa, to nie myśląc ani chwili, wybrałbym mu za najodpowiedniejsze godło ten fantastyczny organ naszej istoty, żyjący zwykle w przymierzu i dobrej harmonii z wyobraźnią, lecz dosyć rzadko z rozumem.

Cokolwiekbądź rozpoznałem kwestyą, i objawiłem moje zdanie obudwu stronom. Pochlebilo mi nawet bardzo, że ani pan Błoński, ani mój kolega, który razem ze mną przyjechał, nie skrzywili się, jak to zwykle przy sądach polubownych bywa, lecz przyjęli mój wyrok nieodwołalny z równym umysłem i wypogodzonym czołem, jak dwaj mędrkowie starożytnéj Hellady, ale nie dzisiejszéj Germanii.

Widząc się nad brzegiem Wisły, na świeżém powietrzu i w połowie sierpnia, postanowiliśmy obadwaj, to jest, mój kolega i ja, skorzystać z uprzejmych zaprosin państwa Błońskich, i przebyć dni kilka w Przyłéku, pod ich gościnnym dachem.

Otóż pewnego popołudnia, obadwaj panowie pojechali na rybołówstwo, pani Błońska zajęła się gospodarstwem, dzieci uleciały gdzieś jak motyle, jedném słowem pozostaliśmy z panną Florą sam na sam w ogrodzie, jako dobrzy, od lat prawie czterech znajomi, i chodząc rozmawialiśmy o przedmiocie, który zwykle najżywiéj zajmuje panny wykształcone, to jest, o poezyi i poetach, porównywaliśmy Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego; i cieszyliśmy się spólnie, że spółczesna literatura zagraniczna, pomimo swoich wysokich pretensyi nie posiada

takich mistrzów; ja mówiłem szczególnie o dwóch pierwszych, a ona dołączała do nich trzeciego, którego prawie nie znałem.

Słońce pochyliło się ku zachodowi, upał dnia sierpniowego złągodniał, i przedwieczne tchnienie wiatru przynosiło nam z dali cichą fal wiślaną muzykę, ten szum przeciągły, wznoszący się i opadający z kolei, którego już dawno nie słyszałem.

Nasza rozmowa przybierała ton coraz żywszy, i naturalnym zwrotem przeszła od poezji do rzeczy uczucia.

Lekki chód mojej piękną towarzyszką, dźwięki jej głosu, stosujące się melodyjnie do odcieni naszej rozmowy, jej pogład jasny i promienny na życie, słowem, wszystko co w niej samą widziałem, i co nas otaczało w ową chwilę, budziło we mnie jakieś uśpione marzenia o szczęściu. Nagle z bliskiej alei ogrodu, doleciał nas śpiew kobiety: była to jedna z tych tysiącznych piosenek ludu krakowskiego, które młodzież wiejska zarówno w tańcu, jak przy pracy wyśpiewuje:

„Wysoko, daleko,
Dwa listeczki w parze;
Kto szczerze nie kocha,
Niechaj go Bóg skarze.”

Nie wiem sam dlaczego, ale ta prosta piosenka zabrzmiała w mych uszach jak skarga, chociaż śpiew był przyjemny.

— Lubię ja nasze gminne pieśni — rzekła do mnie panna Flora — bo ileżto w nich szczerego uczucia! Zarzucają im wprawdzie brak związku między jedną częścią i drugą, ale wyobraźnia ludu odkrywa zwykle ów węzeł tajemniczy, który je spaja z sobą, tak, jak spólna gałązka łączy te dwa biedne listki, które mają razem zwiędnąć i razem opaść za nadejściem jesieni. Ale słuchajmy! Joasia znowu śpiewa— Nasza rozmowa ustała, i usłyszeliśmy nowego krakowiaka.

„Pierwój się zrównają
Tatry z dolinami,
Nizeli ustanie
Miłość między nami!”

— Tu znowu, pani, wiara opromienia uczucie, tu wszystko jasne i tchnie nadzieją! — rzekłem: i wyznanie, które od początku naszej rozmowy miałem na myśli, splotało mi już na usta, kiedy nowy śpiew zabrzmiał w alei:

„W tę stronę, gdzie kocham,
Tam nie patrzeć muszę,
I udać, że nie dbam,
Choć kocham nad duszę!”

Uderzenie piorunu u nóg moich nie wstrząsnęłoby mną tak głęboko, jak słowa tego śpiewu: uczułem niewypowiedziany ból w sercu, i stanąłem jak wryty.

W chwili, kiedym miał zanieść do Flory prośbę najuroczystsza, jaką tylko młoda dziewica od mężczyzny usłyszeć może, ta piosnka odśpiewała przedemną zapomniany obraz przeszłości. Zdawało mi się że widzę tamtę, która była gwiazdą mojej pierwszej młodości, tamtę, którą już kochałem, choć jeszcze nie znałem, zdawało mi się że słyszę ją śpiewającą też samą piosnkę po latach siedmiu milczenia.

„Ślubować wiarę jednej, a kochać się w drugiej, nie jestże to czarna i niegodną zdradą?— rzekłem sam w sobie z niezmierną goryczą.

— Co panu takiego?— zapytała mnie Flora— Czyś nie chory?

— Wkrótce to przejdzie— odpowiedziałem— To ból dawny... wiadomo pani, żem chromy...

— To wróćmy do domu!— rzekła z dobrocią— Tam pan lepiej wypoczniesz na wygodnym fotelu.

W parę dni potem wróciliśmy do Kielec. Zamknąłem się na trzy dni u siebie; rozważałem— moje dziwne przeznaczenie na świecie. Jedno wspomnienie gasnące i już prawie zamierzchłe, otworzyło przepaść między mną i szczęściem, którego w związku z osobą godną miłości i szacunku mogłem się spodziewać. Nie wiedziałem czy Helena była wolną, nie wiedziałem nawet czy żyła, nie byłem z nią związany żadnym przyrzeczeniem, a jednak w stanowczej chwili uczułem jak gdyby zgryzotę, i cofnąłem się przed nadzieją dozgonnego związku z kobietą górującą sercem i rozumem; bo taką była niezapreczenie Flora: cofnąłem się, powiadam, albowiem zdawało mi się, że gdy jej serce było wolnym, gdy żadna myśl wsteczna nie ćmiła jej pogodnej teraźniejszości, zdawało mi się, że knuję zdradę przeciw jej dziewiczemu uczuciu... Był to ostatni blask, który oddalająca się młodość rzucała jeszcze na mój wiek męski. Gdybym podówczas miał dzisiejszy pogląd na rzeczy uczucia, rozśmiałybym się z moich własnych wahań i namysłów w owiej uroczystej mojego życia chwili... tak przynajmniej sądzę... i być może, moja prośba byłaby przyjętą.

— Biedna Flora!— rzekł Władysław.

— Biedniejszy daleko ten niezrozumiały idealista!— zawołał major.— Ale cóż dalej? Mów! Twoja miłość nie była miłością z tego świata, ale czémś odrębnym i niepojętym.

— Moja miłość— odrzekł Pokrzywnicki— była gasnącym płomieniem, i kiedym ze spokojną rozważką rozpatrzył się sam w sobie, spostrzegłem, że czas błogich uniesień i zapałów młodości już dla mnie przeminął. Długa, sucha, a może i nad siły praca, wyczerpnęła moje wyobraźnię, a płonne tęsknoty i życzenia wyziębily uczucie. Doszedłem do kresu, poza którym nie mogłem już dać szczęścia żadnej kobiecie, ani też sam być z nią szczęśliwym. Dowiedziałem się oraz, żem wtedy był najszczęśliwszy, kiedy gorąco czułem i do szczęścia wdychałem, chociaż wiadomo mi było, że go nigdy nie posiadę... nakoniec, że mój rachunek z miłością był już nazawsze zamknięty. W trzydziestym roku mojego życia zacząłem żyć samą tylko myślą. Być może, w innych czasach i okolicznościach odkryłbym był jakiś cel wyższy

i podnioslejszy, niż ten, który stał przedemną, jak próchniejący i od lat zszarzały drogoskaz. Nie poszedłem jednak za radą stoika, który mi ukazywał wolną na tamten świat drogę, i rzekłem do siebie: „Poza miłością i zapałem stoją obowiązki, od których człowiek nie powinien uciekać: jest przytém spokój, który przed sądem rozumu ma cenę wyższą od samego szczęścia.”

Rzuciłem się więc znowu do pracy, rzuciłem się dlatego, iżby odalić od siebie myśli, które we mnie wskrzeszała gorejąca ognistemi głoskami sentencya Seneki: „Nemo te tenet. Evade quo visum est.”

XV.

Następnego roku 1836 moje zdrowie zachwiało się trochę i doktorzy zalecili mi, iżbym pojechał do Szczawnicy. Idąc za tą radą, puściłem się w drogę na początku lipca i przeprawiłem się przez Wisłę pod Szczucinem, i po dopełnieniu formalności celnych na komorze, której naczelnikiem, czyli einnemehrem był jakiś Czech, a może Kroat, nazwiskiem, jak pamiętam, Badiura, odetchnąłem swobodniéj, kiedym się ujrzał w samotnej nad Wisłą austeryi.

Zjadłszy obiad, zapaliłem cygaro, rodowite austryackie, spoglądając śmiało na panów respicyentów, którzy dzięki swojemu wiatrowi, czyli węchowi, z dziwną nieomylnością rozróżniają zapachy tytoniów przemyconych, w odległości 50-ciu kroków od ich wywiczzonego organu powonienia; zasiadłem sobie przy oknie i spoglądałem na okolice smutną i piaszczystą, znaną każdemu, kto się między Ratajami i Szczucinem przeprawił przez Wisłę.

Tymczasem jakiś głos męzki, trochę ochrzypły, w bramie zajazdu śpiewał wciąż jedne i teź same krakowiaki:

Ułani, ułani,
Siwe konie macie,
Przystanę ja do was,
Jednego mi dacie.
Przystanę, przystanę
Do ułanów śmiało,
Oddam Bogu duszę,
A ułanom ciało.

W naszym pułku, pomyślałem sobie, konie były także siwe za Wielkiego księcia, i trzeba przyznać, żeśmy en masse wcale nieźle wyglądali. Tak nawet nieraz mawiały panie; ich zaś zdanie w kwestyach takiego rodzaju ma swoją wagę. Ale kto to śpiewa? Gdyby mi noga nie dokuczała, wyszedłbym zobaczyć.

Krakowiaki ustały i w kilka minut potem usłyszałem w zajezdzie stuk kopyt: furman jakiś prowadził konie do wody.

Wychyliłem się przez okno i ujrzałem czwórkę pięknych szpaków, a ten, co je prowadził do Wisły, był niewątpliwie starym kawa-

lerzystą: jego nogi wygięte w pałąk i postawa dostatecznie o tém świadczyły.

Byłem pewien, że patrzę na ułana, być może nawet z naszego 2-go pułku, albowiem śpiewał o koniach siwych. Nie odchodziłem od okna i kiedy wracał od Wisły, o słodkie zdziwienie! poznałem Jana, flankiera z naszego szwadronu. Dałem mu jednak zaprowadzić konie do stajni i dopiero potem wyszedłem do sieni.

— Janie!—zawołałem.—Lecz Janów dużo na świecie: i pan flankier myślał, że jakiś jegomość woła swojego służącego, któremu także na imię Jan.

— Domyślam się—przerwał major—że musiał być pijanym.

— Przepraszam cię, majorze, pan Jan był świeży, rzeźwy i trzeźwy, jak wiewiórka. Ale widząc, że nie bierze do siebie mojego wezwania, zawołałem powtórnie:

— Do mnie, flankierze!

Na taki apel Jan wyprostował się jak struna i idąc miarowym krokiem, zbliżył się o trzy kroki i zdjął furażerkę, nie wiedząc jeszcze kto go woła.

— Cóż? nie poznajesz mnie, Janie?

— Pan podporucznik!—zawołał z radosnym zdziwieniem.

— Tak jest, Janie! Ale cóż ty tu porabiasz?

— Przyjechałem tu z moim panem. Jedziemy za Wisłę.

— To dobrze; ale któż jest ten twój pan?

— Pan major Borzęcki, komendant naszego szwadronu. Oh! I jakże się on ucieszy, kiedy zobaczy pana podporucznika!.

— A gdzież jest pan major?

— Tylko co go nie widać: poszedł do tego ejnamera ¹⁾ wyciągnąć go z domu na komorę, aby nas copędzjéj ekspedyował.

Wkrótce potem ukazał się major. Łatwo sobie wystawić możecie nasze przywitanie. On przestał się śpieszyć do Królestwa, a ja do Szczawnicy i przebyliśmy razem cały następny dzień w Szczucinie. Nakoniec wzięwszy nawzajem swoje adresy, rozjechaliśmy się. Po upływie kilku tygodni wróciłem do Kielc, czując się zupełnie zdrowym i znowu zaprząłem się do pracy.

Dni płynęły mi jednostajnie; nie chciałem ich nawet urozmaicać i coraz rzadziej wychodziłem z domu, bo człowiek skazany na bezceństwo powinien się wciągać w życie samotne i uczyć się wystarczać sobie samemu. Żyłem pośród nudów, jak w moim naturalnym żywiole, tak jak ptak żyje w powietrzu, a ryba w wodzie, i w taki sposób minęło mi parę miesięcy, kiedy pewnego dnia przyniesiono mi z poczty jakiś list nieznaną ręką pisany. Otworzyłem go nie śpiesząc się, w téj myśli, że zapewne któryś z klientów pisze do mnie w interesie; lecz jakież było moje zdziwienie, kiedym przeczytał co następuje:

¹⁾ Einnehmer, wyraz niemiecki znaczy dosłownie poborca, tutaj naczelnik komory.

Kochany Henryku!

Od lat dwudziestu szukam Ciebie po wszystkich naszego kraju stronach i gdyby nie przypadek, w którym zrządzenie Boże uznaje, zstąpiłbym do grobu, nie poznawszy jedynego dziedzica rodu Pokrzywnickich. Uprzejmy mój sąsiad, jegomość pan major Borzęcki z Badrzychowic, objaśnił mi, żeś jest synem jego niegdyś towarzysza broni, podpułkownika Stefana Józefa Pokrzywnickiego. Twój pradziad rodzony, ś. p. pan kasztelan Jan Zygmunt Pokrzywnicki, był moim i twojego dziada ojcem; ty zaś mym wnukiem acz nierodzonym, niemniej wszelako jednym a prawym moim dziedzicem. Miałem i ja dwóch synów, ale obadwaj w onym długim peryodzie wojen cesarza Napoleona zginęli; i ja po ich rycerskim zgonie pozostałem sam jeden na świecie bez żadnej podpory. Lecz taka była wola Opatrzności!

O katastrofie, która cię wyzuła z dziedzictwa po twoim ś. p. ojcu a moim synowcu, dowiedziałem się już w r. 1815, i po długoletnich od onego czasu a daremnych po świecie kwerendach, nie tuszyłem już sobie, iżbyś się mieścił w liczbie żyjących. Gdy zaś z łaski Wszechmonego inaczej się stało, to ja, mający prawo nad tobą, jako naczelnik rodu, nakazuję ci, iżbyś natychmiast po przeczytaniu niniejszego porzucił wszystko, i stawił się w mych progach, aby przyjąć moje błogosławieństwo i należącą ci z prawa naszych przodków dziedzicę; nakazuję, powtarzam, albowiem niewiadomy dzień i godzina, w których podoba się Najwyższemu Panu odwołać mnie z tego życia.

Twój dziad

Mikołaj Pokrzywnicki, starosta osiecki.

Ten list pisany pod dyktowaniem, był podpisany ręką drżącą, ale czytelną samego starosty.

Stosując się do rozkazu, wyjechałem natychmiast do Warszawy, i wyrobiwszy sobie paszport przyjechałem do Balic.

W przedpokoju było dwóch czy trzech służących, i jeden z nich zbliżył się do mnie.

— Proszę oznajmić panu staroście, że przyjechał Henryk Pokrzywnicki—rzekłem do niego.

— Pan Henryk! Nasz pan!—odrzekł pochylony wiekiem starzec —i chciał mi objąć kolana, alem go w porę zatrzymał. Poczem ukłoniwszy się raz jeszcze ukazał mi drzwi do sali, którą znacie, albowiem zwykle w niej jadamy. Widać jednak, że ceremonie oznajmiania gości nie były w zwyczaju w Balicach, albowiem poprosił mnie iżbym wszedł, bez meldowania.

W krześle z poręczami, przy kanapie, siedział 90-letni starzec w granatowym kontuszu z wylotami, jasno-błękitnym żupanie i przy karabeli. Jego włosy i wąsy były białe, rysy zaś twarzy zupełnie podobne do tych, które znacie z jego portretu w Balicach, chociaż ten portret na 30 lat przedtém był malowany.

Na kanapie zajmował miejsce ksiądz proboszcz balicki, a po lewej ręce tegoż, jeden z dalszych sąsiadów—obadwaj bardzo już nie młodzi.—W chwili mojego wejścia, toczyła się między nimi poważna i wysokiej wagi rozmowa o ostatnich sprawach byłej Rzeczypospolitej. Żaden z trzech nie spostrzegł mojego wejścia; co do mnie zaś, uważałem za rzecz niewłaściwą przerywać mowę panu Staroście.

„Wtedy to — mówił on — poseł Butrymowicz powstał ze swego krzesła, i miał do nas ową słynną rzecz o plemienu żydowskim, które się tak szeroko po wszystkich Rzeczypospolitej krajach rozsiało. Pan Butrymowicz domagał się przypuszczenia tego narodu do praw obywatelskich; ale czy uchwała w tej mierze, byłaby pożyteczną, a nawet czyby nie stała się przyczyną niesnasków i zaburzeń wewnętrznych, czyby nie dała powodu kmicciom do słusznych uskarżeń się na niesprawiedliwość sejmujących Rzeczypospolitej stanów? Czyby ów lud wiejski nie miał wtedy prawa powiedzieć „Radzicie nad polepszeniem losu przybyszów Mojżeszowego wyznania, a dla nas, krajowców i waszej braci podług Ewangelii Świętej, dla nas, pracowników około roli, co was wszystkich żywimy, i naszą krew za was w potrzebach wojennych przelewamy, nie zgoła uczynić nie mogliście?”

Tak się nam umiarkowańszym owa mocya pośła Butrymowicza przedstawiała, lecz inni srodze się na nią obruszali, mówiąc:

„Zarzucają naszym przodkom, że w swojej szlachecko-rycerskiej pysze a bucie, trzymali zdala od siebie ową ludność z Judei przybyłą: ale dlaczego? Dlatego, iż z przeciągiem wieków nabyli tej konwikcy, że taż ludność nie ma w sobie nic takiego, coby ją zbliżało do naszego plemienia, że ani z myśli ani z afektów nie jest do nas podobną, że nietylko sama nie stara się połączyć z narodem, ale i owszem staje naprzeciw niego jako wróg tém gorszy, że umie swoją nienawiść taić, nakoniec, że nasz polski izraelita, niemający ani odwagi żołnierskiej, ani chęci do pracy, lecz jeno wciąż i nieustannie przemyślający o samym tylko zysku, o groszu w jakikolwiekbydz sposób nabyć się mającym, nie może się podnieść do godności obywatelskiej.”

Zagadnęliście mnie waszmość panowie o pośle Butrymowiczu i jego mocyi, otóż macie relacyą. Zresztą niech Bóg Wszechmocny, który czyta w tajnikach serc i intencji ludzkich, będzie sędzią pomiędzy nami chrześcianami i onym ludem, który stanowi oddzielny naród w naszym narodzie!

Pan Starosta umilkł, i zapadł w rozmyślania—ja zaś postąpiwszy kilka kroków ku niemu, chciałem przemówić: kiedy, on zawołał, domyśliwszy się, co zacz jestem:

— Henryk Pokrzywnicki?

I wyciągnął ku mnie rękę.

Czy to z jego sposobu wyrażania się, czy z ubioru, czy z sędziwej powagi, być może z tego wszystkiego razem przypomniał mi się żywo mój dobroczyńca pan podczaszy. Lecz gdy twarz tego ostatniego nosiła na sobie wyraz wesołej otwartości i dobroci, pan Starosta wydał

mi się surowym, posepnym i dumnym. Uśmiech na jego twarzy nigdy zapewne nie przebywał: na czole osiadła jakaś myśl smutna, choć w oczach spokój panował.

Na wspomnienie podczaszego, uczułem kzę w oku; ale powściągnąwszy wzruszenie zbliżyłem się, i z uszanowaniem ucałowałem rękę pana Starosty.

Ten podniósł ją w górę, i w milczeniu mnie przeżegnał; nakoniec rzekł:

— Witaj w progach twych przodków! — i zwracając się następnie do swoich gości, dodał:

— Panowie! Oto jest mój wnuk i dziedzic, Henryk Pokrzywnicki!

Starąłem się oddać wam wrażenie, które na mnie sprawił widok pana Starosty; lecz jeżeli jego wzrok i usta nigdy się nie uśmiechały, jeżeli czoło było posepne i smutne, i cała w ogólności fizygnomia raczej surowa i dumna, niż miękka i pociągająca, to major, który go znał bardzo dobrze, może przyświadczyć, że był to obywatel prawy w całym znaczeniu tego słowa, sąsiad pełen uczynności, i najlepszy pan dla sług, domowników i włościan; i nikt też do jego serca daremnie nie zakałatał. Wiek i cierpienia fizyczne dotknęły tylko jego cielesną powłokę, ale uszanowały ducha.

Kiedy goście wyjechali, Starosta kazał mi opowiedzieć cały bieg mego życia, i co mnie żywo ujęło, oddał należną sprawiedliwość za cnemu Piotrowi, a oraz hołd pamięci pana podczaszego, którego moim największym dobroczyńcą nazywałem. Ponieważ zaś u ludzi starzej daty, uczucia dla zmarłych przybierały zawsze formę religijną, a zatem ufundował natychmiast msze święte na ich intencją, wiecześnie odprawiać się mające.

Nasz sposób życia był jeduostajny; porządek i rygor domowy prawdziwie staroświecki. Pan Starosta z natury posepnym i milczącym, ożywał się tylko wówczas, kiedy nas odwiedzał najbliższy sąsiad, t. j. major. Wtedy to zaczynała się rozmowa, wtedy nawet słyszeliśmy niekiedy opowiadania starca o ostatnich latach panowania Augusta III, o bezkrólewiu po jego śmierci, o konfederacjach, opowiadania jasne i krytyczne, które nam dowodziły, że pan Starosta zachował do głębokiej starości świeżość umysłu i trafność sądu w kwestiach historyczną wagę mających. Być może nie lubił sporów, ale się nie unosił ani zapalał w rozmowach z gośćmi; zdawało się nawet, że chętnie ustępuje im słowa. Małomówność cenił tylko w sługach, i ztąd mój Franciszek, który podówczas był już u mnie od lat dwóch, ściągnął na siebie jego uwagę.

— Słowo ma wartość srebra, a milczenie złota, — zauważył Władysław.

— Ale i gdzież pan Franciszek wstąpił do twojej służby? — zapytał major.

— Złowiłem go w Kielcach, w mroźny i wietrzny poranek grudnia 1834 roku. Pan Franciszek szedł od pompy z dwoma wiadrami

wody, przewieszonemi przez ramiona. I z nim także los obchodził się po czerkiesku.

— Franciszek!—zawołałem zdziwiony.

— Tak jest, panie poruczniku!

— Cóż ty tu robisz, w Kielcach?

— Służę, panie!

— No, jużciż widzę, że służysz; ale co u dyabła? Kawaler „Virtuti militari” i były podoficer 2-go pułku ułanów, nosi wodę?

— Cóż czynić, panie poruczniku? Pałasz dziś nie w modzie — odrzekł z tym wielkim sensem praktycznym, który go odznaczał zawsze.

Było to w czasach, kiedy mi już lepiej wieść się zaczęło: ponieważ zaś znałem Franciszka, a zatem życzyłem sobie, iżby do mnie przeszedł na służbę.

— A wielez ty bierzesz pensyi miesięcznie?—zapytałem.

— Po talarze, panie poruczniku!

— To coś nazbyt umiarkowanie. Czy nie chciałbyś czasem być u mnie?

— Z najmiłszą radością.

— To przychódź do mnie, jak tylko rok ci się skończy, jeżeli ma się rozumieć, nie wyrobisz sobie u swoich państwa odpowiednich twemu życzeniu warunków.

— Życę sobie ich nie wyrabiać; i wstąpić do służby pańskiej pojutrze o godzinie 11-tój rano.

— Jakto? przed końcem twojego roku?

— I owszem, panie. W pół godziny po skończeniu mojego roku.

Na tém stanęło. Ale wracam do pana Starosty. Z początku, chodziło mu tylko o dziedzica, o jakiegobądź Pokrzywnickiego; lecz w miarę tego jak mój pobyt w jego domu przedłużał się, spostrzegałem od czasu do czasu, niewątpliwe oznaki jego spółczucia dla mojej osobistości. Nakoniec pewnego dnia, w pięć miesięcy po moim przyjeździe, pan Starosta wypowiedawszy się, albowiem co tydzień dopełniał tego obowiązku, kazał mnie przywołać, i rzekł:

— Pomówmy o naszych sprawach rodowych!

— Słucham pana Starosty.

— W twojej naracyi o wypadkach życia uderzyła mnie jedna okoliczność...

— Jaka, miłościwy panie Starosto—zapytałem. Ten tytuł „miłościwy” brzmiał zawsze mile w jego uchu, jako zabytek dawno już pogrzebionój przeszłości. Dawali mu go wszyscy najbliżsi, i ja też stosowałem się do tego zwyczaju.

— Nie mówiłeś mi nic zgoła o tém, czyś kiedykolwiek miał intencją ożenić się.

— Panie Starosto! — odrzekłem nieco zmieszany — Raz tylko myśl o małżeństwie i to na krótką chwilę przyszła mi do głowy...

— I zaniechałeś jęj, może dlatego, że panną była bogata, a nie

chciałeś się submitować jój rodzicom? Na co ci koniecznie posag? Sam przez się będziesz dosyć bogatym... Możesz się ożenić i z biedną, byleby była uczciwa, a z dobrego rodu. Tuszę sobie zresztą, że i tę bogatą, jeżeli masz jeszcze dla niej afekt, rodzice ci oddadzą, kiedy się dowiedzą, że masz do 120,000 złp. rocznej intraty. Ale to już twoja rzecz. Ożenisz się, jak upatrzysz sobie pannę młodą... Nie sądzono mi być na twoim ślubie.

Spojrzałem niespokojnie na szanownego starca, ale nie dostrzegłem w nim żadnej zmiany. Uważałem tylko, że między jedną i drugą myślą jego mowy—były pewne przestanki: uderzyło mnie to nawet; albowiem starosta zawsze jasno i zwięźle myślący, nie potrzebował nigdy szukać wyrazów dla oddania swych myśli.

— Dobrze byłoby — mówił dalej — gdybyś się ożenił... ale, pamiętaj, że ci nic nie zalecam. Postąpisz wedle swój woli. A teraz, posłuchaj mnie bacznie, z należytą uwagą... gdyż byłoby może dobrém gdybyś pojął za żonę jaką pannę z tego rodu,... ale pamiętaj, że ci nic nie rozkazuję... Postąpisz wedle swój woli... A teraz posłuchaj mnie bacznie, z należytą uwagą... gdyż to, coć powiem jest moją niewzruszoną wolą... Gdyby ród Pokrzywnickich miał się przeciąć na tobie... gdybyś i ty miał zejść bezpotomnie, to masz zawczasu napisać twoję ostatnią wolę, i rozrządzić majątkiem naszym, na rzecz jakiegokolwiek szlachcica polskiego... rozumiesz mnie?

— Rozumiem miłoścywiu starosto!

— Nasza puścizna — ciągnął dalej — nie może się stać pastwą obcego plemienia; nie mogę znieść samój myśli, iżby kiedykolwiek przeszła w ręce niemieckie.

Wzruszony do głębi duszy temi rozporządzeniami, które zapowiadały mi nowe i ostatnie pożegnanie, zapytałem mojego dziada, czyby mi nie wskazał osoby, którój mam zapisać majątek?

— Wszyscy z naszego imienia położyli się w grobie, nie znam żadnego Pokrzywnickiego, i wszystko mi jedno, czy ten czy ów szlachcic lechickiego plemienia będzie naszym dziedzicem—odrzekł i pochylił głowę na piersi.

W kilka dni potem Starosta, kazawszy zawołać wszystkich domowników i sługi, dał mi w obec nich uroczyste błogosławieństwo, i opatrzony ŚŚ- Sakramentami, zgasł na mojem ręku w wieku lat dziewięćdziesiąt jeden.

Wszystko, na co patrzył w swym wieku sędziwym było mu obce i wcale różne od tego, co widział za dni swojej młodości. Klęski społeczne i nieszczęścia domowe uderzały o niego z kolej, i starzec na schyłku wieku, zastygły w uczuciach i ideałach swoich lat męzkich, pozostał sam jeden na świecie, posępny i milczący, ale bez skargi na ustach. Pragnął ocalić swój ród od zagłady, i uchwycił się szerepu młodszego, ale już próchniejącego, i nigdy nie ziszczą się jego nadzieje. (d. c. n.)

Z POD WAWELU.

V.

Charakterystyka Krakowa i krakowian w „Tece Nieczui.”—Nasi i Wasi.—Spór o plac dla pomnika Mickiewicza w Krakowie.—Orzeł na bramie Floryańskiej.—Kamienica Ciszewskich.—Jubileusz Matejki.—Z wystawy obrazów: W. Pruszkowskiego „Umizgi,” „Zmrok,” „Wschód słońca.”—Wolskiego: „Ks. Józef Poniatowski pod Lipskiem.”—Konieckiego: „Babunia.”—W. Brochockiego krajobrazy.—C. Tańskiego: „W polu” i „W ogrodzie.”—Ejsmonda Studya.—Prof. Löfflera: „Imieniny Babuni.”—Abramowicza: „Sokolnik z XVII w.”—Ichnowskiego: „O zmroku.”—T. Rybkowskiego obrazek rodzajowy.—Borkowskiego: „Ostatnie zlecenie.”—Mańkowskiego: „Pierwszy liścik.”—P. Bierkowskiej: „Selim i Hania.”—P. Chlebowskięj „Martwa natura.”—J. Styki: „Matka boleści.”—Merwarta: „Sara” i Łuskiny „Odaliska.”—A. Grabowskiego portrety.—Pociechy akwarele.—Premia Tow. przyj. Sztuk pięknych.—Rzeźba Tombińskiego: „Oświata.”—W. Gadomskiego popiersie męczyczyni.—Ostatnie koncerty: panny Sługockiej; p. Siegenfeld, p. W. Singera, p. Z. Noskowskiego, p. E. Sauret.—Wieczór Jul. Słowackiego.—Nasz teatr.—M. Bałuckiego: „Dom otwarty.”—O. Feuilleta: „Romans paryski.”—J. Al. Fredry: „Oj młody, młody!”—Odczyty: ks. Pawlickiego, p. J. Zacharysiewicza, prof. K. Morawskiego.—Nasze dziennikarstwo i schweiggeldy.—Walne zebrania Koła art. literackiego.—Album pamiątkowe.—Zjazd literatów i artystów.—Towarzystwo oświaty ludowej i zmiana jego statutu.

„Już od czasu przeniesienia stolicy do Warszawy, mówi p. Nieczuja przez usta Niemcewicza, Kraków przemienił się w stróża pamiątek i twarzą się ku przeszłości odwrócił, a przyszłości nie widzi a może i widzieć nie chce. Za wiele tam grobów, to też cmentarna tam wegetacja... Za księstwa Kraków był zbiegowiskiem wszelkiego rodzaju emerytów i antykwaryuszów, a życia tam było tak mało, jak gdyby miasto to nie należało do Polski. A kiedy zeń Rzeczpospolitą zrobiono, to już pozał się Boże! Kto w Boga wierzył, ten dzień i noc knował, aby gdzie jaką tłustą uchwycić prebendę, a sejm z senatem wodziły się za łby ze sobą i uciekały się do protekcyi trzech rządów... Austrya

nie mogła nam większej wyrządzić przysługi, jak wcielając to gniazdo zgorzenia do Galicyi. Ale i to jeszcze nie wykorzeniło tam tego zaściankowego partykularyzmu, który już arcyśmięsznym był wobec kongresowego Królestwa, a po przyłączeniu Krakowa do Galicyi, stał się istną karykaturą, usiłując wyróżniać te cztery piędzi ziemi od szczero-polskiej prowincyi, której od wieków jest częścią. Ten partykularyzm wyrodził tę osobliwość, że krakowianin, jeżeli przystępuje do jakiej roboty polskiej, to zawsze cum reservatione mentali na jakąś tam wyjączną korzyść Krakowa...

Z wszelkim respektem dla p. Nieczui powtórzyliśmy te słowa charakteryzujące Kraków, zwłaszcza przed niedawnymi laty. Do dziś dnia nie wiele się zmieniło; z wyjątkiem owęj „cmentarnej wegetacyi,” której mniej widać, a owszem życie coraz szerszém korytem płynąć poczyna, spostrzegamy dziś ten sam partykularyzm, tylko spotęgowany i dlatego więcej szkodliwy.

„W Krakowie jeszcze się nigdy nic takiego nie urodziło, mówi dalej p. Nieczuja przez usta księcia biskupa krakowskiego, coby miało żywotność i z czegoby cała Polska miała pociechę ¹⁾. Nawet jeżeli tam kiedy zabłądził człowiek z szeroką piersią, z wielkim oddechem, z wyższym umysłem, z szlachetném sercem i z myślą wyniosłą, cały naród obejmująca, to tam mu cierni naścielono na jego drogi, a jeśli był taki, któremu wrogowie podali kielich goryczy, to tam mu do tego kielicha jeszcze żółci dolano:—i ten rys psychologicznie umotywowany. Zaściankowa zawiść niechętnie widzi każdego przybysza, choćby ten dla jęj korzyści pracował. „To nie nasz,” mówi, „my tu mamy dosyć swoich!” Jeszcze to rozumiałém a poniekąd konieczném w obec napływu ludności innoplemiennęj, ale jakżeż to boli, gdy te same wyrazy słyszy się o braciach własnych, chcących się z rozmaitych przyczyn osiedlić w Krakowie! Ci, nie „nasi” albo „wasi” przechodzić muszą nowicyat reguły, stworzonęj przez panujące stronnictwo.

* * *

¹⁾ P. Nieczuja przeczerzył cokolwiek szkła swoje niebieskie, przez które patrzy na nasz padół ziemski; dlatego nie może często odróżnić dokładnie teorii, wysnutęj z abstrakcyi, od faktycznych warunków życia i pracy publicznej. Z chwalebnyim zapalem podnosi zatem poglądy historyczne, które, głoszone przez usta mieszkańców nieba (jest w tém towarzystwie niebiańskiem trochę za wiele mieszaniny), dobrze malują naszą przeszłość i są wymowną apostrofą do przemożnego stronnictwa, owałdnionego może zanadto pożądliwością władzy; ale poglądy p. Nieczui służyłyby bardzo źle narodowi, gdybyśmy bez rachowania się z faktycznymi warunkami naszego rozwoju organicznego, mieli się niemi rządzić wśród dzisiejszjęj pracy powszedniej; boby nie było żadnego rządu ani przewodnika; ale tylko idealne bałamuctwo, owiane nadziemską wonią sympatycznych frazesów.

(Przyp. Red.).

Daj Boże, aby lepiej było w nowo-budującym się gmachu uniwersyteckim. Budowę jego rozpoczęto jeszcze ubiegłego roku na wiosnę i to tylko w obrębie miejsca pozostałego po dawniej bursie Jerozolimskiej; doprowadzoną do wysokości pierwszego piętra pokryto na zimę deskami i do dziś dnia nic więcej się nie robi. Tymczasem zakupiono sąsiednie kamienice, jak to już w jednej z poprzednich korespondencji o tém wspominałem, aby budynek rozszerzyć i nadać mu front ze strony plantacyi. Połączyło się z tém zajęcie kawałka chodnika jako konieczności, na którą rada miejska mimo silnej opozycyi zezwoliła. Rumowisko usunięto dopiéro teraz na wiosnę i nagle, kiedy połowa gmachu stoi dosyć wysoko, urządza się uroczystość założenia kamienia węgielnego (dnia 26 maja b. r.), sprowadza z Wiednia ministrów i hof-ratów, buduje wielkie trybuny dla wybranej publiczności.

Zabrano też przytém już ten kawałek plantacyi, który pozwolono obrócić pod budowę i dopiéro teraz zobaczono, jak dalece to szpeci całe plantacye a niszczy w owém miejscu najpiękniejszą prawie aleę kasztanów. Ale stało się; co raz dane, trudno cofnąć. Zresztą przebolełoby się i to, gdyby mieć pewność, że na tém rozszerzeniu nie partye ale naród skorzystać musi. Dziwnie tylko to wygląda, dlaczego koniecznie postanowiono stworzyć plac dla budynku, a nie zastosowano budynku do placu.

Ale to już tak u nas dzieje się w Krakowie: tworzenie placów jest teraz naszą maniją, jak tego świeżym dowodem stwarzanie placu Mickiewicza dla jego pomnika.

Podobneż spory i projekta posypały się jak z rękawa, kiedy rada miejska postanowiła odnowić orła na bramie Floryańskiej. Ponieważ budowa ta sięga czasów Kazimierzowskich, chcieli więc archeologowie i architekci, aby wykować w kamieniu orła Kazimierzowskiego; większość zaś publiczności obstaje stanowczo przy zachowaniu takiego, jakiego ślady do dziś dnia pozostają. I jest w tém pewna racya. My nie mamy przetwarzać zabytków historycznych, chociażby one uległy w biegu czasu odmianom i straciły charakter swój epoki, ale mamy strzedz przekazanych nam od przodków w całości od zniszczenia i profanacyi. Taki też ma cel ustanowienie konserwatorów zabytków w Galicyi, którzy jako najkompetentniejsi znawcy, rozpoznawać mają nowe odkrycia, nad ich restaurowaniem czuwać i w należytych utrzymywać je stanie.

Jak dalece w samym Krakowie jest obszerne pole działalności konserwatora, pokazują najświeższe fakta, podające niemyślne wskazówki, że każda prawie z dawnych kamienic zawiera zabytki dawniej architektury, które od zniszczenia uchowałyby należało. Oto przy przypadkowej restauracyi jednej z kamienic naprzeciw kościoła P. Maryi, dziś własności Ciszewskich, odkryto pod odbitym tynkiem, obok okien pierwszego piętra „sgrafitta,” przedstawiające postacie świętych. Kiedy to uwagę znawców na siebie zwróciło, powołano p. konserwatora zabytków i za jego wpływem ocalono rysunki, prawdziwą kamienicy ozdobę. Mie-

liśmy sposobność być we wnętrzu téj kamienicy. Mnóstwo odrzwi i okien gotyckich, ganki renesansowe świecą tu i owdzie resztkami świetności minionej. Najprzykrzejszego wrażenia doznaje się w jednej z komnat I-go piętra, w której cały sufit renesansowy pokryty malowidłami i ozdobami rzeźbionemi nakształt ozdób kościoła św. Anny. Była to prawdopodobnie kaplica domowa, a dziś, żyd umieścił w niej stopy rupieci!... Gdzież są ci mecenaszi sztuki, którzy za nieznaczne pieniądze mogliby tę kamienicę nabyć, przynajmniej te ślady, które jeszcze istnieją utrzymać i odnowić, i nie podawać pamiątek takiej profanacyi? Ale u nas zwykle w słowach rzecz cała się mieści, a „słowo to marna połowa arcydzieł życia...”

Rok bieżący jest dwudziestym piątym działalności Matejki. Nic więc dziwnego, że w gronie jego uczniów, uwielbiających swego mistrza, powstała myśl uczczenia go stosownym obchodem, a następnie znalazła w całym narodzie żywe echo. Uroczystość tę postanowiono obchodzić w dniu imienin mistrza, t. j. dnia 24 czerwca. Zawiązał się w tym celu odpowiedni komitet, poczęto po kraju zbierać podpisy na adres, który miał być mistrzowi wręczony, kiedy po ostatniem posiedzeniu, komitet z dosyć błahych powodów postanowił odroczyć obchód jubileuszu aż do września r. b., kiedy zjazd literatów i artystów i uroczystość pamiątkowa odsieczy wiedeńskiej zgromadzi w naszych murach zastęp ludzi i z innych prowincyi. Matejko ma obecnie pracować z wyteżeniem nad „Odsieczą Wiednia,” która i rozmiarami i wykonaniem ma przewyższać inne jego kreacje. Nie chciano mu téż przeszkadzać owacyami...

Kiedyśmy weszli na pole malarstwa, przejdźmy do Sukiennic, gdzie przez ten czas niejedną nową rzecz wystawiono. Bezwzględne pierwszeństwo musimy oddać obrazom p. W. Pruszkowskiego, z których obecnie trzy razem na wystawie spotykamy. Największy z nich i najświeższy podpisany: „Umizgi.” Z konewką w prawej ręce, zostawiając lewą w spracowanych dłoniach parobczaka, stoi dziewczucha krakowska, a ku niej nachyla się kochanek. Ona nie sprzeciwia się jego słowom, ale z właściwem ludowi niedowierzaniem i rozsądkiem słucha, lekkim uśmiechem okraszając usta. Temat to, prawda, zużyty, ale dla p. Pruszkowskiego nowy. On w nim umiał uchwycić tę prawdziwą stronę charakteru ludu, która w rękach niezręcznych staje się cikliwą przesadą, lub grubym realizmem. P. Pruszkowski jest również realistą, ale nie w koncepcyi, tylko w wykonaniu, i dlatego ten nieporównany realizm w oddawaniu natury ma ton serdeczny, ciepły, idealny. Jakżeż wiernie namalowana ta czarna chustka z kwiatami na głowie dziewczuchy, lub fartuszek i spódniczka; jak powabnie i żywo fałduje się koszula na piersi nieujętej gorsetem; jaka prawdziwie krakowska sukmana parobczaka! Jedno tylko musi się niepodobać to, że p. Pruszkowski zamało dał tym postaciom przestrzeni i tła na obrazie, przez co mają raczej charakter portretów.

Dwa mniejsze szkice: „Zmrok” i „Wschód słońca,” przedstawiają się pysznie ze stosownego oddalenia. Na pierwszym postać niewieścia, sunąca cicho ku domowi, z którego już wydobywa się blask światła, na drugim goniące się nad wodą rybitwy ożywiają obrazy. I tu i tam spokój, ale jak różny, a jak poetyczny i wprawiający w marzenie!

Obrazkiem historycznym chce być p. Wolskiego: „Ks. Józef Poniatowski pod Lipskiem.” Postać samego ks. Józefa niewyraźna i na drugi plan usunięta, konie jak z drzewa niezgrabnie rzeźbione, zwłaszcza ich głowy, koloryt mdły. Podobnie brak wybitniejszych zalet „Babuni” p. Konieckiego, której wnuczka, spoczywająca na łonie, czy zadumana, czy wystraszona, trudno odgadnąć.

Prawdziwemi perełkami wystawy są cztery krajobrazy p. Walerego Brochockiego, każdy w innéj porze roku. Pomijając niezwykłą delikatność pędzla, podnieść musimy świetny koloryt we wszystkich odzieniach i w całej tęczy. Na tych krajobrazach można poznać, co artysta potrafi zrobić z naturą, jeśli ją tylko iskra poezji przepromieni, i na nich udowodnić wyższość sztuki od naśladowania natury.

Trudności techniczne nie pozwoliły zapewne p. C. Tańskiemu być „w polu” i „w ogrodzie” takim, jakim być chciał. Połączenie rodzajowości z pejzażem jest zapewne dobrą myślą, ale trudności to podwójne. U p. Tańskiego lepsza jeszcze koncepcya, niż wykonanie; pejzażowi brak powietrza, a za to zanadto ożłocony słońcem. Również i p. Ejsmond walczy jeszcze z trudnościami, chociaż niezaprzeczone robi postępy, jak to na obecnie wystawionych jego studyach widzieć mogliśmy.

Prof. Löfflera „Imieniny babuni” dadzą się co do sposobu traktowania omówić razem z „Sokolnikiem” p. Abramowicza. Tu i tam drobiazgową subtelność w wykonaniu, wszystko nowiutkie i świeżutkie, wyczesane i wymuskane, ale bez życia i głębszej myśli. Sit venia verbis; ale tak jest ninie i tak będzie, bo już przeminął czas zwrotu u tych artystów. Maniera stała się drugą naturą...

P. Ichnowskiego „O zmroku” jest niezłym obrazkiem, chociaż zdradza początkującego i nie znającego jeszcze tajemnic techniki; p. Rybkowskiego obrazek rodzajowy „Rok 1863” i Borkowskiego „Ostatnie zlecenie,” są ilustracyami jednego wydarzenia dziejowego. W malowaniu stoi p. Rybkowski niezaprzeczenie wyżéj; krajobraz zimowy p. Borkowskiego, na którego tle działające postaci umieścił, zdradza tylko dobre chęci.

Bardzo miłym i smacznie namalowanym jest obrazek p. Mańkowskiego: „Pierwszy liścik.” Chybiony i w kompozycji i w wykonaniu „Selim i Hania” panny Bierkowskiej, ilustracja sceny z powieści Henryka Sienkiewicza: „Hania.” „Martwa natura” p. Chlebowskiéj jest bardzo dobrze namalowana, ugrupowanie efektowne i zajmujące.

Malarstwu religijnemu poświęca się p. Jan Styka. Jego rysunek „Głowy Chrystusa,” dołączony do jednego z numerów „Przeglądu literackiego i artystycznego,” zyskał ogólne uznanie i obudził niepłonne

nadzieje, że na tém polu, leżącym odłogiem, p. Styka może stać się znakomitym pracownikiem. W sali Tow. Przyj. Sztuk pięknych napatykamy dzisiaj „Matkę boleści,” cisnącą do piersi cierniową koronę, z wzrokiem utkwionym w niebo. Do podpisu dodał artysta słowa Zygmunta Krasińskiego z „Głozy św. Teresy:”

Zrazu ja klęczę w milczeniu, a cała
 Drgająca ciałem od mąk Twego ciała
 Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
 Rwą mię w mych dłoniach żelazce Twych dłoni.
 W boku mnie szarpie boku Twego rana,
 I choć tum w dole, takem z Tobą zlaną,
 Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

Postać „Matki boleści” pojęta bardzo idealnie; w wykonaniu brak jednostajności, a przedewszystkiem nie wiemy, jakim sposobem od niebieskiej chusty, rzuconej na głowę, może padać brązowy prawie refleks, barwa tła obrazu.

Dwa piękne obrazy: Merwarta „Sarę” i Łuski „Odaliskę” znacznie już w Warszawie, nie mam więc potrzeby o nich wam donosić. Są one bądź co bądź ozdobą i naszą wystawy i młodzi artyści wiele się z nich nauczyć mogą.

Z pomiędzy portretów słusznie zwracają uwagę prace p. A. Grabowskiego, którego w tym rodzaju malarstwa dotąd nikt nie prześcignął. Starzec i dwoje dzieci stanowi jakby dla kontrastu grupę obecnie wystawioną.

Między akwarelami widzieliśmy niezłe rzeczy p. Pocięchy, który przecież jeszcze Tondosowi nie wyrównał.

W pierwszej salce Towarzystwa widzieliśmy też poraz pierwszy zawieszoną premią członków na rok 1882/3. Jest nią kopia olejnym drukiem wykonana z obrazu (czy akwareli?) p. J. Kossaka, a przedstawiającego tę chwilę ze zwycięstwa Jana III pod Wiedniem, kiedy według słów listu Jana Sobieskiego, książęta i generałowie zbiegają się ku niemu z podziękowaniem. Kompozycja wcale dobra, ale cóż za wykonanie! Nie widzieliśmy samego obrazu, więc wyrokować nie chcemy; ale kopie, jako premium, są absolutnie brzydkie. Jeżeli się odbicie nie udało, to przecież mogło Towarzystwo jakoś temu zaradzić, a nie obdarowywać członków bohomasem, nieustępującym w krasie barw jarmarczemu towarowi!

W dziale rzeźby wiele nowych rzeczy nie przybyło. Jest tu tylko popiersie mężczyzny dłuta p. W. Gądomskiego, jak zwykle bardzo delikatnie wykute. P. Tombińskiego rzeźba w drzewie p. t.: „Oświata,” jest wielce obiecującą robotą. Postać alegoryczna dobrze pomyślana; czy nie lepiejby tylko było, gdyby postać ta, zamiast trzymać pochodnię, jak świecę woskową na procesyi, podniosła pochodnię oświaty

w górę? Czy może i przez to chciał artysta alegorycznie jaką myśl wyrazić?

* * *

Koncerty i odczyty tegoroczne, może wskutek wczesnych świąt wielkanocnych przeciągnęły się aż do końca kwietnia. Współudział w nich wzięła ta część publiczności, która zwykle na nie uczęszczała; część ze zwyczaju, część dla mody, maleńka tylko garstka z prawdziwego zamiłowania muzyki. Krakowianie nie są bowiem wcale muzykalni, a chociaż niema prawie domu, gdzieby przynajmniej jakiego klawicymbału nie było, nie można tego uważać za symptom korzystny. Owszem, symptom to bardzo smutny. Jak przed laty kilkudziesięciu i więcej, nauka francuzkiego języka była modą w wychowaniu, w gruncie nie tak naganną, ale w skutkach szkodliwą, tak obecnie gra na fortepianie przeszła w manię. Ulegają jęj szczególnie klasy średnie społeczeństwa; córka może nie mieć za grosz oleju w głowie, może nie umieć prostego rosolu ugotować, ale na fortepianie grać musi, bo to jęj nada ton i posunie zaraz o jeden szczebel wyżej. O! godni politowania sąsiedzi, którzy słuchać musicie rozpaczliwych drgań strun uderzanych przez dzień cały, może nawet ładną rączką, ale której iskra nawet talentu nie wspiera!

Wróćmy do koncertów. Powierzchnie tylko oddająca się muzyce publiczność, nie może przeto smakować w prawdziwej i klasycznej muzyce. Nie idzie więc na koncert, zwłaszcza, że wstęp bywa dosyć drogi, a koncertant, znający tutejsze stosunki, spotyka niemałe trudności w ułożeniu programu; nie można poniżać sztuki, zniżając się aż do gustu publiczności i nie można lekceważyć znawców, których przecież kilkunastu lub choćby kilku na koncercie się znajdzie, a przecież trzeba by tę publiczność zająć i przynajmniej jęj się podobać, jeżeli już nie zachwycić. Ztądto stojąc między młotem a kowadłem, albo nie zyskują uznania, nie biorąc względu na publiczność, albo taki pstry ogłaszają program, zestawiony z klasycznych utworów i lekkich lub sentymentalnych fraszek, że narażają się znowu na zarzuty krytyki, jakoby publiczność lekceważyli. Tymczasem publiczność oklaskiwała koncertanta i wyszła zadowolona; na drugi dzień dopiero przeczytawszy recenzje w miejscowych dziennikach, poczyna pozować na znawstwo i zmienia nagle swe zapatrywania.

Najdawniejszym koncertem, o którym wspomnieć się godzi, jest koncert panny Sługoickiej, śpiewaczki, której miła powierzchowność i sympatyczny organ sprawił na słuchaczach przyjemne wrażenie. W końcu marca dała się słyszeć pianistka, p. Siegenfeld, której dopomagała śpiewem swym amatorka p. Mikuliczowa. P. Siegenfeld, młoda jeszcze, udała się podobno za granicę dla dalszego kształcenia się; nie wątpimy, że wyrobi się na znakomitą pianistkę, skoro jęj znawcy przyznali niezwykłą technikę, równość w grze i subtelne cieniowanie. Wkrótce po niej dał koncert prof. Tow. muzycznego, p. W. Singer,

skrzypek, którego zna i Warszawa. Gra jego nie porywa, ale zadziwia wykończeniem; nie umie p. Singer czarować słuchaczy, ale zyskuje zawsze pełne uznanie znawców.

Z prawdziwym entuzjazmem przyjęto u nas p. Z. Noskowskiego, który oddawna koncert swój zapowiedział. Koncert ten miał tém większą wartość i siłę atrakcyjną, że się składał wyłącznie z utworów koncertanta, znanego nie tylko u nas, ale i za granicą. Po kwartecie (D-moll) nastąpiły trzy bardzo piękne krakowiaki i „Kołysanka,” która się ogólnie podobała. Ale koroną wieczoru były dwa utwory orkiestralne p. Noskowskiego: uwertura „Morskie oko” i symfonia „Oczyzna.” Wspaniałe te dzieła, tak co do pomysłu, jak faktury i instrumentacji, w niezwykły sposób rozentuzjazmowały słuchającą publiczność, a znawcy utrwaliли zasłużone imię kompozytora sumienną recenzją i schyleniem głowy przed potęgą tonów.

Epilogiem koncertów, ale świetnym, był występ p. E. Sauret, skrzypka. Nie zdarzyło nam się dawno słyszeć tyle pochwał i tyle uznania, ile go p. Sauretowi oddawano, szczególnie co do techniki. Trudności bowiem, jakiegokolwiekby się nadarzały, pokonuje p. Sauret z nieporównaną łatwością, jakby sobie z nich żartował, a przez to podnosi uwielbienie i podziw słuchaczy. Niezwykła werwa łącząc się z śpiewnością i delikatnością tonu i elegancją wykonania, musiała porwać znawcę i dyletanta; to też oklaski prawie nie ustawały i p. Sauret nad program grać musiał. Szczególnie podnieść należy koncert A-moll Vieuxtempsa i fantazyą Wieniawskiego z „Fausta” Gounoda.

Do szeregu koncertów a przynajmniej występów muzycznych, należy również wieczorek Juliusza Słowackiego (dnia 4 maja), urządzoney przez młodzież akademicką. Roku ubiegłego urządzoneo piérwszy taki wieczorek i przeznaczono z niego dochód na cele oświaty ludowej. Skoro się wieczorek udał, postanowiono odtąd corocznie w tym samym urządzać go celu. Ze zaś tegoroczne wczesne i długie ferye wielkanocne nie pozwoliły młodzieży akademickiej urządzić go wcześniej, odwlekała się ta sprawa aż do maja. Wieczorek składał się przedewszystkiem z dwóch części: muzykalnej i deklamacyjnej. W piérwszej wzięła udział orkiestra miejska, p. Bylicki, p. Reich śpiewak i p. Cynk wiolonczelista; w drugiej deklamował jeden z akademików ustęp z poematu „W Szwajcaryi” a pani Hoffmanowa z p. Kałuzińską odegrały prolog do „Lilli Wenedy.” Całość wypadła ku ogólnemu zadowoleniu widzów. Właściwy program poprzedziło zagajenie prezesa Czytelnicy akademickiej p. Pawlikowskiego, który usiłował przedstawić zapatrywania młodzieży na Słowackiego.

*

*

Dawno nie widziano w Krakowie takiej frekwencji do teatru jak tego roku. Zwykła to pewnie reakcja, po obojętności dla teatru, ująwniającej się w latach ostatnich a spotęgowanej w roku zeszłym obawą wypadków Ringteatru w Wiedniu lub opéry w Nicci. Czy wyzyskano tę skłonność publiczności na jej korzyść moralną, żeby rozkapryszony

smak i zepsuty—w właściwe i odpowiednie sprowadzić granice? Ku temu celowi nadają się bardzo dobrze poważniejsze komedye, zresztą choćby tylko Fredry (ojca) i dramata sceniczne, nie wymagające się pierwszorzędnych, które niestety nasza scena nie rozporządza. Przedstawiając rzeczy mające literacką wartość, osiąga się cel podwójny: obznajmia się publiczność z literaturą dramatyczną i uczy ją cenić to, co prawdziwie w sztuce jest pięknem a więc sztuką samą. Tak postępują zawsze dyrektorowie, którzy pojmują swą rolę krzewicieli dobrego smaku u publiczności.

U nas inaczej, inaczej, inaczej... Zresztą nie jest to grzech samego Krakowa, taki to już wszędzie prąd wieku. Ideałem jest tylko brzęcząca moneta! zdobyta na teatralnym przedsiębiorstwie kosztem lichych płac aktorów i tłómaczów, lub niskich honoraryów autorskich. Dlatego każda lepsza siła nie chcąc zmarnieć ulatuje od nas. Dlatego karmi się publiczność tłustymi farsami cudzoziemskiego i swojskiego autoramentu ¹⁾.

W takich warunkach nie można się spodziewać rozwoju sztuki dramatycznej; tylko taki komedyopisarz jak p. Bałucki, który zdaje się doszedł już do téj łatwości w tworzeniu komedyi i niekomedyi, co J. I. Kraszewski w powieści, zdoła pisać ku zadowoleniu publiczności. W końcu sezonu zimowego przedstawiano jego komedya „Dom otwarty” na benefis p. M. Frenkla. Fabuła téj komedyi bardzo prosta. Władysław Żeleski, urzędnik banku, od niedawna mąż miluchnej żonki Janiny, prowadzi szczęśliwe życie w zamkniętém kółku domowém, do którego należy nadto wuj Telesfor, Kamila, siostra pani Janiny i jej narzeczony Adolf. Życie to płynie zwykłym korytem na codziennych zajęciach, rozmowie i... grze w szachy. Tymczasem nadchodzi karnawał a z nim szalone zabawy i tańce. Pani Wicherkowska obudza w spokojnym domu pragnienie, zabawienia się, naturalnie z tańcami; sama wskazuje nazwiska młodzieży, którą zaprosić trzeba, pan Żeleski sprasza, wynajmuje się na ten dzień lokaja, i balik gotowy. Tymczasem ani sproszone damy ani młodzież nie odpowiadają wymarzonemu wymaganiom; straty materyalne i nudy a do tego dąsy i obmowy gości, oto nagroda tych, co niezadowoleni spokojnym życiem, pragną prowadzić „dom otwarty.” Wspólne rozpamiętywanie nieprzyjemności sprowadza dawny tryb życia domowego i dawne... szachy. Na tém tle udało się p. Bałuckiemu nakreślić kilka udatnych typów i komicznych postaci. Typowym jest wuj Telesfor stary pułkownik, chociaż za mało wydatnie narysowany. Całą siłę komizmu przeniósł autor na pana Fikalskiego, aranżera tańców par excellence, którego życiem i jedynym celem jest aranżować. Również i Fajarkiewicz farmaceuta, i Wróbelkowski zepsuty i zarozumiały gołowąs ze swymi towarzyszami, są wyborném otoczeniem pana Fikalskiego. Zabawnym jest

¹⁾ Kiedy się zaś żąda od kraju podwyższenia subwenoyi, to uderza się w poważną stronę narodowego posłannictwa sceny krakowskiej.

p. Wicherkowski ze swoją teorią strzeżenia żony która go oszukuje, komicznym sztywnym archiwista pan Ciuciumkiewicz z żoną pierwszorzędną bajczarką i trzema marynetkami to jest córkami. Nie brak tej komedyi więc i typów i myśli przewodniej, którą jest zadowolenie ze swego a nie szukanie szczęścia za górami, nie brak nawet artystycznego zaokrąglenia, przeczco staje bezwzględnie wyżej od „Geśi i gąsek.”

Drugą nowością z ostatnich był „Romans paryzki,” sztuka (1) w 4 aktach O. Feuilleta. Pan Henryk de Targy w jednej chwili staje się ubogim przez swą szlachetność, która mu nie pozwala zatrzymać dłużej u siebie depozytu złożonego w ręce jego ojca, a przeznaczonego dla bogatej baronowej de Chevrial. Sybaryta i egoista baron, przyjmuje pieniądze a zarazem czyni pana Targy urzędnikiem w swym kantorze, ale nie ze wspaniałomyślności, tylko dla łatwiejszego przystępu do pani Targy (żony), która mu się podoba... Matka pani Targy i on sam znoszą ubóstwo mężnie a nawet czują się w niem szczęśliwymi; ale młoda żona Marcelina, której ubolewania nad nią przyjaciółek takich jak pani de Luce i pani de Valmery do żywego dojmują, czuje się pogębioną i nieszczęśliwą. Tymczasem Juliaui tenor i impresario, angażując trupę do Ameryki a znając niepośledni głos pani Marceliny, namawia ją do opuszczenia męża i zaciągnięcia się w grono jego towarzystwa. Marcelina się waha, ale zły duch, chęć okłasków i majątku zwycięża i... ucieka. Nieszczęśliwy mąż znosi ten cios jak może, z pomocą kochającej ją matki. Tymczasem baron de Chevrial zakończył żywot na jednej z bachanalii wyprawianych baletniczkom. Wdowa po nim czuje afekt do pana de Targy, on także nie jest obojętnym, a matka radaby związek ten pobłogosławić, zwłaszcza że z Ameryki doszły wieści o spaleniu się w podróży okrętu, na którym płynęło towarzystwo pana Julianiego. Ale Marcelina ocalała i w chwili gdy pani Targy (matka) cieszy się, że syna z baronową połączy, zjawia się błagając o przebaczenie. Otrzymuje je dość łatwo od matki, ale nie tak łatwo uzyskać je od męża. On nawet wspomnieć sobie o tém nie da, przeklina jęj pamięć, co słysząc ukryta w pawilonie, zażywa truciznę. Wreszcie jęj przebacza, dostaje się do pawilonu, ale wynoszą już konającą.

Sztuka ta opatrzona dosyć niestosownym tytułem, nie może równać się z innemi tego autora. Tendencja jęj niejasna, a ta jęj część, którą można odkryć, nie moralna, czyni niesmaczne wrażenie. Nie ma też ani wybitnych charakterów, ani zręcznej budowy, ale owszem wydaje się czémś niedokończonem lub niejednostajnie wykonanem.

O trzeciej a ostatniej nowości p. J. Al. Fredry: „Oj młody, młody“ pozostawiam opinią specjalnemu sprawozdawcy w Warszawie, który to lepiej odemnie uczyni. To tylko nadmienić muszę, że utwór ten wzniecił słuszne oburzenie publiczności, której zmysł moralny zupełnie jeszcze nie stępsiał. Niezaprzeczoną bowiem jest rzeczą, że farsa ta prócz umiejętnej budowy i pewnego zasobu humoru, nie posiada zresztą żadnych zalet literackich a owszem jako obraz rzekomy na-

szych stosunków społecznych jest conajmniej paszkwilem. Nie pojmujemy w tym razie nie tylko pobłażliwości, ale prawie uwielbienia krytyka, który się w „Czasie“ odezwał.

* * *

Odczyty publiczne urządzone przez młodzież akademicką na dochód Bratniej Pomocy, a miewane przez profesorów uniwersytetu i inne wybitne literackie osobistości przeciągły się w roku bieżącym aż do kwietnia. Oprócz wspomnianych już w przeszłej korespondencji miał ks. dr. Stefan Pawlicki szereg prelekcyi w marcu „o początkach chrześcijaństwa“ które cieszyły się nie małym powodzeniem tak ze względu na sam przedmiot jako i na powabną ich formę. Dnia 2 kwietnia odczytał p. Podwyszyński art. dram. w miejsce słabego p. J. Zacharyasiewicza, jego nowelkę p. t.: „Król-socyalista“ mającą za tło epokę dziejów naszych po pierwszym rozbiórce, a osobliwie zabór pruski przez Fryderyka II-go. Zręcznie napisana nowelka odkryła wiele smutnych stron ówczesnego naszego życia, a scharakteryzowała bardzo trafnie władze pruskie. Nakoniec dnia 8 kwietnia czytał prof. K. Morawski o „Śmierci w starożytności.“ Prelegent przeszedłszy w historycznym porządku wyobrażenia o śmierci i życiu pozagrobowym panujące w Grecyi i Rzymie, wykazywał stosunek wierzeń ludowych do filozofii, która je ostatecznie zniszczyła i przygotowała grunt chrześcijaństwu. Zestawienie materiału było tylko nieco chaotyczne a wygłoszenie zaprędkie, wskutek czego niejedynemu szczegół zajmujący przeminął niedostrzeżony. Zresztą całość była obrobioną wdzięcznie, i pięknym przedstawioną językiem; prof. Morawski bowiem umie zręcznie wycinać zajmujące karty z odległej starożytności i w korzystnym oświetleniu przedstawiać je słuchaczom.

* * *

W dniu 9 maja odbyło Koło artystyczno-literackie III zwyczajne walne zgromadzenie, na którym wybrano nowy wydział złożony z pp. Juliusza Kossaka jako prezesa, d-ra Adama Asnyka jako wiceprezesa, K. Bartoszewicza jako sekretarza, p. Abramowicza jako podskarbiego. Do wydziału weszli literaci: pp. Michał Bałucki, dr. Ludomir German, ks. Ignacy Polkowski, Mieczysław Pawlikowski, Tadeusz Romanowicz i Jan Nep. Sadowski; artyści: pp. Leopold Löffler, Walery Gadomski, Marcei Gujski, Witold Piwnicki i Jan Styka. Nowy wydział zajął się energicznie sprawą uczczenia pamiątki odsieczy Wiednia i dlatego postanowiono wydać album rysunków przedstawiających epizody z tego pamiętnego historycznego faktu. Wezwano wszystkich znakomitszych artystów do współpracownictwa, i jest nadzieja, że wszyscy dorzucą po ziarnie do tego zbioru i publikacja się uda.

Następnie zwołano na dzień 13 czerwca nadzwyczajne walne zgromadzenie, na którym przyjęto sprawozdanie komisji kontrolującej, uzupełniono wydział wyborem p. Bylickiego i omawiano sprawę zjazdu

literatów i artystów, w zakresie, jaki Wam już z poprzedniej korespondencji podałem. Sprawą tą zajmuje się wydział i osobno ku temu złożona komisya, bardzo żywo; nie tajno bowiem nikomu, ile dobrego podobny zjazd dla każdego z osobna, przez zbliżenie się i poznanie, i dla wszystkich razem przez omówienie rozmaitych wspólnych potrzeb i życzeń przynieść może. Łącząc bezpośrednio zjazd ten z obchodem pamiątkowym odsieczy wiedeńskiej w pierwszej połowie września b. r., nadaje się mu tém donioślejsze dla zamiejscowych znaczenie.

* * *

Towarzystwo oświaty ludowej staje się coraz ruchliwszem. W dniu 18 maja odbyło walne zgromadzenie w sali Radnej magistratu, na którym prezydent miasta dr. Weigel złożył urząd prezesa, poczem przyjęto do wiadomości sprawozdanie z rocznej czynności; założono w tym czasie 28 czytelni ludowych a 3 istniejące zasilano książkami, których rozestano do 2000. Porobiono również stosowne kroki do założenia szkoły sadownictwa w Woli Justowskiej i Zabierzowie. Dochody Towarzystwa wynosiły 2,124 złr. 45 ct., rozchody 1,586 złr. 59 ct., remanent więc wynosi 537 złr. 86 ct. Przy wyborze nowego wydziału obrano jednogłośnie prezesem ks. Pelczara rektora uniwersytetu, do wydziału zaś weszli: dr. Adam Asnyk, Wł. L. Anczyc, dr. Dadlez, dyrektor Jabłoński, ks. Krzemiński, Malkiewicz stud. uniw., dyrektor Maciołowski, dr. Warszauer, ks. dr. Spis, Wojtyga nauczyciel ludowy i p. Ign. Zólkowski. Na miejsce akademika Wiczkowskiego, który się zrzekł głosów wszedł do wydziału p. K. Bartoszewicz. Ponieważ Towarzystwo niedawno doznało ze strony konsystorza biskupiego wielkiej szkody, bo zatamowano doń przystęp duchowieństwu, przeto nowy wydział złożono w ten sposób, aby był wilk syty i owca cała, a nadto na 23 czerwca postanowiono zwołać nadzwyczajne walne zgromadzenie, celem zmian niektórych paragrafów statutu. O dalszym rozwoju Towarzystwa i owych zmianach obszerniej w przyszłej pomówimy korespondencji.

No... No...

w Krakowie, w czerwcu 1883.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA *).

Dział historyczny, bardzo ubogo w tym roku przedstawiony. Nie możemy dosyć odżałować, że Matejko nie nadesłał „Pruskiego hołdu,” byłby niewątpliwie panował na wystawie. Z jednej strony, spotkałby tu zawiść malarzy, i niechęć krytyków, którym każdy tryumf cudzoziemca, bywa zazwyczaj solą w oku; z drugiej strony przecież, widok pruskiego wassala, ukorzonego przed lennym panem, musiałby znaleźć oddźwięk w francuzkich sercach, przypominając im rodowód tryumfujących dziś dorobkowiczów.

Nie brak tu utworów historycznych, a właściwiej mówiąc historyczno-rodzajowych. Z pomiędzy wielu, krytycy wyróżniają wielki obraz, młodego dwudziestoletniego malarza p. Rochegrosse. Przedstawia Andromakę na zwaliskach pałacój się Troi. Obraz to dziwnie wstrętny, istna jatka rzeźnicza; krew ścieka po murach, tworzy na ziemi jakąś stężałą kałużę, w której tkwią poodcinane głowy. Tułowy zalewają plan pierwszy po prawej ręce. Na lewo wzdłuż muru wiszą ciała pomordowanych Trojan. Wszystko to jest tylko tłem obrazu. Wśród tych okropności, odbywa się straszliwszy jeszcze dramat. Z muru cyklopów, otaczającego Illion, wybiega w górę wieżyca, u stóp jój bucha płomień, ale jeszcze nie sięgnął do szczytu, gdzie stoi Ulyses w tryumfalnej postawie. Z téj wieży, po schodkach wykutych w murze, zstępuje Andromaka; nosi w objęciu małego synka Astyanaksa. Ale rozważny Ulyses nie dopuści, aby Hektor miał się odrodzić w synu. Na rozkaz jego zbrojny Achejczyk wydziera Astyanaksa z objęć matki, za chwilę rzuci go z wieży w fosę zawaaloną trupami. Wdowa po Hektorze walczy, niby rozżarta lwica; czepia się oburącz szaty zbira, który wydarł jój dziecię. Scena to przerażająca. Mimo chaosu w układzie, nieuniknionego przy takim steku żywych i trupów, mimo nadużycia grozy, obraz ten nosi piętno wyższego talentu: poznać lwa po pazurach. Młody malarz otrzymał srebrny medal, i jak wnoszą otrzyma rzymskie stypendyum.

*) Dokończoniec—patrz zeszyt za lipiec r. b.

Od epoki Homera do dni naszych, każdy niemal wiek, dał pobudkę tutejszym malarzom do wysnucia historycznego wątku, ale niestety, jak rzekliśmy wyżej, nie do odtworzenia historycznej epoki. Uderzył nas w niektórych obrazach wyraźny wpływ szkoły mistrza krakowskiego: słabe to jednakże wysiłki. Historycy dzisiejsi, nie napróżno wmawiają w naród, że jego dzieje datują od wielkiej rewolucyi, nie dziwmy się więc, jeśli artyści wychowani pod takim wpływem, obojętnym okiem patrzą na tę przeszłość, która przecież słonecznymi zgłoski przyświeca w dziejach świata. Miłość tylko tworzy cuda, tak w sztuce jak i w życiu! Wszelki utwór, nie ożywiony tym świętym zarem, będzie tylko miedzią brzęczącą! Gdyby Matejko nie ukochał przeszłości naszej, czyżby ją tak umiał odtwarzać?

Rzecz jednak dziwna, dla czego nie widzimy tego żaru w oddaniu scen z wielkiej rewolucyi, tak dziś apoteozowanej? Dziwacznie Lafon przedstawia zdobycie Bastylji; lud paryzki uosobiony tu w olbrzymie, którego jedyną odzieżą czapka frygijska, żylastą ręką wyłamuje zardzewiałą kratę, nogą depcze wściekle białą chorągiew z liliami.

Inny obraz z tych czasów, pędzla Royera, przedstawia panią Roland: ubrana biało, stoi na poplamioném krwią rusztowaniu; pochylony kat wiąże jęj ręce powrozem. Gilotyna ukryta; widać tylko wspierające ją słupy. Poniżej tłuszcza zaległa plac; rozczochrane trykotczy wytrząsają pięściami. Śpiżowy posąg panuje ponad tłumem. Ofiara wlepiła weń oczy, śnać szepcze znane słowa: o wolności! ileż to zbrodni popełniono w twe imię!

Na innym obrazie, Rouget de Lille tworzy Marsyliankę. Młody malarz Melingue oddał pędzlem słowa Lamartina, skreślone w historyi Girondistów: „Wszedł do samotnej izdebki, szukał natchnienia, to w drgającym tętnie duszy obywatelskiej, to znów potrącając w klawisze instrumentu. Tworzył na przemiany to słowo do niewyspiewanej jeszcze nuty, to nuty do słów jeszcze niewyrażonych, i tak ściśle łączył je w myśli własnej, że nie wiedział sam czy dźwięk czy słowo zrodziło się nasamprzód. Ztąd muzyka jednolitą jedność tworzy tu z poezją, uczucie z wyrażeniem!”

Te słowa czytamy w katalogu, lecz doprawdy nie czytamy ich w szeroko rozwartych ustach autora Marsylianeki. Śnać między piórem Lamartina a pędzlem p. Melingue nie istnieje ta jednolita jedność.

Z historycznych obrazów zapiszmy tu jeden p. Poilleux, nie dla piękności pędzla, ale dla fantastycznego pomysłu. Przedstawia on Kościuszkę, rannego w bitwie. Przynoszą go na tragach przed jakiś gmach kamienny, szczelnie zaryglowany; ma na sobie czerwony mundur ze złotym szamerunkiem, podbity materyą pomarańczową. Z pod spodu widać kierezyą krakowską z białego sukna; czworograniasta czapka ze złotym galonem leży przy nim na ziemi. Z gmachu wyszła majestatyczna niewiasta, w sukni jedwabnej w kwiaty i aksamitnym szafirowym płaszczu z gronostajami; na fryzurze upudrowanej sterczy biały korzecik, zdobny ponsową wstęgą; przez ramię jęj przewieszona takż wstę-

ga z orderem. Ma to być cesarzowa Katarzyna. Za monarchinią stoi dozorca więzienia, z pękiem ogromnych kluczy w ręku, w brunatnej guni węgierskiej, szamerowanej w różne wzory: na piersiach wyszyty wielki dwugłowy orzeł. W głębi żołnierz stoi na czatach. Cesarzowa z łaskawym obliczem przystępuje do jeńca: oceniając jego waleczność; oddaje mu orzeł, zabrany na polu bitwy; ale Kościuszko przyjąć go nie może.

— Nie mam ojczyzny, rzeczce, orzeł mi niepotrzebny.

Do historycznych zaliczymy obraz przedstawiający fakt tylko co dokonany, ale z liczby tych, które pozostaną w księdze dziejów Francji z końca dziewiętnastego wieku. W obrazie wielkich rozmiarów, p. Carrou pokazuje wygnanie Benedyktynów z Solesmes. Koloryt przyémiony, harmonijnie odpowiada akcyi pełnej głębokiego spokoju. Nie szukał tu artysta sztucznych efektów, oddał tylko prawdę; z całą prostotą uwydatnił smutny dramat. Scena odbywa się w wielkim dziedzińcu monasteru. Dokoła ciągną się budynki, w których znajdowało gościnne przyjęcie tylu uczonych i artystów. Między innymi przebywał tu Montalembert, gdy rozpoczął wielkie dzieło: „Historią Mnichów na Zachodzie.”

Na pierwszym planie stoi poważny starzec, opat zgromadzenia: błogosławi kłęczących wkoło zakonników. Z obu stron tłoczy się lud, różnolity odzieżą i postawą. Są tu włościanie i robotnicy w bluzach, zamożne mieszczaństwo, grono niewiast, dziewcząt i dzieci. Na obliczach maluje się oburzenie połączone z głębokim żalem. Po prawej ręce stoi zakonnik, trzyma w ręku otwartą księgę, zda się przypominać wielkie zasługi oddane cywilizacji przez tych Benedyktynów, którzy w wiekach barbarzyństwa, ocalili odwieczne księgi i pergaminy, chroniąc od zniewagi arcydzieła rozumu ludzkiego. Księga ta w ręku zakonnika wymowną jest protestacją, malarz z wielkim taktem, usunął wgłąb i ukazał w półcieniu wykonawców wyroku w mundurach i czapkach z galonem. Przypatrzywszy się bliżej, widzimy jak jeden z nich wyrzuca mnicha za próg klasztorny. Artysta nie otrzymał medalu: w każdym razie, obraz jego przemówił silnie do publiczności: tłumy zatrzymują się przed nim.

Inny jeszcze obraz tegoczesny, stanie się kiedyś świadectwem historycznym kłesk, jakie Paryż przechodził w czasach pamiętnego obłączenia. Scena odbywa się w piwnicy. Mieszkańcy domu, zbiegli się tu z ubogich poddaszy i wytwornych salonów; w obec uczucia boleści i grozy, zatarły się wszelkie różnice: na każdej twarzy równy przestrach. Podeszła matrona siedzi w krześle na pierwszym planie: tulią się do niej drżące dziatki. Przez zakratowane okienko, widać ogniste bomby przelatujące nad Paryżem.

Do innej zupełnie kategorii należy olbrzymi obraz p. Giron, pod tytułem: „Dwie siostry:“ bodajby i ten, przedstawiający dziś rys rzeczywistego życia, mógł się stać kiedyś smutną tylko historią przeszłości. Scena ukazuje początek bulwarów; słońce świeci jasnym ale ostatnim

blaskiem; zbliża się godzina obiadowa. Dzień to jak widać niedzielny; tłumy powracają z pól Elizejskich i lasku Bulońskiego. Wśród powozów i omnibusów, snuje się chmura pieszych. Kwiaciarka popycha wózek pełen róż i jaśminów. Na pierwszym planie, idzie trotuarem robotnica w skromnej lecz i świątecznej odzieży, jedną ręką prowadzi pięcioletniego chłopczyka, drugą, starszą dziewczynkę. Tuż za kobietą, postępuje mąż, robotnik w bluzie, z małym dzieckiem na rękę. Tymczasem przez środek bulwaru toczy się otwarty pojazd, uprzężony w dwa dzielne konie. Siedzi w nim młoda blondynka, w blade-różowej sukni; strojna w pióra i kwiaty. Robotnica rzuciła okiem na nią i wstyd zarumienił jej czoło. Drżąca z gniewu wyciąga do niej pięść zaciśniętą. Zrozumiała ten gest strojna kobieta, czy lica jej spłonęły? trudno to zgadnąć pod różem i bielidłem. Cała przepaść rozdziela obie, a przecież uderza w nich typowe podobieństwo. To dwie rodzone siostry, istne dwa kwiaty wzrosłe na wspólnej grzędzie, ale niestety, gdy jedna pozostała w miejscu, drugą prąd popchnął na bezdroża!

Obraz ten prowadzi nas do rodzajowych, które i liczbą i wartością przeważają w Salonie nad innymi. Przewaga tych utworów wywołuje żywą polemikę pomiędzy krytykami. Wierni klasycznym tradycjom rutyniści, jakich tu jeszcze nie brakuje, wymawiają artystom, że chciwie goniąc za zyskiem, malują drobne sceny, łatwe do spieniężenia. Może i to być, lecz tylko wyjątkowo: wyżej potrzeba szukać tego popędu do czerpania życia z nowych krynic, gdy dawne zużyły się i wyschły. Ży Nioby, jęki Prometeusza, nie znajdują już oddźwięku w sercu naszym. Zbyt wiele widzieliśmy skamieniałych z boleści matek, zbyt wiele ofiar przykutych do skały, w wiecznej walce z żarłocznym sępem, aby wobec rzeczywistości nie zbladły greckie myty! Żywięj za to przemawia do nas myt innego Tytana, Anteusza, który krążąc w świecie ideału, wówczas tylko nabierał nowych sił, gdy stopą potracił o ziemię!

Zrozumieli ten myt malarze francuzcy; mówimy tu o kilku wybranych, którzy tworzą dziś nową szkołę. Przewodnikiem ich Juliusz Breton. Wielki ten malarz-poeta umiłował lud wiejski, żyje stale wśród niego, pędzlem i pieśnią opiewa jego prace. W tym krzepkim ludzie, przyrośłym stopami do gleby, sercem do religijnej wiary ojców, widzi on jedyną przyszłość Francji, jedyną tarczę przeciw powodzi, grożącej społeczeństwu.

W ślad Bretona poszły całe chmary młodych malarzy; ale jedni, malując lud, szukali w nim tylko nowych barw do obrazów, nie sięgając myślą do głębi; innym szło wyłącznie o zerwanie z tradycją szkolną i stanowczy zwrot do rzeczywistości. Słowem, całe tłumy rzuciły się na nowe drogi, pchane niezwykłym, a częstokroć bezwiednym prądem.

Wśród mnóstwa przedmiotów ludowych, uderzają nasamprzód w oczy nie pięknością, ale dziwactwem i trywializmem, obrazy impresjonistów, istne parawany japońskie. Krzywdzą one podwójnie sztu-

kę: raz, że zabierają wiele miejsca, impresyoniści bowiem nie żałują płótna, ani farby; powtóre: że wobec tych jaskrawych tonów, tych rozproszonych światła, błędną utwory prawdziwie piękne, pełne spokojnej harmonii; trzeba wyszukiwać tych pereł.

Owemi perłami najczystszej wody są tu dwa niewielkie obrazki Juliusza Bretona: oba wzięte z życia wieśniaków, poetyczne jak pieśń ludu, wolne od sielankowej przesady. Przypatrzmy im się bliżej.

Na jednym obrazku niebo ciemne, barwy łożowianej, burza tylko co przeszła; promyk słońca przedziera się przez chmury i zakreśla łuk tęczy na widnokręgu. Drożyną wijącą się w parowie jedzie na osiołku wiejska niewiasta: dziesięcioletni chłopiec stąpa przy boku matki, pokazuje jej tęczę, wróżbę rychłej pogody.

Na drugim obrazku kwitnie wiosna: słońko tylko co weszło. Środkiem łąki toczy się strumień. Po jednej stronie chłopiec pasie stado koni, po drugiej dziewczeczka pilnuje bydła: spostrzegli się, przybiegli, patrzą na siebie, rozdziela ich tylko wązkie koryto rzeczki... milczą jakby przejęci strachem, ależ cudnie za nich przemawia pędzel mistrza. W oddali rysuje się wioska i kościółek z dzwonnniczką, ocieniony drzewami.

Do najcelniejszych uczniów Bretona należy córka jego, młoda pani Demont-Breton. Od lat trzech utalentowana artystka nadsyła utwory swoje do Salonu i z każdym rokiem zbiera nowe, coraz bardziej zasłużone oklaski. Ten rok prawdziwym jest dla niej tryumfem. W wielkim obrazie przedstawia rybaczkę z czworgiem dzieci. Postać matki krzepka, energiczna, w rysach jej dobroć i zaduma, połączona z wielką powagą i uczuciem godności. Siedzi na brzegu, przy pęku szmat; tylko co wykapała dziatki. Najmłodsze, przestraszone kąpielą, tuli się z płaczem do niej. Starsza dziewczuszka stoi w pośrodku, rączki założyła na główkę, z włosków jej ścieka woda. Po lewej ręce dwa chłopięta swawolą na piasku: jeden śmieje się, wyszczerzył białe zęby, czarne oczy jego roziskrzono radością. Obraz cały przy wielkiej prostocie pełen wdzięku i harmonii: wielka w nim nauka dla realistów, że prawda oddana prosto, bez przesady, może być także piękną.

Bastien-Lepage, biegły malarz, ale zawzięty wróg idealizmu, stanął na czele nowej szkoły, odmienną całkiem od szkoły Bretona. Poprzestaje on na wiernym oddaniu prawdy, nie szuka piękna, unika go nawet, widząc w nim antytezę rzeczywistości, jakgdyby piękno nie szło z nią nigdy w parze. Obraz jego: „L'amour au village,” pokazuje chłopca i dziewczynę po obu stronach płotu. Dziewczyna odwrócona plecami obrywa z listków kwiatek; chłopiec w skórzanym fartuchu spuścił oczy zakłopotany. Postawa obojga wybornie oddana; ale nie szukać tu promyka poezji: malarz unikał jej widocznie.

Inni zdolni artyści ukazują nam cały szereg prac wieśniaczych: Lhermitte, pełną życia prądkę przy kołowrotku, i krzepkiego żniwiarza na zagonie, ocierającego pot z czoła po całodziennym trudzie, podczas gdy żona związuje snop powrostem; Adan wystawia śmiałą córkę

przewoźnika samą na łodzi, w walce z wzburzoną falą; Langée pierwsze kroki dziecięcia wobec rozradowanych rodziców. Inni ukazują nam wnętrza kuźni i wszelkiego rodzaju warsztaty rzemieślnicze: chęć uczczenia ludzkiej pracy widocznie kierowała ich pędzlem.

Liczni cudzoziemcy: Węgrzy, Holendrzy, Szwedzi, wzbogacili ten dział rodzajowych obrazów: prace ich oprócz zalet technicznych ważne i pod względem etnograficznym, gdyż wiernie odbijają charakter miejscowy. Zajął nas między innymi obraz Amerykanina Knifa: „Wesele wiejskie.” Ścieżką przez łąkę bieży rączo do kościoła orszak weselny: otwiera pochód dziatwa wiejska w poskokach, czapki lecą w górę jak piłki; dalej idą grajkowie: skrzypek tnie od ucha jakąś wesołą melodyą, towarzyszy mu drugi na fletrowersie, trzeci bije w bęben do taktu. Za nimi postępuje młoda para z orszakiem strojnych dziewcząt, družbów i dziewczęstów. Starszyzna wiejska zamyka pochód, prowadząc wesoły rozhovor. Nie wszyscy tu jednak szczęśliwi: patrzmy oto, na pierwszym planie stoi dorodna dziewczyna; bose jej nogi toną w trawie, porzuciła na ziemię płachtę naładowaną zielem. Pogląda na orszak, smutno дума, nie dla niej takie gody!

Wśród rodzajowych obrazów uderzyły nas liczbą i znaczeniem piękne marynarki. Nad wszystkimi panuje wielki obraz Renoufa, oddany z niesłychaną siłą. Na rozszalałym morzu wicher napycha łódź na skałę: maszt strzaskany, żagle podarte; nie zważają na to czterej majtkowie, wiosłują z wysileniem, pełni otuchy, że dopłyną do brzegu.

Inny malarz scen morskich, Butin, pokazuje nam rybaków normandzkich, wypływających na połów w dzień jesienny. Jeden zgarbia pęk sieci, drugi odczepia linę, inni chwytają za długie wiosła. Krzepkie ich żony tymczasem wpychają do wody łódź zakopaną w piasku. Dzielny ten malarz, rozmiłowany w oceanie i w ludności rybackiej, wyłączenie poświęcił im swój znakomity pędzel.

Aby do zbytku nie przedłużać rzeczy, musimy pominąć inne działy malarstwa, jak: studia akademickie ciał, portrety, krajobrazy, zwierzęta i martwą naturę. Każdy dział ma świetnych przedstawicieli. Henner maluje ciała z nieporównanym wdziękiem i oryginalnością: łuna, rzec można, bije od jego płócien. W portretach, których naliczyliśmy zgórą pięćset, przewodniczą Bonnat, Carolus Duran, wspomniany wyżej Henner, Paweł Dubois, równie genialny mistrz dłuta, jak i pędzla. Villefroy, przezwany Rafaelem krów, godnie utrzymuje zdobytą sławę. Równie ją też utrzymują malarze krajobrazów: Emil Breton, Pelouse i inni; pomijamy jednak te śliczne utwory, opisać ich bowiem niepodobna.

Zostawiliśmy na koniec obrazy ziomek naszych, rozrzucone tu i owdzie po Salonie. Nie błyszczą w tegorocznym katalogu imiona Matejki, ani Siemiradzkiego; mamy za to niewielki, ale prześliczny obraz Brandta, przedstawiający z niesłychanym życiem epizod wojenny, złożony z trzech zapaśników. Rzecz odbywa się w początkach XVII wieku. Konny szermierz polski dopadł zniecka konnego Tur-

czyna, stojącego na czatach, zarzucił mu arkan na szyję. Turek silnie pociągnięty za głowę, stoczył się z konia; nasz junak ciągnie go ku sobie z gwałtownym wyteżeniem; cały przechylił się w tył, aż mu kołpak spadł z głowy. Dziarski jego kasztan zjeżył grzywę, przysiadł na tylnych nogach; żar tryska mu przez nozdrza, snadź dzieli wściekły zapęd pana swego. Siwy bachmat Turczyzna zarówno rozhukany; drugi szermierz polski chwytą go oburącz za grzywę. Trudno określić słowem tę scenę, pełną szalonej werwy. Szczęściem, obraz pomieszczony nisko, można więc ogarnąć całość akcji i przypatrzeć się oddanym po mistrzowski szczegółom.

Nie dostąpili tego szczęścia inni malarze polscy. Obrazy ich zawieszono tak wysoko, że trudno je wynaléźć, a cóż dopiéro przyjrzeć się im dokładnie. Taki los spotkał dwie sceny myśliwskie p. Chełmońskiego; poznaliśmy je tylko po oryginalnym kolorycie, po śniegu, saniach i zamasztych rzutach koni. Jeden wyobraża polowanie na lisa, drugi napaść wilków na sanki.

Obraz p. Merwarta pomieszczony téż zbyt wysoko; ale ponieważ widzieliśmy go w pracowni, więcej o nim powiedzieć możemy. Młody artysta wziął przedmiot z legendy talmudycznej, zapisanej w tych słowach: „I Hebrajczyk Nathan rzekł do Mojżesza: Panie, ten Egipcyanin przyszedł do mego domu nocą, a związawszy mnie, znieważył żonę moję, Salonitę. Młody Mojżesz, oburzony tém, zabił Egipcyanina. I zagrzebali trupa w piasku.”

Piękny ten obraz średnich rozmiarów zaleca się wielką prostotą, zgodną z biblijnym przedmiotem, i niepospolitą harmonią tonów, utrzymanych w jednej gamie jasno-brunatnej. Scena odbywa się przed mieszkaniem Nathana w noc pogodną; na szafirowém tle nieba połyskują gwiazdy, księżyc niewidzialny oczom oblewa srebrnym promieniem budowy egipskie, rozrzucone w przestrzeni; z tém światłem łamie się odbłask lampy, wybiegający z wnętrza domu. Na pierwszym planie stoi młody, piętnastoletni Mojżesz, odziany zarzuconą przez ramię draperyą, nogi, ręce i piersi ma całkiem obnażone, prawą stopą przyciska zwłoki Egipcyanina. Postać jego spokojna; wie, że spełnił powinność: jako mściciel znieważonego prawa, stał się wykonawcą sprawiedliwości Bożej. Trzyma na piersiach trupa ściekający krwią topór. Stoi zadumany: snać głos proroczy szepcze mu w głębi ducha, że wyzwoli naród swój z więzów egipskich, nada mu prawa i ujrzy na oczy oblicze Przedwiecznego.

Na drugim planie, po prawej ręce, w głębi domu rysuje się lekko postać znieważonej kobiety. Na lewo Nathan wybiega pędzony rozpaczą, ogląda się czy nie było gdzie świadka haniebnej sceny.

Krytycy tutejsi podnoszą wysoko oryginalny pomysł i układ pięknej kompozycyi, zarówno jak grę światła i koloryt. Dwaj rabini, którzy zwiedzali pracownię pana Merwarta przed wystawą, utrzymują, że dotąd nikt nie oddał pędzlem téj chwili, budzącego się w młodym Mojżeszu bohaterstwa.

Artysta nasz przygotowywał się do pracy pilném badaniem za-
bytków archeologicznych, nagromadzonych w Luwrze. Zasięgał nie-
mnień rady uczonych orientalistów Renana i Maspero. Co do gry
światła, tę badał z natury, malując nieraz pod gołym niebem, w noc
miesięczną, podczas styczniowych mrozów.

Dwaj panowie Zier, Edward i Wiktor, wzięli również przedmio-
ty z Biblii; piérwszy z nich uczeń Gersona wystawił „Esterę z Hama-
nem.” Krytycy francuzcy podnieśli tę pracę i słuszne oddają jój po-
chwały. Estera, pysznie odziana w bisior i klejnoty, siedzi wsparta
o wezglowie, z rękoma na piersi założonemi; piękne jój oblicze rysuje
się z profilu. Haman żywo przemawia do niój, wyciągnął obie ręce,
biegłe wymodelowane, ona słuca go obojętnie.

Obraz „Maryi Magdaleny spiącej w grocie,” wykonany przez Wi-
ktora Zier, należy do małej liczby celniejszych utworów religijnych
w salonie tegorocznym.

Pan Gerson wystawił scenę w „Więzieniu.” Trzech starców le-
ży na ziemi; jeden widocznie kona. Załujemy że obraz pomieszczony
zbyt wysoko; niepodobna rozpoznać szczegółów.

Pan Bakałowicz wykonał portret doktora F. Układ bardzo ory-
ginalny. Lekarz siedzi przy łożu pacyenta, ale nie widać tu chorego;
pozostał za obrazem; widzimy tylko suchą i żółtą jego rękę w krzep-
kiej dłoni doktora, wsłuchującego się w bicie pulsu. Portret wykona-
ny biegłym pędzlem, zamyślenie dobrze oddane w rysach twarzy.

Zasługuje téż na szczególną uwagę portret profesora Du..., wy-
konany przez pannę Anielę Wisłocką. Młoda artystka okazała w nim
nietylko zalety techniczne, ale co więcéj znaczy, umiała wnikać w du-
szą modelu i oddać ją w wyrazie twarzy, tchnącej pokojem i wielką
prostotą. Głęboki wyraz oczu doskonale schwycony; obok rzewnej za-
dumy, jest tam niezłomna wiara w przyszłość. Artystka umiała to
odczuć i uwydatnić, czém dała dowód niezwykłego talentu.

P. Pochwalski z Krakowa, uczeń Matejki, wystawił portret mło-
dój pani Kal..., zalecający się podobieństwem. Inny portret dziew-
czynki, widzimy tu pędzla pana Krabańskiego.

Pan Piotrowski, uczeń pp. Matejki i Gersona, przedstawił w nie-
wielkich ramach „Łowiecką schadzke z XVIII wieku.” Poznaliśmy
obraz zdaleka po kolorycie, ale koni trudno dopatrzeć i ocenić.

Wśród rodzajowych, szczególną uwagę naszą zwrócił obrazek p.
Wierusza Kowalskiego. Mimo że dosyć wysoko pomieszczony, za piérw-
szym rzutem oka odgadaliśmy w nim polski przedmiot, nie tak jak
Emir w pieśni Słowackiego poznał step „po kwiatów ojczystych zapa-
chu,” bo tu listopad, niema kwiatów, drzewa odarte z liści; poznali-
śmy go po tém, co się określić nie da, po szarém niebie, po błocie,
w którém brodzą podróżni, zsiadłszy z zagrzęźlój w nim bryczki; po
tych głodnych wronach, szukających strawy na śmietniku: przyklas-
kujemy szczerze panu Kowalskiemu za ten swojski obrazek.

Inni artyści nasi, zrodzeni zdala ziemi ojców, musieli brać wzory

z obcych miejscowości. Pan Karbowski ukazuje nam poranek nad brzegiem Marny, p. Henryk Krasnopolski, widok wioski bretońskiej, p. Słomczyński z Bordeaux „Przedgórza Pireneów;” odznacza się tu szczególnie piękny krajobraz p. Gąsowskiego, mglisty poranek jesien-ny nad Girondą.

W dziale akwareli uważamy pełną wdzięku miniaturę kobiety p. Ciesielskiego i bardzo ładny portret na porcelanie, panny Heleny Duchińskiej.

Rzeźby jak zwykle, wypełniają cały ogród oszklony. W pośród mnóstwa grup i posągów, uderzają przedewszystkiem dwie ogromne wypukłorzeźby p. Dalou, które mają ozdobić salę izby prawodawczej i inny gmach rządowy. Naprzód powiedzmy słówko o artyście. Bardzo to ciekawa osobistość: paryżanie zowią go zmartwychwstałym. Wystąpił on poraz pierwszy w salonie na rok przed wojną; otrzymał medal trzeciej klasy. Po klęskach Francyi młody szaleniec uniesiony rozpaczą, wplątał się do komuny wraz z innym rzeźbiarzem, młodym Hareau. Przeznaczono ich do straży nad skarbami artystycznymi w Luwrze. Kiedy rząd regularny schronił się do Wersalu a komuny rozpostarły władzę nad Paryżem, rozkazano złożyć amunicją w salach antyków. Konserwator Luwru Barbet de Jony, zalewał się łzami na myśl o okropnych skutkach tak barbarzyńskiego wyroku. Dalou i Hareau, dzieląc trwogę konserwatora, biegną na ratusz, niszczą gwałtem szalony wyrok. Nim Wersal pokonał komunę, Dalou zdążył uciec do Anglii. Sąd wojenny skazał go na śmierć wyrokiem zaocznym.

Anglicy przyjęli życzliwie artystę, obsypali go oklaskami, gdy w Royal academy wystawił wieśniaczkę normandzką. Po amnestyi Dalou powrócił do Paryża. Pierwszy raz od lat trzynastu wystąpił w Salonie z dwoma utworami pierwszorzędnej wartości.

Jedna z nich przedstawia senną utopię, wieczny pokój, braterstwo ludów, przedstawione w symbolicznych postaciach. Druga wyobraża posiedzenie Stanów generalnych 23 czerwca 1789 roku. W obec zgromadzenia występuje markiz de Dreux-Brézé, objawia wolę monarchy, zamknięcie obrad! Na słowa jego, odpowiada Mirabeau z głową dumnie do góry podniesioną: „jesteśmy tu z woli ludu, nie ustąpimy złąd, chyba przed bagnetami!”

Główne postacie sportretowane wiernie. Cała kompozycja jasna, pełna życia i siły. Jednomyślnie przyznano artyście medal honorowy.

Z pomiędzy rzeźb artystów naszych, uderzyło nas w oczy popiersie szpizowe dłuta pana Cypryana Godebskiego, przeznaczone na pomnik grobowy Ludwikowi Mirosławskiemu.

Pan Władysław Hegel wystawił symboliczny posąg „Roza,” i męzkie popiersie z gipsu. Pan Kosowski, uczeń szkoły sztuk pięknych w Krakowie, „Bernarda Palissy;” pan Łosik także Krakowianin, medalion z popiersiem Bronisława Zaleskiego, wykonany dla Bibliote-

ki polskiej w Paryżu; pani Marya Pietkiewiczowa wystawia medalion gipsowy, panna Dąbrowska rodem z Wilna, biust dziecięcia, z terracoty, siostra jej pani Legendre grupę odlaną z gipsu.

Nowość literacką stanowi tu dzieło Renana p. t.: „Wspomnienia z lat dziecinnych i młodości.“ W przedmowie autor przytacza poetyczną legendę bretońską. Podanie mówi, że w bliskości wybrzeży istniało niegdyś miasto Is, które w epoce niepamiętnej, zalały fale morskie. Rybacy wskazują dotąd miejsce, gdzie istniał ów bajeczny gród, i niestworzone rozpowiadają o nim dziwy. Podczas wielkiej burzy, gdy wicher roztrąca wały, błyszczą im czasem przed oczyma iglaste dzwonnice kościołów, a gdy wielka cisza panuje na morzu, słyszą odgłosy dzwonów bijące z głębi, połączone z chórem pieśni pobożnych.

„I mnie wydaje się, mówi Renan, jakobym miał moje miasto Is, zagrzebane gdzieś na dnie serca. Słyszę tam dzwony, powołujące wiernych na modlitwę, dzwony, których oni już nie słyszą. Niekiedy nadstawiam pilnie ucha, radbym pochwyć owe srebrne tony, dobiegające z niezgłębionych otchłani, jakby głosy z innego świata. W miarę zbliżającej się starości, chwytam z rozkoszą wśród ciszy letniej, te dalekie echa, znikłej nazawsze Atlantydy!”

Po tak poetycznym wstępie, złudzenie zaciera się pomału, kiedy autor wyraźnie oznajmia, że puszcza tylko w obieg zdawkową monetę wspomnień swoich, zachowując dla siebie szczere złoto. Przytaczamy tu własne jego słowa:

„Osoba, która największy wpływ wywarła na życie moje — mówi Renan — siostra moja Henryetta, nie zajmuje żadnego prawie miejsca w tych wspomnieniach. We wrześniu roku 1862, w rok po śmierci tej nieocenionej przyjaciółki, skreśliłem dla małej liczby osób, które ją znały, maleńką książeczkę, poświęconą jej pamięci. Moja siostra tak była skromna, taki miała wstręt do wszelkiego rozgłosu w świecie, że lękałbym się wyrzutów jej zpoza grobu, gdybym te kartki oddał na pastwę publiczności. Dziś chciałem dołączyć je do tego tomu, po dwudziestu latach upłynionych, ale zastanowiwszy się widziałem w tém zniewagę. Życiorys siostry mojej czytało kilka osób życzliwych nam obojgu: nie powinienem wystawiać jej pamięci tak drogiej dla mnie, na sądy zarozumiałców, którzy kupiwszy książkę, mniemają że nabyli prawo nicować ją dowolnie. Mówić o siostrze w książce puszczonей w obieg handlowy, byłoby to samo, co wystawiać na sprzedaż jej wizerunek!”

Jeśli srebrne dźwięki dobiegające do serca z podmorskiej Atlantydy, autor zachował dla siebie i przyjaciół, jakąż wartość mogą mieć owe puste echa, któremi zabawiać chce ogół czytelników? Nie będąż one raczej mistyfikacją łatwowiernych, niż rzeczywistém wspomnieniem ubiegłej przeszłości? Zresztą jakże tu wierzyć autorowi, który cynicznie przyznaje się do najbezpieczniejszej wady, bo do schlebiania cudzym opiniom, jedném słowem do kłamstwa. Posłuchajmy co mówi:

„W rozmowie i korespondencji mojej, ulegam niekiedy dziwnym słabościom. Oprócz małej liczby osób, z którymi czuję się duchowo pobratany, mówię każdemu, co uważam, że mu sprawić może przyjemność. Moja nicość w obec ludzi światowych, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Płaczę się, gmatwam, wikłam w sieć najniedorzeczniejszych bredni. Postanowiwszy z góry trzymać się w granicach przesadzonej grzeczności, staram się zawsze zbadać czego interlokutor mój żąda, abym mu powiedział. Kiedy jestem z kim, usiłuję najprzód odgadnąć jego myśli, i przez zbytek grzeczności nasuwać je z ręcznie, zanim je sam objawi. Czynię tak w przypuszczeniu, że ludzie powiększej części obrażają się, gdy im mówimy nie to, co oni myślą. Rozmawiam swobodnie, tylko z ludźmi, którzy nie inają własnych opinii.

„Co do korespondencji moich, wstyd wielki dla mnie, jeśli ogłoszą je kiedyś po śmierci. Napisać list, to prawdziwa dla mnie tortura. Rozumiem, że można być wirtuozem w obec dziesięciu, lub dziesięciu tysięcy osób, ale dla jednej osoby, inna rzecz! Nim przystąpię do pisania waham się, rozmyślam, układam plan na świstek z czterech stronnic i najczęściej zasypiam!

„Dość rzucić okiem na te listy ciężkie, wymuszone, nasadzone frazesami, aby przekonać się, że skomponowane były w półsenném odrętwieniu, gdy odczytuję com napisał, widzę słabą stronę, spostrzegam żem pomieścił tu mnóstwo rzeczy, których nie jestem pewien. I rozpaczliwie zamykam list z przekonaniem, że rzucam na pocztę jakąś straszną nędzotę!”

Radzibyśmy wiedzieć co też pan Renan pomyślał o „Wspomnieniach swoich,” jeśli je odczytał, zanim je rzucił na pastwę czytelników?

Dziwnaż to sprzeczność w charakterach ludzkich! Kiedy p. Renan przyznaje cynicznie, że potakiwał drugim, nie stając nigdy wprost ich opinii, inny znów głośny polemista, zmarły Ludwik Veillot, zapisuje w testamentcie, że nigdy o tém nie myślał, aby stać się dla drugich przyjemnym. O szczerości tych słów powątpiewać nie możemy.

„Jeśli, mówi on, dzieło życia mego dobrém było, świat przeskona się o tém kiedy mnie już nie będzie. Co szczególniej tamuje skutek prac naszych, to osobiste uczucia, jakie budzi dla siebie pracownik. Co do mnie, uważałem się zawsze za szermierza i za sędziego; nie myślałem o tém, aby się stać przyjemnym. Opinia w tym względzie ustalona, nie mogę jej odrobić. Jeżeli się myli, śmierć tylko moja przeistoczyć ją może, wówczas osądzą dzieła bez względu na wady robotnika.”

Przed laty pięciu, kiedy Veillot odjeżdżał do Rzymu, aby pomodlić się na grobie Piusa IX, wręczył ów testament bratankowi swemu, a z nim kartę, na której wspomina kilku zaciętych przeciwników swoich, mianowicie Lacordaira i Montalemberta. Przebacza im gorzkie zarzuty, błogosławi ich, wyznaje o ile Montalembert drogim był jego sercu. Przemilczał tylko o Berrierze; jakoż cała przepaść dzieliła

tych dwóch żarliwych zapaśników. Berrier czuł się przedewszystkiēm legitymistą: tryumf królewskości głównym był celem jego działań. Veillot zaś gotów był uznać każdy rząd, skoroby ten zabezpieczył prawa Kościoła.

Nie chcąc przeciążać kroniki naszej nekrologią, do której daję pobudkę niezwykła śmiertelność w artystycznym i literackim świecie, zostawiamy na późniēj wspomnienie o Juliuszu Sandeau, témwięcōj, że znajdziemy tu obszernie pole do podniesienia jego literackich zasług, w chwili gdy wybrany zastępcą zajmie jego miejsce w Akademii. Niektórzy przewidują, że będzie nim ulubiony paryżanom poeta Franciszek Coppée.

Krytyk dramatyczny, Sarcey, w zajmującōj konferencji przebiegł teatr Juliusza Sandeau; zatrzymał się głównie nad dwoma sztukami, które od lat wielu równe wywołują oklaski i dotąd pozostały na scenie. Są niemi: „Panna de la Seigliere” i „Zięć pana Poirier,” znane obie w repertuarze warszawskim. Ostatnią z nich utworzył Sandeau w kolaboracyi z Emilem Augier. W ogólności unikał on współpracownictwa, w ostatnich czasach jednak zamierzał napisać z Labichem nową komedię na temat przez siebie obmyślony. Powtarzamy za Sarceyem ów temat, który może potrącić myśl którego ze zdolnych naszych pisarzy dramatycznych. Tytuł sztuki miał być: „Udziec sarni.”

Urzędnik z małego miasteczka, pobierający za ledwie tysiąc kilkaset franków, otrzymuje od szkolnego towarzysza, zawołanego myśliwca, prześliczny udziec sarni. Niepodobna spożyć go samemu z rodziną. Urzędnik postanawia zatēm wyprawić wspaniałą ucztę: dobra sposobność do wyrobienia sobie pożytecznych stosunków i protekcyi. Żonie przypadło to do smaku, miło jēj, że zaimponuje sąsiadkom. Wraz z mężem układa cały program. Rozsyłają na różne strony zaproszenia, trudno jednak zaprosić wszystkich, ztąd niechęc pominiętych osób. Aby wystąpić przyzwoicie, wypada zaopatrzyć dom w mnóstwo rzeczy: szkło, porcelanę, wazony kwiatów i t. d. Wydatek ogromny! Ledwie że się uczta skończyła, kupcy i straganiarze nachodzą dom, wołają o pieniądze... słowem, ów nieszczęśliwy udziec sarni, dar przyjaciela, stał się powodem nieskończonych utrapień. Biedny urzędnik wyczerpał wszystkie zasoby, zaciągnął mnóstwo długów, a co gorsza, narobił sobie nieprzyjaciół i okrył się śmiesznością.

Kierunek dzisiejszy teatru raził estetyczny smak Juliusza Sandeau. Z największym wstrętem patrzył na dramata, wysnute ze spraw kryminalnych, które taką dziś zdobyły popularność. Małożto, powtarzał on, ci złoczyńcy nahałasowali za życia? niechże nam dadzą pokój po śmierci, a niech muza poetów nie wskrzesza tych ciał, na których dłoń kata wycisnęła ohydne piętno.

KORESPONDENCYA.

I.

NOWY SEJM GALICYJSKI.

Bywały już w wielu okręgach wyborczych Galicyi tak ożywione, nawet burzliwe wybory, że chyba w Węgrzech, znanych na całym kontynencie ze zbyt sangwinicznego, bo często nawet do rozlewu krwi posuniętego animuszu wyborczego, nie stanowiłyby nic niezwykłego. Ogólne wybory jednak rozpisane w całym kraju, a więc właściwa kampania wyborcza nie była u nas jeszcze nigdy tak ożywiona jak właśnie w tym roku, gdy wskutek zgaśnięcia mandatów poselskich, po upływie sześciolletniej normalnej kadencji, wypadło przystąpić do wyboru nowej reprezentacji kraju. Ożywienie ogarniało w równym stopniu wyborców i kandydatów, których liczba tak się zwiększała, że w przededniu samych wyborów, zwłaszcza w wyjętej z pod jednolitego kierownictwa centralnego komitetu wyborczego kuryi wielkiej własności ziemskiej, każdy mandat poselski miał po kilku konkurentów. Czy jestto objaw dodatni naszego życia publicznego, czy przeciwnie oznaka lekkomyślności politycznej, która zniżywszy poziom życia publicznego ośmiela nawet niepowołanych i nieuzdolnionych do ubiegania się o najwyższą godność obywatelską? Wśród walki wyborczej nie można było otrzymać pewnej odpowiedzi na to pytanie, bo wielu kandydatów nieznano jeszcze bliżej, więc trudno było orzec, z jakich pobudek wyływa ta niezwykła, nigdy przedtem niespostrzegana gorączka poselska. I dziś jeszcze w miesiąc po wyborach, kiedy niemal każdy nowo wybrany poseł przeszedł już mniej lub więcej szczęśliwie przez dziennikarski czyściec zapisków biograficzno-politycznych, kiedy pochopni do zabawki cyfrowej statystycy obliczyli, ilu reprezentantów w nowym sejmie posiada każdy stan i zawód, ile jeden z nich zyskał a drugi stracił na wyborach wobec składu poprzedniej reprezentacji kraju, i dziś powtarzam, niepodobna zgeneralizować odpowiedzi na powyższe pytanie. Uszłoby to może w dzienniku, któremu wolno wydawać sąd dorywczo i nazajutrz zaraz odwołać

lub poprawić orzeczenie wczorajsze, ale nie może ująć pismu, które, jak „Biblioteka Warszawska“ już z natury rzeczy, jako miesięcznie wydawana pisać może o takich sprawach jak wybory, dopiero po przejściu pierwszych wrażeń, a więc pisać powinna ze spokojną refleksją.

Może zbyt częstym wyjątkiem ale pewnie nie regułą było w ostatnich wyborach galicyjskich wysuwanie się ludzi nieprzygotowanych lub wcale nieuzdolnionych na stanowisko kandydackie, pojmowanie mandatu jako gratki tak samo dostępnej dla każdego, jak wiele innych synekur, wreszcie traktowanie obowiązku i prawa wyborczego przez samych wyborców w ten sposób, jak gdyby chodziło tylko o wyświadczenie przysługi miłemu sąsiadowi, uszczęśliwienie poczciwego koleżki lub towarzysza, dogodzenie fantazyi lub ambicyjce jednostki, zlitowanie się nad człowiekiem, który mandatem poselskim chce zdobyć sobie pozycją społeczną, jednym słowem jakgdyby nie dobro kraju, nie względy polityczne, lecz pobudki osobiste miały rozstrzygać o wyborze reprezentantów kraju. Przeważną większość tych nowych kandydatów, którzy po raz pierwszy wystąpili teraz na widownię publiczną i ubiegali się o mandat, stanowią ludzie wyższej inteligencji i wyższych aspiracji. Przyszła sześćioletnia kadencya sejmowa wykaże pewnie, że w zastępie nowych posłów sejm zyskał nietylko niejedną użyteczną siłę lecz nawet niejednego wyższy talent. Zapatrując się w ten sposób na najświeższą kampanią wyborczą, trzeba ją uważać za dowód naszego postępu na polu życia publicznego. Kiedy wybierano posłów do pierwszego sejmku, nie można było przebierać, bo poza gronem tych weteranów, którzy jeszcze z poprzedniej ery konstytucyjnej Austrii wynieśli większy zapas wiedzy i rutyny, młodsze pokolenie wychowane pod innym systemem nie mogło dostarczyć świeżych sił, dobrze przygotowanych do zawodu parlamentarnego. Co sześć lat, wśród nowych ogólnych wyborów stan polepszył się pod tym względem, a dziś po upływie 22 lat od otwarcia pierwszego sejmku, można już śmiało powiedzieć, że wzrosło nowe pokolenie, które może dostarczyć krajowi dość sił do obsadzenia wszystkich stanowisk życia publicznego i pracy publicznej. W miarę, jak podnosi się poziom inteligencji politycznej i zawodowej w naszym kraju, a życie publiczne co chwila nowe otwiera drogi i widoki każdemu talentowi, każdemu nawet zdolnemu człowiekowi z potrzebnym zapasem wiedzy, w miarę, jak świadomość obywatelskich obowiązków w pracy publicznej coraz szersze zakreśla koła w społeczeństwie naszym, musiała także ustępować ta fałszywa skromność, niewłaściwa pruderya polityczna, która ubieganie się o mandat poselski długo stawiała na równi z arogancją, pocztywała to nawet za dowód próżności lub za coś gorszego jeszcze. W społeczeństwach rozwiniętych wśród normalnych stosunków konstytucyjnych, wychowanych na systemie, który obywatele powołuje do współdziałania w ustawodawstwie i administracji, każdy obywatel wyższej inteligencji i wyższych aspiracji, posiadający świadomość swojej użyteczności w jakiegokolwiek gałęzi pracy publicznej, powinien uważać niejako za swój obowiązek zgłaszać się z kandydaturą zawsze, ile-

króć nadarza mu się sposobność wstąpienia na szerszą widownią pracy publicznej i przysłużenia się społeczeństwu. Jestto tak naturalne, że niepotrzeba dłużej rozwodzić się nad tem, zwłaszcza dziś, gdy ta fałszywa opinia już złamana została.

Może czytelnik zdziwi się, że zaraz na wstępie uwag o nowym sejmie popadam w taką sprzeczność z lwowskimi kolegami moimi, którzy w prasie warszawskiej przed wyborami, wśród wyborów i po wyborach rozpisywali się pesymistycznie, odmawiając akcyi wyborczej zakroju wyższego ponad zaściankowe lub czysto osobiste motywa, a wybranemu sejmowi wszelkiej zdolności do dodatniej pracy i programowego postępowania. Nie to mię dziwi, że nasi pesymiści dziennikarscy tak konsekwentnie i wytrwale p o n i ż a j ą Galicyą przy każdej sposobności, ale to, że prasa warszawska tak długo pozwala im poniżać wszystkie nasze urządzenia i instytucye. Kiedyż, jeżeli nie ona, to przynajmniej publiczność czytająca nie ocknie się i nie zapyta, czy podobne to, żeby kraj nie popadł w zupełne bankructwo ekonomiczne, społeczne i polityczne, jeżeliby już od tylu lat wszystko w Galicyi tak źle się działo, jak przedstawiają galicyjscy korespondenci?

Powiedzieć o obecnym sejmie zaraz po wyborach, zanim on jeszcze zwołany został na sesyą, że jest lichy i że nic dla kraju nie działa; to już szczyt tej dziwnej nawyczki pesymistycznej korespondentów, które niedawno przy innej sposobności podniosłem. Spisu nazwisk poselskich podawać tu nie będę, bo musiałbym przekroczyć wszelką miarę, jaka z konieczności zakreślona być musi takiemu listowi informacyjnemu jak niniejszy. Nie waham się jednak stanowczo powiedzieć, że nowy sejm galicyjski zawiera tak poważne grono znakomitych osobistości, posiadających za sobą cały szereg zasług wybitnych lub znanych z talentu i wyższej wiedzy, iż między siedmnastu sejmami innych prowincyi austriackich, nietylko nie stoi na szarym końcu pod względem wartości politycznej i intelektualnej, lecz owszem zająć może jedno z miejsc pierwszych.

Najważniejszym pod względem politycznym i społecznym, nawet sensacyjnym, tak poza krajem jak i dla nas samych był wynik wyborów z gmin wiejskich to jest z kuryi włościańskiej. Nie wybrano ani jednego włościanina, a z księży ruskich i ich świeckich towarzyszy tej samej barwy polityczno-społecznej taką tylko garstkę (9), że według regulaminu nie będzie dość silną, aby wystąpić mogła w sejmie z samodzielnym wnioskiem lub interpelacyą. A dawniej liczył ten obóz zwany świętojurskim, 40—45 głosów!

Zapatrując się na ten wynik ze stanowiska tej niewątpliwie słusznej zasady, że reprezentacya kraju powinna stanowić miniaturowy, ale kompletny obraz jego ustroju społeczno-politycznego, trzeba by brak włościan w nowym sejmie uważać za wielki błąd i za stronę ujemną całego aktu wyborczego. Poza Galicyą może nikt tego inaczej pojmować nie będzie, ale trzeba się tylko bliżej rozpatrzyć w stosunkach, aby dojść do lepszej konkluzyi. Wielu włościan wybierano do

sejmu w pierwszych latach naszego życia autonomicznego, gdy nieliczna ale ruchliwa frakcja t. zw. świętojurska, umiała w pokoleniu włościańskim, które pamiętało jeszcze oplakane czasy z r. 1846, wzbudzić nieufność do polskiej inteligencji w ogóle, a szczególnie do właścicieli ziemskich. Ruscy księża po wsiach i ich adherenci świeccy umieli wyzyskać ciemnotę włościanina tak, że byłby w r. 1861 przysiągł, iż posłom polskim chodzi tylko o wskrzeszenie niewoli pańszczyźnianej i zabranie wszystkich gruntów włościańskich. W miarę, jak niedorzeczność kolosalna tego twierdzenia odsłaniała się nawet przed zamglonemi przesadami, uprzedzeniami i szalbierczą propagandą umysłowi włościanina, bałamucono go znowu tém, że polska większość w sejmie stoi w drodze wydaniu włościanom resztek tego, co „panom” pozostało po zniesieniu pańszczyzny. Wmawiano tedy w włościanina, że mu się należą wszystkie „lasy i pastwiska,” dwie rzeczy niezmiernie pońętne dla niego, że uzyskaniu tych dwóch cennych rzeczy tylko „panowie” zawadzają. Ale i to drugie hasło agitacyjne traciło moc swoją w miarę, jak lud wiejski zaczął się coraz więcej oświecać a jego wybrańcy w siermięgach powracając z każdej sesji sejmowej musieli stwierdzić, że nietylko nie było mowy o wskrzeszeniu pańszczyzny, lecz owszem radzono nad losem ludu, uznawano jego niedolę i szczerze szukano środków zaradczych. Z postępem inteligencji włościanina, malała nieufność ku dworowi a nieznacznie świtać zaczęła w głowach wyborców wiejskich świadomość, że ich reprezentanci w siermięgach, pozbawieni wszelkiej znajomości rzeczy i skazani na milczenie w sejmie dla braku specjalnej wiedzy, nie mogą nic zdziałać dobrego. To też się w r. 1876 wybory po wsiach skończyły klęską kandydatów włościańskich, a gdy ubiegła kadencya sześćioletnia sejmu (1876—1882), mimo braku posłów w siermięgach, nietylko nie przyczyniała ludowi wiejskiemu uszczerbu, lecz owszem takie cenne dobrodziejstwa jak: ustawę karną przeciw lichwie, zapomogę głodową w r. 1880, wiele innych korzyści pomniejszych, a wreszcie ugruntowaną nadzieję lepszej doli materyalnej pod wpływem dobroczynnym nowo założonego Banku krajowego; lud wiejski ocknął się do reszty, uznał zdrożność dawnych podszeptów i mimo wszelkiej presyi ze strony probostw ruskich, poskładał mandaty swoje w ręce inteligentnych właścicieli ziemskich. Oto cały sekret niesłychanej klęski świętojurców, oto właściwy powód upadku kandydatów włościańskich na rzecz inteligencji polskiej. Że i w zachodniej części kraju stało się tak samo, to także położyć należy na karb powyżej wskazanej przyczyny. Frakcja świętojurska umiała bowiem fałszem pańszczyźnianym obałamucić i podbić dla swój sprawy także włościan wybieranych do sejmu z zachodnich powiatów. Włościanin z zachodnich powiatów, skłonniejszy z natury do ekstrawagancji od spokojniejszego i dobroduszniejszego ruskiego chłopca, nietylko szedł w sejmie ręką w rękę z świętojurcami, lecz nawet w każdej kwestyi okazywał gotowość do radykalniejszych kroków.

Stan obecny jest niezawodnie tylko przejściowy a obecna więk-

szosć w sejmie panująca, jawnie uważa za ideał swój społeczny i polityczny nie trwałe wyrugowanie siermięgi z sali sejmowej, lecz owszem możność wprowadzenia do sejmu całego zastępu włóścian inteligentnych, nieuprzedzonych i zdolnych do współudziału w pracy nad dobrem kraju. Dąży ona do tego jawnie i usilnie, forytując w miarę sił kraju rozwój szkoły ludowej, torując drogę oświacie zdrowej, kiedy tylko nadarzą się do tego sposobności.

Właściciele ziemscy, zabrawszy wiele mandatów poselskich w kuryi włościańskiej i zatrzymawszy te, które dotąd z własnej kuryi dzierżyli, stali się panami sytuacji. To nadaje sejmowi charakter tak wybitnie konserwatywny, że pod tym względem nie ma może drugiego, równie pewnego w konserwatyzmie sejmu w całej Austrii. Oczywiście niepodoba się to naszym postępowcom, którzy w skutek tego nie widzą najmniejszych widoków dla swoich doktryn i eksperymentów. Na to nie ma żadnej rady, tego już nikt nie zmieni i to też największą stanowi zdobycz. Możemy być spokojni, że nie zostanie zakłócona ta rozważna, systematyczna i świadoma celu praca, którą dzięki większości konserwatywniej sejm rozwinął na polu społecznym i ekonomicznym, która dziś już zaczyna wydawać piękne owoce a przyszłemu pokoleniu pozostawi kraj zmieniony na korzyść do niepoznania.

Zabawnie wyglądają obawy, że w nowym sejmie rozwinię się zębna polityka familijna, bo wchodzi tam w niebywałej dotąd liczbie reprezentanci historycznych rodów: dwaj Sapiehowie, dwaj Czartoryscy, trzech Potoccy, trzech Badeniewie i t. d. Ależ obok tych świetnych nazwisk zawiera indeks sejmowy nazwiska mężów, którzy tylko trudem, pracą, talentem i zasługą wzniesli się na najwyższe stanowiska w kraju i państwie. Historyczna postać Franciszka Smolki, dziś tajnego radcy i prezydenta reprezentacji całego państwa, nazwiska ministrów dr. Dunajewskiego i dr. Ziemiałkowskiego — czyż to nie wystarcza na odparcie zarzutu, jakoby w naszym życiu publicznym zapanała szlachetczyzna w najgorszym tego słowa znaczeniu! Jeśliby i to doktrynerom demokratycznym wystarczyć nie miało, to już umilknąć muszą wobec faktu, że po wyborze ani na chwilę nie było wątpliwości kto zostanie marszałkiem krajowym, że rzeczywiście w dwa tygodnie po wyborach, laska marszałkowska piastowana po kolei przez ks. Leona Sapiełę, hr. Alfreda Potockiego, hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i hr. Ludwika Wodzickiego, złożoną została przez cesarza napowrót w ręce dr. Mikołaja Zyblikiewicza, tej typowej postaci męża, który wszystko a wszystko zawdzięcza tylko własnej pracy i zasługom — nawet to, że w sejmie nowym z tyłu reprezentantami wielkich rodzin i z tyłu wielkimi dygnitarzami pozostaje tak samo jak w sejmie dawniejszym: pierwszą osobą, głową! Kiedy w pierwszej chwili po wyborach, jeden z dzienników wiedeńskich olśniony historycznymi nazwiskami wielu nowych posłów, między nimi rozglądał się za nowym marszałkiem i naiwny domysł swój przedstawić próbował jako kwestyę

wrzekomo w kompetentnych kołach rozbieraną, nikt w to nie uwierzył, nikt nawet z zaprzeczeniem jako zbytęcným nie spieszył.

Znakomita większość konserwatywna sejmu galicyjskiego nigdy nie stanowiła jednego stronnictwa, a teraz nawet więćej będzie podzieloną, niż dotąd. Dwie jednak grupy jak dotąd, tak i nadal będą odgrywały główną rolę, a w połączeniu zawsze rozstrzygną los każdój sprawy. Jedną grupę stanowią t. z. Podolacy pod komendą przeznaczonego weterana całego parlamentaryzmu naszego, tajnego radcy i byłego ministra, d-ra Kazimierza Grocholskiego; drugą grupę tworzą t. z. Stańczycy, posłowie z Krakowskiego, przewzani w ten sposób dla tego, że głośna w naszej literaturze politycznej Tekka Stańczyka stanowiła programową podstawę ich późniejszej działalności publicznej. W głównych zasadniczych kwestyach społecznych i politycznych obie grupy konserwatywne mogą iść, szły dotąd rzeczywiście i pójdą niezawodnie dalej ręka w rękę. Jedno stronnictwo bez drugiego nie dokaże nadzwyczajnych rzeczy, a oba razem już dokazały tego, co przed laty dziesięciu pewnie każdemu wydawałoby się niewykonalnym, nawet nieuchwytnym. Właśnie bowiem przed dziesięciu laty centraliści wymierzili główny swój zamach na odrębność krajów koronnych, bo odebrali sejmom prawo wybierania delegacyi do centralnego parlamentu i zaprowadzili bezpośrednie wybory. Centralizm upojony tęp zwycięstwem miał pełną władzę w rękach i był pewny, że system wyborów bezpośrednich raz na zawsze zabezpiecza go przed autonomistami. W r. 1873 deputowani polscy z Galicyi weszli do rady państwa w roli niemal upokarzającej i stanowili garstkę i numerycznie i politycznie nieznaczną. Dziś liczba ich nie o wiele się powiększyła, bo miała kres blizki w przyznanej Galicyi liczbie mandatów, ale jakżeż świetnie zmieniło się znaczenie polityczne. Koło polskie, dzięki roztropnej i umiarkowanej polityce swojej większości konserwatywnej, dzięki niezrównanemu taktowi swojego wodza, d-ra Grocholskiego, stało się potęgą, co więćej, stało się rdzeniem stronnictwa rządzącego całym państwem, które było i jest mocarstwem pierwszorzędnym. Od chwili, gdy najtrudniejsza i najważniejsza teka (skarbu) dostała się Polakowi, dr. Dunajewskiemu, którego rządy już teraz w historii finansów austriackich zapewnioną mają piękną kartę, a prezydentem rady państwa wybrany został dr. Franciszek Smolka, panująca w całym tego słowa znaczeniu rola koła polskiego w radzie państwa uwydatniła się nawet na zewnątrz, wobec całego świata.

W zasadniczym kierunku i metodzie polityczno-społecznej działalności, konserwatyści wschodniej i zachodniej części kraju, Podolacy i Krakowiacy (albo mówiąc utartą nazwą Stańczycy), byli, jak powiedziałem, w zgodzie i ostatecznie w zgodzie wytrwają. Kierunek ten i metoda wspólna polegają na roztropnym i oględnym wyyskiwaniu wszelkich danych warunków i wszelkich zdobyczy, osiągniętych w kilkunastoletniej walce o autonomię kraju. Paulatim summa pētuntur—oto wspólna dewiza obu obozów. W tęp działaniu oględnym

wykluczone zostało oczywiście wszelkie ryzyko, w tój budowie polityczno-społecznej patrzano zawsze na fundamenta, aby nie kusić się daremnie o coś, co chociaż prawie wszystkim zarówno na sercu leży, na razie przynajmniej pozostać musi w zakresie aspiracyi, lub co najwięcej, planów dla przyszłości zarezerwowanych.

Większość konserwatywna panowała i panować będzie dalej nad sytuacją. Jeżeliby chodziło o tytuł stronnictwa rządzącego par excellence, to dotąd niewątpliwie należy się on Stańczykom. Na karb tój właśnie okoliczności położyć należy fakt, że Stańczycy traktowani są dziś tak niesprawiedliwie i nielojalnie, już nietylko w obozie postępowym, lecz nawet w pewnych odłamach obozu konserwatywnego. Główniejsze stanowiska na widowni publicznej dostały się Stańczykom i ztąd ta animozya! Gdyby to było dziełem brutalnego wyzyskania większości głosów, niechęć ta miałaby podstawę. Ależ Stańczycy nigdy nie mieli większości, stanowili w najświetniejszych dla siebie czasach niecałą $\frac{1}{3}$ sejmu, więc rzecz widoczna, że w innych okolicznościach tkwi ich siła, że składają się na nią głównie moralne czynniki. Jakoż, rzeczywiście cały sekret przewagi Stańczyków polega na ich wzorowej karności, na tym rzadkim u nas politycznym esprit de corps, który w każdej sytuacji wskazuje wszystkim wspólną dążność i wspólną drogę, a wreszcie na tój niezaprzeczonej wyższości intelektualnej, której największy wróg Stańczykom odmówić nie zdoła. Ta wyższość głównie wywierała wpływ atrakcyjny i pociągała inne żywioły w chwilach ważniejszych tak, że około Stańczyków grupowała się większość niejednolita zresztą w poglądach i dążnościach na wielu polach. Tój wyższości intelektualnej, niezaprzeczonej i na każdym kroku na jaw występującej, Stańczycy zawdzięczają znakomitą rolę, ale tóż i tę nieubłaganą niechęć, jaka ich dziś ściga na każdym kroku. Niema insynuacyi tak niegodziwych, żeby ten lub ów organ postępowy nie podsuwał co chwila Stańczykom. Na to niema rady; obok przywilejów wyższości, trzeba zazwyczaj znosić także i dolegliwe akcesorya. Łatwo się tu pocieszyć. On ne jette des pierres q'aux arbres à fruits!

Misya polityczno-społeczna Stańczyków jeszcze się nie skończyła, chociaż wspólnie z innemi grupami konserwatywnymi dokonali oni już rzeczy, która się wydawała niemożliwą, t. j. wprowadzili społeczeństwo na tory normalnej pracy, wyleczyli je z pustych frazesów i stworzyli w obecnym ustroju kraju silną podstawę dla normalnego rozwoju w przyszłości. Ale to dopiero jedna część zadania. Co w początkach naszego życia autonomicznego wydawało się nam wystarczającym, to dziś po ogólném pokrępieniu organizmu społecznego wymaga reformy. Nasza gmina autonomiczna pozbawiona wskutek administracyjnego oddzielenia od obszaru dworskiego potrzebnej dyrektywy intelektualnej a wskutek organizacyi wadliwej wyzuta ze środków materyalnych, niezbędnych do spełnienia wszystkich obowiązków ustawą sobie przekazanych, musi być przekształcona tak, aby w zbiorowej organizacyi środków

i celów znalazła warunki dobra i ładu; nasze wyższe organa autonomiczne powiatowe i krajowe, pozbawione dziś samodzielności wykonawczej, zdane na uprzejmość organów rządowych, które wyłącznie egzekutywe w swym ręku drżierzą, wymagają koniecznie i słusznie takiej zmiany, aby samodzielnie poruszać się i w swoim zakresie samodzielnie rozstrzygać mogły. Z temi zmianami łączy się ściśle cały dalszy szereg szczegółowych reform w zakresie administracji autonomicznej, które, rzecz naturalna, dotąd nie wejdą na porządek dzienny dopóki nie zmieni się najpierw sama zasadnicza organizacja. Stańczycy doprowadzili na tém polu do dodatnich rezultatów, do projektu całość obejmującego, który znany jest pod nazwą wniosku dr. Dunajewskiego, a którego główną dążność stanowi uchylene obecnego dualizmu w administracji krajowej. Wniosek ten przekształca tylko formalne akcesorya autonomii, ale nie jój ducha, który owszem dopiero w tym wniosku w całej pełni występuje. Konsekwencyą wniosku Dunajewskiego była sprężysta i jednolita administracja, wykonywana przez organa rządowe przy zagwarantowanym i zabezpieczonym ustawą udziale obywatelstwa, z wyboru powołanego do utrwalania, kontrolowania i dozorowania organów wykonawczych. Co się jeszcze dziś wydaje celem niedoścignionym: rząd krajowy przed sejmem odpowiedzialny,—to także byłoby ostateczną konsekwencyą, niejako koroną dzieła zakreślonego w wniosku Dunajewskiego. Kiedy w r. 1881 rząd wystąpił w sejmie z pytaniem, czy nie należałoby pewne agendy administracyjne inaczej rozdzielić między rządowe i autonomiczne organa, a stronnictwa sejmowe nie mogły zgodzić się na jeden projekt dodatni, myśli powyższe wypowiedział śmiało profesor dr. Zatorski, czem ściągnął burzę na siebie i w ogóle na Stańczyków. Dr. Zatorski jako profesor prawa, miał na oku cały aparat, cały organizm administracyjny, a nie tylko powiat lub gminę, stanął na stanowisku wyższém, pojmując administracją jako cały system rządzenia, unikał w wywodach swoich połowiczności i nieszczerości, stojąc od początku do końca na gruncie trzeźwej i realnej polityki. Poczytano to za herezyą polityczną, za abdykacyą z autonomicznych zdobyczy, a zarzut ten nieuzasadniony w treści, lecz chyba w fałszywém tłumaczeniu niektórych wyrazów mowy dr. Zatorskiego, podziałał tak silnie na umysły, że nawet z obozu Stańczyków grono posłów uważało za stosowne zerwać z przeszłością i ustąpić z klubu. Tak powstałi tedy secesjoniści, którzy tym jednym krokiem zdobyli sobie odrazu sympatyą wszystkich niekonserwatywnych żywiołów, nie dla osobnego programu swojego, bo z nim nie wystąpili, lecz jedynie dlatego, że secesya stanowiła pierwszy jawny wyłom w karności konserwatystów. Na sesyi sejmowej z r. 1882 secesya nie zaostrzyła się; zdawało się, że sam wpływ czasu działał więcej, aniżeliby oczekiwać można po formalnej próbie zbliżenia się i wyrównania różnicy w zdaniach. Wybory ostatnie jednak odświeżyły waśń polityczną w zachodniej połowie kraju. Secesyjoniści byli bardzo ruchliwi i czynni, zaznaczyli wyraźnie, że wytrwać chcą na odrębném stanowisku, a niektórzy z nich w mowach i oświad-

zeniach przed—i po wyborach zdradzili tonem nawet tak zdradliwe pojmowanie antagonizmu, jakby ścierały się tu ze sobą dwa od dawna powaśnione obozy, nie mające nic wspólnego ze sobą. Stańczycy nie podniecali drażliwości, ale także i nie wysilali się na próby pojednania za jakąkolwiek cenę. Secesya osłabiła ich niewątpliwie, ale steru z rąk im nie wytrąciła.

Do panującej, jeżeli się uda, a do wybitnej w każdym razie roli, pretendować będą w nowym sejmie dwa kluby: niezorganizowani jeszcze i nie ochrzczeni dotąd osobną polityczną nazwą secesyoniści ze stanowiska Stańczyków i zorganizowani bardzo dobrze t. z. Ateńczycy, których nazwa jest niejako wyrazem hołdu dla autorskiej kariery głównego czynnika i prawie twórcy klubu, znanego z prac literackich hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. O secesyonistach krakowskich dotąd nie powiedzieć nie można, bo jak już wyżej zaznaczyłem nie postawili programu osobnego. Secesya ich miała być protestem przeciw wrzekomemu zamachowi Stańczyków na autonomią z r. 1881, ale sam protest chociażby był uzasadniony, a tém nie jest stanowczo, jeżeli się w rzecz głębiej wniknie, nie stanowi jeszcze programu. Albo secesyoniści wystąpią z czemś nowém albo, co więcej jest prawdopodobnem, mimowoli utoną w innym klubie. Ateńczycy gotowi ich przyjąć z otwartymi ramionami, zapewne liczą już na to i na tém swe plany budują. Pokrewieństwo polityczne przენawia za tem połączeniem, bo i Ateńczycy właściwie sami nie zdefiniowaliby swojego programu. Dotąd z ich wystąpień przebijał tylko duch krytyczny, a ponieważ posiadają w gronie swoim szereg wyższych talentów i dobrych mówców, więc ta ciągła krytyka chociaż bez dodatnich konkluzji, jeszcze się nie sprzykrzyła i stronnictwa nie zdyskredytowała. Ateńczycy istnieją już trzy lata a w tym okresie były nieraz chwile i kwestye, w których koniecznie wystąpić należało z czemś nowém, dodatniem, jeżeli się ma takie pretensye, jakie niezawodnie każdy ateńczyk żywi. Kiedy dojrzewała główna myśl programu ekonomicznego większości sejmowej, Bank krajowy, Ateńczycy ani się w niczém nie angażowali na rzecz téj instytucyi, ani nie występowali z opozycją; kiedy w sejmie toczyła się walka o budżet szkolny, Ateńczycy umieli ostać się w sympatyach klubu postępowego, który chciałby bardzo wiele łożyć na szkoły, nie oglądając się bynajmniej na źródła środków potrzebnych, i równocześnie nie zrywać z ideą marszałka Zyblikiewicza, że wśród danych warunków kraj zamiast nastrojać wymagania pod względem organizacji szkół istniejących do wysokości miary, powinien raczej dążyć do tego, aby jaknajprędzej, bez przekroczenia granic możności finansowej, już w obrębie obecnych środków zaopatrzyć w szkołę każdą gminę wiejską. W sprawie reformy administracyi, Ateńczycy w wyobrażeniu swoim stanęli u zenitu, ale w rzeczywistości nie zdobyli się na nic więcej jak tylko na projekt noweli, mającej w małej części zaradzić wadliwej organizacyi, więc na środek połowiczny.

Nie bez racyi mówią o Ateńczykach, że całym ich programem

jest ambicya polityczna z właściwém hasłem: *ôte toi que je m'y mette*, oczywiście nie w znaczeniu poziomém, streszczajacém się w polowaniu na pewne wpływowe lub intratne stanowiska, lecz w wyższém, skierowaném ku ujęciu steru w krajowej polityce. Cóż w tém złego, kiedy każde stronnictwo nie tylko może, lecz nawet powinno marzyć o ujęciu steru? Lichy to przecież żołnierz, który nie myśli o pewnej komendzie, lecz godzi się na podwładną rolę raz na zawsze. To prawda, ale stronnictwo dążące do kierowania i rozkazywania, przedewszystkiém powinno naprzód powiedzieć, jak będzie kierować i rozkazywać. Niedosć powiedzieć, że to jest złe, owo niedobre i t. d., bo poznanie stron ujemnych i trafne nawet wytknięcie błędów, stanowi dopiéro początek, pierwszy krok do kariery na stanowisko panujące. Stronnictwo, które zrobiło ten pierwszy krok, może wywierać wpływ znaczny, może nawet w wielu sprawach rozstrzygać, ale steru całej polityki krajowej ująć jeszcze nie może. Ateńczycy mają nadto bystrych wodzów i sami nadto są ostrożni, aby jakim przedwczesném wystąpieniem chcieli zaryzykować powolną karierę swoją. W ciągu bieżącej kadencji sześciolletniej powiedzie się im zapewne zyskać wiele sił świeżych, przyciągnąć do siebie znaczną część posłów nowych, poraz pierwszy występujących na widowni sejmowej, ale do roli panującej, do opanowania sytuacji, ztąd jeszcze daleko wśród stosunków normalnych. Na nadzwyczajnych zaś zwrotach horoskopu opierać nie można.

Klub postępowy w tej organizacyi, w jakiej istniał dotąd, właściwie należy już tylko do historii poprzedniej kadencji. Dr. Euzebiusz Czerkawski, twórca i głowa tego klubu, w mowie do wyborców swoich we Lwowie wyraźnie przyznał, że cel jego kreacyi parlamentarnej nie został osiągnięty. Klub postępowy miał bowiem łączyć w sobie żywioły miejskie z postępową inteligencyą wiejską, ale w ciągu kadencji stracił członków tej ostatniej kategorii, t. j. reprezentantów większej posiadłości, którzy i tak już zadługo wytrwali w tym nienaturalnym związku. I klub postępowy możnaby zapytać, gdzie jest jego program, na czém polega i dokąd zmierza jego postępowość? Na ostatniej sesyi sejmowej dwa razy omal nie wywołał klub postępowy przesilenia, raz w sprawie polityki szpitalnej wydziału krajowego, drugi raz w sprawie budżetu szkolnego. Za pierwszym razem wywieszono sztandar humanitaryzmu, chociaż na seryo nikt tego nie brał, bo wydział krajowy nie wyrzucał chorych nieuleczalnych ze szpitali, jak mówiono, albo raczej wmówić chciano, lecz dążył do tego, aby dla tej kategorii chorych urządzano domy przytułku. Za drugim razem chodziło tylko o podrzędną pozycyę w budżecie szkolnym i nikt nie mógł twierdzić, że gra tu rolę zasadnicza kwestya polityki szkolnej, bo nie niechęć dla szkół, lecz względy na nieprzekraczalne granice budżetu, stanowiły powód zniesienia niektórych wydatków szkolnych. Łatwo to być postępowym w podwyższaniu wydatków, jeżeli się nie prowadzi gospodarstwa i nie dźwiga odpowiedzialności. W tém, co oddawna, a szczególnie od r. 1881 stanowić musi pole popisu dla każdego stron-

nictwa, t. j. w sprawie reformy administracji, klub postępowy nie stworzył i nic nie wskazał nowego. Odwoływać się na rezolucją sejmową z r. 1868, która zastrzegła krajowi autonomiczną samodzielność w takim rozmiarze, jaki tylko system federacyjny przyznać może, znaczy tyle, co zaskaniać się obcym dziełem. Sami zresztą twórcy owęj pamiętnej rezolucyi uznali to już pewnie, że wśród dzisiejszych stosunków, zwłaszcza od czasu odebrania sejmom prawa wybierania członków rady państwa, co dawnemu programowi federacyjnemu może na zawsze grunt z pod nóg usunęło, postulata kraju w razie rewizyi konstytucyi państwa inaczej trzebaby sformułować.

Klub postępowy windykuje dla siebie wielkie zasługi w sprawie indemnizacyjnej, w sprawie tego smutnego upominku kwestyi pańszczyźnianej. Rząd długo rościł sobie kilkadziesiąt milionów od Galicyi i przed rokiem oświadczył, że odstąpi od téj pretensyi, jeżeli kraj przyjmie na siebie odtąd większą dopłatę roczną na umorzenie obligów indemnizacyjnych. Pretensya ta była niesłuszna: wyższa dopłata stanowiłaby ciężar nieusprawiedliwiony, ugoda zaś przez rząd zaproponowana była niekorzystna. Wszystko to uznała większość sejmu przez usta d-ra Grocholskiego, ale mimo to zalecała ugodę, aby raz ubić sprawę sporną, z której każdy rząd Galicyi nieprzychylny mógłby dla niej ukręcić bicz polityczny. Nie przyjmować ugody, wołali mówcy klubu postępowego, niech rząd wyprocesuje pretensye swoje od kraju! Świetna to rada, ale na to trzeźwy prawnik musi wzruszyć ramionami, bo nie rząd, lecz kraj musiałby proces wytaczać. Rząd potrzebowałby tylko nakazać ściąganie pretensyi swoich dodatkami do podatków, a zanim kraj wygrałby proces zawiły, już byłby zrujnowany. A trzeba byłoby przytęm koniecznie proces wygrać, co jednak pewnem nie jest i jak w każdym sporze, pewnem być nie może.

Czas już skończyć te uwagi, bo odnoszą się one do przeszłości, a chociaż niewątpliwie nowy sejm w ugrupowaniu się na kluby, podobny będzie do poprzednika swojego, to zawsze naprzód o tém przesądzać nie należy. Cokolwiek się stanie, żywioły konserwatywne mają niewzruszoną większość i nie dadzą sobie steru z rąk wydrżać. To rzecz najważniejsza, to skutek najświetniejszy ostatnich wyborów. Czy będzie klubów więcej lub mniej, zawsze konserwatywna falanga górować nie przestanie. Chociaż antagonizm między klubami będzie ożywiony, mimo to istnieć będą wspólne cele i aspiracye, wobec których cały sejm, bez względu na kluby, z jedynym wyjątkiem świętojurskiej frakcyi, stanowić będzie jednolitą całość. Do rzędu tych wspólnych celów i aspiracyi należy przedewszystkiém idea autonomii, dla której pod coraz więcej utrwalającym się systemem hr. Taaffego, coraz lepsza świta przyszłość.

II.

Szanowna Redakcyo!

W zeszytzie czerwcowym „Biblioteki Warszawskiej“ umieścił Jmć ks. Piotrowicz cenną wiadomość bibliograficzną o polskim kalendarzyku na r. 1533. Wdzięczni za opis tego nieznanego dotychczas inkunabułu, winniśmy sprostować dodaną w końcu uwagę, jakoby to był „jeden z pierwszych, jeżeli nie pierwszy kalendarz polski.“ „Estreicher w swoim katalogu,“ dodaje autor, „wspomina o pierwszym kalendarzu po polsku drukowanym na jednej stronie, dodając z powątpiewaniem: fragment, zdaje się z r. 1531, druk Unglerowski. Inkunabuł sandomierski wszelką wątpliwość co do istnienia kalendarza polskiego usuwa.“ Otóż dwa starsze od sandomierskiego kalendarze znajdują się w Bibliotece Kórnickiej, a opisane zostały w wydanej r. 1874 broszurze pod tytułem: „Dwa kalendarze polskie na rok 1528 i 1529 według egzemplarzy Biblioteki Kórnickiej, opisał dr. Zygmunt Celichowski.“ Opis ten zużytkował już p. Estreicher w swęj Bibliografii polskiej XV—XVI stulecia, i to w części alfabetycznej, gdzie pierwszy z nich przytoczony jest na str. 173: Mikołaj z Szadka: Wyslowyeny z znaków niebieskich.. na r. 1528 i t. d.; drugi na str. 177: „Osądzenie spraw niebieskich... na rok 1529..“ Ze wspomnianej wyżej broszury „Dwa kalendarze polskie“ wyjął też p. Estreicher wiadomość o trzecim kalendarzyku na r. 1531. Tak autor broszurki jak p. Estreicher mógł tylko przypuszczenie zrobić co do roku: „zdaje się z r. 1531“ gdyż to fragment bez tytułu; lecz rok ten jest poparty zbyt silnym argumentem, aby można o nim powątpiewać. Kalendarz sandomierski jest więc dopiero 4-tym z rzędu, a mamy nadzieję, że znajdują się jeszcze inne wcześniejsze.

Przy niniejszej sposobności pozwalamy sobie wyrazić życzenie, aby pp. bibliografowie przy opisach i sprawozdaniu z druków XV i XVI wieku, nie brali za podstawę Bibliografii p. Estreichera wydanej r. 1875, lecz raczej powoływali się na „Bibliografią XV—XVIII,“ której druk rozpoczął się w r. 1882, gdyż ta obejmuje wszystkie nowe odkrycia, uzupełnienia i sprostowania, które poczynione zostały od okazania się pierwszego katalogu inkunabułów, a które skrzętnie zużytkował p. Estreicher. Z głębokim szacunkiem

Kórnik, w W. Ks. Poznańskim, d. 16 lipca 1883 r.

Dr. Zygm. Celichowski.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Przegląd literatury heraldycznej polskiej: 1) Amilkar Kosiński: „Przewodnik heraldyczny.” Warszawa, 1883, tomów 4. 2) Teodor Żychliński: „Złota księga szlachty polskiej.” Rocznik IV i V. Poznań, 1882 i 1883. 3) Jerzy Seweryn hr. Dunin Borkowski: „Rocznik szlachty polskiej.” Lwów, 1882. 4) Jerzy Sew. hr. Dunin Borkowski: „Spis nazwisk szlachty polskiej.” Lwów, 1882. 5) Hr. Łódzia Czarnecki: „Herbarz polski,” t. I.

Ruch, który zapanował w ostatnich kilku latach na polu heraldyki i genealogii, z każdym rokiem się powiększa. Wynikiem jego są liczne prace, przeważnie obejmujące historią rodzin szlacheckich.

Z pracowników na tém polu najwięcej odznaczyli się pp. Kosiński i Żychliński, z których pierwszy jest autorem „Przewodnika heraldycznego,” drugi „Złotój księgi.” Oprócz nich, hr. Dunin Borkowski wydaje „Roczniki szlachty polskiej” i „Spis nazwisk szlachty polskiej,” a p. Czarnecki „Herbarz polski.”

Wszystkie powyższe prace pragniemy w krótkości rozebrać, chcąc przedstawić czytelnikom Biblioteki, o ile każda z nich odpowiada zadaniu swojemu, a tém samém, o ile ogół i nauka korzyści z nich osiągnąć mogą.

Pan Ad. Am. Kosiński, autor „Przewodnika heraldycznego,” znany autor i badacz dziejów szlachty, w czterech tomach swojego dzieła zamieścił kilkadziesiąt monografii rodzin polskich, takąż ilość wzmianek o rodzinach i genealogii, a oprócz tego podał w tomie pierwszym spisy rodzin senatorskich i tytuły honorowe posiadających, w tomie trzecim monografie kilku rodzin, już po upadku Rzeczypospolitej nobilitowanych, i spis znakomitych rodzin, z oznaczeniem stulecia ich wzniesienia się, a w tomie czwartym spis rodzin, mających przyznane tytuły honorowe, listę konsyliarzów i marszałków konfederacji targo-

wickiej i listę kasztelanów mianowanych w 1793 r. przez tę konfederacyą.

Po ukazaniu się pierwszego tomu „Przewodnika” zjawilo się wiele sprawozdań i krytyk, i rzecz dziwna, uderzono w nich przeważnie na dwie pierwsze części dzieła, to jest na spis rodzin senatorskich i spis rodzin tytuły honorowe posiadających, które to dwa spisy, zdaniem naszym, stanowią największą wartość „Przewodnika.”

Powiadano w nich, że tak, jak dawnymi czasy, nie znano wyróżnienia w łonie szlachectwa, tak i obecnie tego podziału zaprowadzać się nie godzi; że spis rodzin senatorskich wiele zawiera niedokładności i opuszczeń, a spis rodzin hrabiowskich wiele niespodzianek: nakoniec byli i tacy, którzy przypuszczali, że wielu rodzinom, zamieszczonym w tym drugim spisie, sam autor „Przewodnika” przyznawał tytuł hrabiowski.

Pomimo, że nietylko dawnymi czasy, ale jeszcze i obecnie wiele piszą i mówią o owej trudnej do osiągnięcia równości szlacheckiej, to każdemu choć trochę z dziejami własnego narodu obeznanemu, dobrze wiadomo, że tej równości w rzeczywistości nie było.

Że już w najdawniejszych czasach zasługa, zdolności, urodzenie i majątek, dawały niektórym rodom pierwszeństwo, i że rody te, przodując innym, stanowiły prawdziwą arystokracją, dowodzić tego nie potrzeba. Wszak już za czasów Zygmunta I nierówność ta zrodziła myśl podziału szlachty na wyższą i niższą, a w obradach publicznych zwano senatorów starszą bracią, a stan rycerski bracią młodszą.

Za Piastów, tak jak i tron był dziedziczny, tak i owo przodownictwo w gronie szlachty przysługiwało niemal wyłącznie jednemu rodowi, w których z ojca na syna przechodziły najwyższe godności krajowe i zaszczyty.

Za panowania Ludwika, kilka nowszych, a przynajmniej mniej znanych rodów, powoli wysuwa się na widownię dziejową. Jagiellonów zaś i elekcyjnych królów było interesem tworzyć nowych możnowładców, nową arystokracją, na której się wspierając, mogli opór skuteczny stawiać przeciwnikom swęj polityki i łatwiej plany swe przeprowadzać.

Dlatego to spis rodzin senatorskich, zamieszczony w „Przewodniku,” chociaż bardzo niedokładny, tak co do ilości rodzin, które obejmuje, jakoteż i co do epoki, w której członkowie pewnej rodziny zasiędlili w senacie, jest bardzo ciekawy. Przedstawia on nam mniejwięcej wiernie obraz, w której epoce pewne rodziny, piastując nieprzerwanie wysokie godności krajowe, miały pierwszeństwo przed innymi i wywierały przeważny wpływ na sprawy publiczne.

Niedokładności zaś, o których wzmiankowaliśmy, zmniejszą się znacznie, jeżeli weźmiemy na uwagę tę okoliczność, że wejście wypadkowe do senatu jednego lub dwóch członków pewnej rodziny, a takich najwięcej w spisie opuszczono, nie pociągało za sobą, jak to autor „Przewodnika” zdaje się przypuszczać, ani wywyższenia faktycznego

rodziny, ani nie dawało jej możności wywierania większego wpływu na losy państwowo.

Spis ten rodzin senatorskich będzie więc jeszcze zajmującym i ciekawym, jeżeli zestawimy go ze spisem rodzin tytuły honorowe posiadających, to jest z rodzinami, które mają stanowić dzisiejszą arystokrację. W spisie tym obok nazwisk znakomitych, które na każdej niemal karcie dziejów naszych spotykamy, znajdujemy nazwiska rodów, o których przeszłość nie pozostawiła nam wspomnienia, a terażniejszość w żadnym momencie życia publicznego poznać nam ich nie dała.

Przyznając jednak ważność obu spisom, zamieszczonym w „Przewodniku,” w żaden sposób zgodzić się nie możemy na dziwną teorią p. Kosińskiego o tytule komesa, dawany dygnitarzom w czasach Piastowskich.

Pan Kosiński utrzymuje, że tytuł komesa wszedł do nas w podwójnym znaczeniu: jako oznaka i dostojeństw i własności ziemi wolnych, dziedzicznych. Że czasem wszystkie własności ziemskie zostały wolnemi, wszyscy zatem zostali komesami i dlatego tytuł ten upadł.

Tak nie jest. Tytuł komesa dawany był jedynie urzędnikom księżęcym i namiestnikom grodowym lub prowincjonalnym, i wyraz ten był równoznaczny z wyrazem Dominus—Pan. Że tak jest, świadczy o tém Gallus ¹⁾, świadczą również liczne dokumenta z XIII i XIV stulecia.

W 1246 r., Mścigniew komes jest synem Marcina nie komesa i ma synów, Sulisława i Imrama, świadków w 1266 r., także nie komesów (Kod. Dypl. Małop.). Krystyn w 1343 r., pomimo że jest osobą znaczną, gdyż w liczbie świadków pierwsze miejsce zajmuje, nie jest sam komesem, a synem Adama komesa, kasztelana wiślickiego (Kod. Dypl. Małop.). Albert w 1241 r. nie jest komesem, pomimo, że brat jego Janusz i ojciec Sesem są komesami (Kod. Dypl. Wielkop.). Z czterech braci Toporczyków, synów Sułka, Żegota i Sieciech są komesami, Andrzej i Gołuch nimi nie są (Kod. Małop. kat. krak. i mogils.). Żegota Toporczyk w 1261 roku nie jest komesem; lecz zostawszy kasztelanem lubelskim, a następnie wojewodą i kasztelanem krakowskim, tytuł ten zawsze przybiera i dzierży (Kod. Dypl. Małop.). W dziele „Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque cruciferorum” (t. I, f. 270, 277 i 279), znajdujemy następujących świadków: Jarosława, kasztelana seu komesa poznańskiego; Borka, kasztelana seu komesa międzyrzeckiego; Piotra, komesa seu kasztelana radzińskiego. W 1298 znów roku pan Swenz, kasztelan de Stolp i pan Adam, kasztelan de Sveicz, są świadkami (Kod. Wielkop.). W tym ostatnim wypadku tytuł Pan zastępuje tytuł Komesa, w innych aktach dygnitarzom dawany.

Wszystkie powyższe przytoczenia wykazują, że tytuł komesa

¹⁾ Patrz rozprawę d-ra Fr. Piekosińskiego: „O powstaniu społeczeństwa polskiego,” w której autor zebrał ustępy z Kroniki Galla, odnoszące się do godności komesów.

dawany był urzędnikom, że do niego nie miały prawa całe rody, że nie był dziedzicznym i że nie zależał od posiadania ziemi. Bezzasadnie przeto autor „Przewodnika” w wielu monografiach wzmiankuje, że ród ten pochodzi z komesów Piastowskich, lub téż, że ród ten przybierał tytuł komesa za Piastów. Mogła niejedna rodzina mieć w liczbie przodków swoich komesów, ale tytuł ten nie będąc dziedzicznym, nie przeszedł na ich potomstwo i nie przysługiwał pozostałym członkom rodziny.

Tytuł ten upadł, nie dlatego że wszyscy komesami zostali, lecz dlatego, że coraz trudniej było sporządzającemu akta, przed każdym imieniem świadków, których liczba wzrastała, wypisywać i tytuł komesa i urząd przez nich piastowany; praktyczniejszą więc okazało się rzeczą wymieniać urząd, a nie sam tytuł komesa, jak to często miało miejsce w XIII wieku.

Pan Kosiński w przedmowach do wszystkich tomów przewodnika zapewnia nas, że przy kreśleniu monografii, opierał się jedynie na urzędowych źródłach i wzmiankach wiarogodnych autorów; że starał się przy ich pisaniu rozjaśniać wątpliwe kwestye i zagmatwania panujące w rodowodach, odsłaniać uzurpacye i nie zważając na to, że praca podobna, może go narazić na wiele nieprzyjemności ze strony tych rodzin, których obali odwieczne tradycye i podania, zamieszczać jedynie będzie bezwzględną prawdę. Czy jednak autor Przewodnika trzymał się przy pisaniu monografii głoszonych przez siebie zasad; czy w miejsce rozjaśniania, nie wprowadzał częstokroć jeszcze większego zagmatwania i uzurpacyi do rodowodów—łatwo się przekonać, sprawdzając podane przez niego wiadomości, z aktami autentycznymi.

Pan Kosiński w tomie I str. 475, wymieniając dygnitarzy należących do rodziny Ostrorogów-Gorzeńskich, zalicza do nich synów jakoby Tomisława wojewody krakowskiego, zmarłego w r. 1318, Hektora z Pakości, podczaszego kujawskiego, Stanisława, sędziego kujawskiego i Woyciecha, wojewodę brzeskiego. Na stronie zaś 323, mówi o Działyńskich, dwóch z wyżej wymienionych, mianowicie Woyciecha wojewodę i Hektora podczaszego, zalicza znów do Ogończyków. Tymczasem Kodeks wielkopolski poucza nas, że tak dwóch Woyciechów, którzy w latach 1325—1391, byli wojewodami brzeskimi; jakoteż Hektor podczaszy i Stanisław sędzia kujawski, należą do Leszczyców. Pieczęcie tych dygnitarzy dochowały się przy kilku dokumentach; mianowicie znane są pieczęcie pierwszego Woyciecha wojewody z lat 1341, 1343, a drugiego wojewody Woyciecha i Stanisława sędziego z r. 1361 i wszystkie są z herbem Leszczyc. Hektor zaś, brat stryjeczny a nie rodzony wojewody, o czém działły w 1362 roku sporządzone przekonywują, nie mógł téż do innego herbu należeć.

Srarożytna rodzina Michałowskich herbu Jasińczyk, pochodząc ze wsi Michałowa, leżącej w dawniej ziemi czerskiej, nie może się wywodzić od Mikołaja z Michałowa, kasztelana i starosty krakowskiego,

należącego do domu Kurozweńskich — jak się to podobało autorowi Przewodnika w t. I, na str. 680 zamieścić.

Poczynając od roku 1389, w którym Mikołaj, Pietrasz, Marcin, Jakób, Dominik i Stachna dziedzice Michałowa, otrzymali od księcia Janusza mazowieckiego, prawo niemieckie dla téjże wsi, o rodzinie téj znajdujemy do ostatnich czasów nieprzerwane wznianki, w aktach czerskich i wareckich. Że Michałowscy jeszcze w XVII stuleciu używali wyłącznie herbu Jasińczyk, dowodzi tego nagrobek Jacka Michałowskiego, znajdujący się w kościele wrociszewskim ¹⁾.

Prawdopodobnie jeden z Michałowskich, odnalazłszy owego Mikołaja, kasztelana krakowskiego, piszącego się także z Michałowa, wsi, leżącej w powiecie pińczowskim, zapragnął wywieść się od niego. Na przeszkodzie wszakże w dopięciu tego zamiaru stanął herb Poraj, którym się ów Mikołaj kasztelan pieczętował, herb więc swój dawny Jasińczyk, połączył z Porajem i odtąd potomstwo jego zaczęło używać herbu, który nam pan Kosiński opisał, nazwawszy go Poraj-Jasińczyk.

Jeżeli jednak można wybaczyć jednemu z Michałowskich, który przez nieświadomość, podobizną imion i nazwiska majątków w błąd mógł być wprowadzony, to autorowi Przewodnika podobnego błędu darować nie można. Jakąż przywiązywać mamy wiarę do twierdzeń jego, jeżeli rodzinę czysto mazowiecką, wyprowadza od małopolskiego pana i nie wie o tém, o czém wszystkie herbarze piszą, że ów Mikołaj z Michałowa nie pozostawił męzkiego potomstwa.

Lecz autor Przewodnika nie poprzestał na wyprowadzeniu Michałowskich Jasińczyków od Mikołaja kasztelana krakowskiego, wyprowadza od niego i Michałowskich h. Trzaska i Tłuchowskich herbu Wczele. Nie zadaje sobie trudu, ażeby twierdzenie to swoje poprzeć jakim dowodem, lecz wprost daje zmarłemu bez potomstwa męzkiego kasztelanowi trzech synów, każe im się sprzeczać przy działach, porzucać niewiedomo dlaczego dawny swój herb i w czasie godów weselnych przyjąć herb swych żon.

Autor Przewodnika w t. II, str. 7, podaje za protoplastę Bielińskich, Ziemaka sędziego ziemskiego ciechanowskiego w 1436 r., którego syn także Ziemak, kasztelan wyszogrodzki w latach 1472—1482, miał pozostawić dwóch synów. Jeden z nich Bohdan na Borukowie, zaczął się zwać Borukowskim, a Stanisław na Bielnie brał nazwisko Bielińskiego. Akta jednak, które się o tych rodzinach przechowały, inaczej nam przedstawiają pochodzenie Bielińskich.

Żyjący w piérwszej połowie XV wieku Ziemak ze Smogorzewa, syn Ciekšina sędziego ziem. ciech. nie dwóch a trzech zostawił synów: Dadźboga dziedzica na Lelewie, Stanisława na Bielnie i Gostkowie i Ziemaka na Borukowie, Cieklinie, Smogorzewie etc. Ten ostatni Ziemak kasztelan wyszogrodzki zmarł bezpotomnie, nie mogli więc od

¹⁾ Księga ziemi czerskiej, str. 25.

niego pochodzić Borukowscy i Bielińscy. Że Ziemak zmarł bezpotomnie, świadczą o tém działki pozostałego po nim majątku, sporządzone przez jego synowców: Jana i Ziemaka, synów Dadźboga z Lelewa i Ziemaka z Gostkowa i Jana z Bielina synów Stanisława. Bracia z Lelewa otrzymali Gąski, Budziszyn i Wolę Budziską w powiecie czerskim, Jan z Bielina wziął Borukowo, a Ziemak z Gostkowa, Ciekisin. Jan i Ziemak synowie Stanisława zwali się obaj Bielińskimi. Stanisław, znów syn tego ostatniego Ziemaka, stałe się już pisał Bielińskim, a z potomków Jana, jedni zwali się Bielińskimi z Borukowa, drudzy, jak np. Jan, podkanclerzy koronny Borukowskim z Bielina.

Kilkanaście kart dalej, tenże autor mówiąc o Rościszewskich i Borkowskich h. Junosza, temuż samemu Ziemakowi, kasztelanowi wyszogrodzkiemu w 1482 roku a jakeśny widzieli bezdzietnemu, każe być znów synem Ziemaka z Rościszewa, stolnika płockiego w 1462 r. (którego nie było), daje mu za brata Pawła, sędziego płockiego i nakazuje mu być protoplastą Rościszewskich, a Pawłowi Borkowskich.

Że Ziemak kasztelan wyszogrodzki nie był protoplastą Rościszewskich, wykazaliśmy poprzednio; że Paweł sędzią płocki, zmarły w 1504 czy 1505 roku nie był Borkowskim, dowodzi tego nominacya wydana na urząd sędziego jego następcy, w której powiedziano: że po śmierci Pawła Rościszewskiego, zostaje sędzią Grambecki.

Ród Junoszków jeden z najstarszych na Mazowszu, prawdopodobnie już w XIV wieku zaczął się na odrębne domy rozdzielać i chcąc wynaleść ich wspólnego protoplastę, należałoby się odnieść do Ziemaka, kasztelana wyszogrodzkiego w 1369 roku (Kod. Maz.), a może i do Ziemaka, wojewody płockiego w 1303 r. (Kod. Maz.).

Widzieliśmy od kogo pochodzą Bielińscy, Borukowscy i Lelewscy, — protoplasty zaś Rościszewskich, w innej trochę stronie należy nam poszukać.

W powiecie gostyńskim zamieszkiwał w obszernych dobrach Żyćko zwanych, Adam h. Junosza, kasztelan gostyński. W jakim on stopniu pokrewieństwa pozostawał z Ziemakiem sędzią ciechanowskim, akta nie wyświełają. Kasztelan ten, piszący się Adamem z Żyćka, zeznaje w 1440 r. dział dóbr z synami swoimi, urodzonymi z pierwszej żony. Synów tych było trzech: Ziemak, Gotard i Junosza; otrzymali oni w dziale Żyćko z przyległościami w ziemi gostyńskiej, a Rościszewo, Borowo, Chrapunię, Gorzewo, Lipnik, Polik i wiele innych wsi w województwie płockiem. Kasztelan zaś z synami z drugiej żony, wziął Kiernozię, Niedzielisko, Chrośle, Brodne, Osiny, Sierakowo i Sokołowo w ziemi gostyńskiej. Tego to Adama z Żyćka kasztelana gostyńskiego, należałoby uważać za właściwego protoplastę Rościszewskich, jakoteż Borowskich, Chrapuńskich, Kiernoskich, Lipnickich, Osińskich, Polikowskich i innych domów, które od wsi w działach powyżej wymienionych, wzięły z czasem nazwiska.

Borkowscy w początkach XV st. licznie rozrodzeni, musieli znacznie wcześniej osobny dom stanowić, przyjąwszy nazwisko od wsi Bor-

kowa, leżącej koło Smogorzewa i Ciekšina. W 1436 r. Janusz z Borkowa otrzymał od księcia Władysława 10 łanów w ziemi ciechanowskiej. Tenże Janusz, z braćmi Marcinem, Pawłem, Janem i Zygmuntem, synami niegdy Macieja z Borkowa, otrzymali w 1450 r. od księcia Bolesława dwa łany w tymże Borkowie w ziemi ciechanowskiej. Bardzo więc być może, że po tym Pawle synu Macieja, który się zwał Borkowskim, idą Borkowscy wymienieni w Przewodniku (str. 49) a nie po Pawle, który był sędzią płockim i zwał się Rościszewskim.

Sobańscy Junoszowie nie od wsi Sobanie, a od wsi Sobanice przyjęli nazwisko. Wieś ta leży z drugiej strony Wisły, wprost Żyćka, jedną z główniejszych posiadłości Junoszków. Już w XV stuleciu rozrozeni, stanowili dom odrębny. W 1419 r. Jakób z Sobanicy część swoją także zrezygnował bratu Pawłowi. W 1425 r. oprócz Jakóba i Pawła, dziedziczyli na Sobanicach: Stanisław, Zbrośław, Mścisław i Wszczel, którzy części swe na Poniatowicach, odstąpili Aleksandrowi z Sobanicy.

W dziele zakrawającym na poważną pracę, nie powinien być znaleźć miejsca ów bajeczny wywód o pochodzeniu Zadorczyków, (tom II, str. 480), który autor w części za prawdziwy przyjmuje. Gdzież p. K. znalazł owego Stefana już historycznie znanego, który miał być kasztelanem wiślickim w 1317 r. i żonatym z Anną Kmicianką, kiedy wówczas jeszcze Kmitów nie było. Czy nie godziło się przynajmniej, cytując baśń ową, podać dokładne imiona mniemanych panów z Brzezia, o których sfałszowane dokumenta opiewają, a które w całym komplecie zamieszczone zostały w kodeksie dyplomatycznym małopolskim.

Dlaczego mówiąc o Jelitczykach (tom II, str. 17), autor zalicza do nich rodzinę Morskich. Nie na Morsku, a na Mokrsku dziedzice, stanowili jedną z główniejszych gałęzi jelitczyków. W 1423 r. Jan i Adam bracia z Mokrska zeznają dział. Adam wziął Mokrsko i Bolimin, Jan Pełcznicę i Pomańczyce. W 1452 r. Jan Biesiad marszałek nadw. i chorąży krak., Mikołaj chorąży sandomirski, synowie Klemensa kasztelana radomskiego, zawierają układ o ławki w kościele w Mokrsku, z Janem i Piotrem, synami Adama z Mokrska. (Zapiski sądowe Helcla).

Mówiąc o Ciołkach, (t. II, str. 691) autor Przewodnika nie zamieścił pierwotnego ich pokolenia podług znanych źródeł, a dowolnie zmieniał ich imiona. W połowie XIV stulecia nie było Jana, wojewody mazowieckiego. Podług dawniejszych heraldyków miał nim być Jan około 1300 r., ale o nim autentyczne dotychczas znane akta nie wspominają.

W XIV stuleciu wojewodą mazowieckim był Andrzej, pierwotnie chorąży płocki, zmarły w 1396 r., który podług wspominków o Ciołkach, miał braci Stanisława, sławnego siłacza i Klemensa, scholastyka kieleckiego. Stanisław podkanclerzy, a następnie biskup poznański, był synem nie Stanisława, o którym wyżej, a synem Andrzeja wojewody, bratem Wiganda kasztelana czerskiego, Andrzeja, podkomorzego sandomirskiego i Klemensa kanonika sandomirskiego. Zrzeczenie się

dóbr ojczystych i macierzystych na rzecz ich, dopełnione w 1425 r. przez ich siostrę Annę, usuwa wszelką pod tym względem wątpliwość. Po Andrzeju, podkomorzym sandomirskim, dziedziczącym na Żelechowie, pozostało dwóch synów, po których idą Żelechowscy.

Że autor Przewodnika nie zwraca najmniejszej uwagi na przestrzeń czasu, jaka zwykle rozdziela jedne pokolenia od drugich, dość przytoczyć, że mówiąc o Andrzeju, podkomorzym sandomirskim, zmarłym w 1436 czy 1437 r., daje mu za syna Andrzeja, żonatego z Jadwigą Łaską, który żył sto lat później, bo o nim jako żonatym z Łaską, znajdują się dwa akta w metryce kor. pod r. 1546 i 1550, które jednocześnie dowodzą, że ten Andrzej żonaty z Łaską, był synem Jana. Wnuk zaś tego podkomorzego, osiągnął podług Przewodnika XVII-go stulecia, bo miał brać czynny udział w rokoszu Zebrzydowskiego w 1606 r.

Wyprowadzanie też Żelechowskich, od owego nieistniejącego w połowie XIV stul. Jana, wojewody mazowieckiego, którego wnukowi Janowi, książe mazowiecki Władysław miał nadać w 1438 r. piętnaście łanów w ziemi wizkiej, nie ma żadnej podstawy.

Przywilej ów, który znajduje się w herbarzu Milewskiego, wymienia nie jednego Jana, a braci Jakóba, Jana i Alberta z Żelechowa; nie rozjaśnia nam wszakże kwestyi, wspólnego ich pochodzenia z wyżej wymienionymi Ciołkami.

Mówiąc o Jordanach i Jordanach-Stojowskich (tom III, str. 471), autor Przewodnika podaje za protoplastę téj rodziny, Jana z Zakliczyna, dziedzica na Stojowicach, żyjącego w końcu XIV stul. W przypisach zaś dodaje, że mylnie Niesiecki utrzymuje, że Jordanowie nabyli Zakliczyn dopiero w drugiej połowie XV stulecia.

Zkąd p. K. wyciągnął owych Jordanów, żyjących w XIV stuleciu, dojsć niepodobna, lecz że nie znalazł ich w aktach krakowskich, na które się powołuje, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Wiadomości o rodzinie Jordanów nie sięgają wyżej XV stulecia. Znany protoplasta téj rodziny, jest Jan bachmistrz wielicki i wójt myślenicki, który właśnie wbrew zapewnieniom p. K. nabył w 1464 r. Zakliczyn. Że nabył wieś całą, a nie część pewną, dowodzi tego jasno sam akt nabycia, zamieszczony w zapiskach sądowych Helcla pod nr. 3732. Powiedziano w nim, że: Johannes de Sircza totam villam seu hereditatem Zacliczin cum omni jure et toto dominio etc... pro ducentis et quinquaginta marcis communis pecunie, Jordano magistro moncium Velicensium in totum vendidit et resignavit... a że Zakliczyn poprzednio nie należał do Jordanów, a do rodziny piszącej się w powyższym akcie de Sircza, a poprzednio z Zakliczyna, dowodzi tego akt z 1401 r. zamieszczony również u Helcla pod nr. 748, którym: Johannes heres de Zacliczin et Offea uxor ejus, in LXX marcis grossorum pragensium villam totam ipsorum Syrcza... Petrassio Baly de Przbislawice obligarunt.

• Tego to pewnie Jana, dziedzica Zakliczyna i Syrczy, wziął autor

Przewodnika za protoplastę Jordanów-Stojowskich; a jak ten Jan nie był Jordanem, tak też nie miał syna Dobiesława, kasztelana wojnickiego w 1412 r. podług Niesieckiego, a w 1422 r. podług p. K. W latach 1411—1433 kasztelanem wojnickim był wprawdzie Dobiesław, ale pisał się z Oleśnicy, należał przeto do zupełnie innego domu. (Helcel tom II).

Brzozowski Mikołaj (tom IV, str. 26) podkomorzy gostyński, nie był kasztelanem gostyńskim, pomimo powoływania się autora „Przewodnika” na akta ziemskie. W latach, w których miał piastować ten urząd, kasztelanem gostyńskim był Adam z Żyćka. Podśędkiem nie mógł też być Marcin w 1441 r., gdyż urząd ten sprawował w latach 1430—1444 Prawda z Tokarzewa. Podśędkiem lubelskim nie był też Paweł w 1608 r., gdyż Volumina Legum wymieniają w tymże czasie Jana Dzierżka. Nakoniec Adamowi Brzozowskiemu mylnie dano tytuł chorążego sochaczewskiego, pomimo że z tym tytułem wymieniają go Volumina Legum pod r. 1648. Jest to prosta pomyłka druku. Chorążym sochaczewskim był Adam Brochowski, mianowany w 1647 r., a w Voluminach Legum wymieniony w latach 1648, 1649 i 1654.

Cały wstęp do monografii Ciechanowieckich niedokładny. Autor „Przewodnika” utrzymuje, że Jan, hetman Kazimierza Jagiellończyka w 1478 r., z przydomkiem „Biały” pochodził z linii Dąbrowian. Że z dwóch synów tego Jana, Stanisław starosta żmudzki zmarł bezpotomnie, a Piotr hetman i marszałek, pragnąc ażeby majątek utrzymać w rodzinie, jedyną córkę wydał za krewnego swego Stanisława Kiszkę.

Zkąd przedewszystkiem autor powziął wiadomość, że ów Jan hetman i syn jego Piotr, należeli do rodu Dąbrowian, o tém żaden z heraldyków nie wzmiankuje. Wszyscy, powtarzając anegdotę o powstaniu nazwiska Kiszki wspominają, że jeden ze Zgierskich, ów Stanisław pierwszy Kiszka, był w służbie u Piotra Białego, ale wcale go krewnym owego Piotra nie robią.

Daléj, ów Piotr nie miał żadnego brata Stanisława starosty żmudzkiego, po którymby odziedziczył majątek. Starostą żmudzkim był Stanisław Janowicz z rodu Kieżgajłów, w którym to rodzie dziedzicznie tę godność piastowano. Syn tego Stanisława także Stanisław, był również starostą żmudzkim i pisał się Stanisławem Stanisławowiczem Janowiczem.

Do jakiej zaś rodziny należał ów Piotr, teść Stanisława Kiszki, którego dlatego, że Bielski raz jeden nazywa „Białym,” autor „Przewodnika” wszystkich ich Białymi przezwał, następujący akt nam wyjaśnia.

Arseni władzka turowski i piński, wiódł w 1512 r. sprawę ze Stanisławem Piotrowiczem (Kiszką), podówczas namiestnikiem grodzieńskim, o własność ludzi „Marcinkowców” i dowodził praw swoich do nich, listem króla Aleksandra. Starosta zaś grodzieński udowodnił, że pradziad jego żony, Pietrasz Mondigirdowicz, otrzymał tychże Marcinkowców od W. ks. Zygmunta. Po śmierci Pietrasza, posiadał tych ludzi syn jego Jan, po którego śmierci odziedziczył ich syn tego Jana, Piotr. Po

śmierci Piotra, dzierżył tych ludzi przez lat pięć, to jest do swęj śmierci, syn tego ostatniego Jan Piotrowicz, a szwagier procesującego się Stanisława Piotrowicza (Kiszki). Gdy Jan Piotrowicz zginął na wojnie, a starosta grodzieński znajdował się na służbie królewskiej, Wasian Władyka turowski i piński, przedstawivszy mylnie królowi Aleksandrowi, że ci ludzie nie mają właściciela, wyjednał ich dla siebie. Zygmunt król, pomimo listu Aleksandrowego, przekonawszy się o prawdziwości słów Stanisława Piotrowicza, przysądził jemu tych ludzi ¹⁾.

Z powyższego aktu okazuje się: 1-o, że ów Piotr Biały, syn Jana, wnuk Piotra, a prawnuk Mondigierda, należał do litewskiej rodziny, która przyjęła na zjeździe w Horodle hr. Wadwicz; 2-o, że ów Piotr pozostawił syna Jana, który zmarł bezpotomnie, tém samém rodzina ta nie mogła istnieć na Litwie w zeszłym stuleciu, 3-o, że Stanisław Kiszka nie umarł w 1508 r., pomimo że przestał być hetmanem, kiedy prowadził proces z władką turowskim w 1512 r.

W końcu XV stulecia hetmanem litewskim był Konstanty książę Ostrogski, wzięty w niewolę przez W. Ks. moskiewskiego w 1499 r. W czasie jego niewoli, sprawowali hetmaństwo, książę Holszański, Stanisław Janowicz, Kieżgajłło i Stanisław Piotrowicz Kiszka. Z chwilą jednak powrotu do kraju księcia Ostrogskiego, Zygmunt król oddał mu natychmiast hetmaństwo które odebrał Kiszce, wynagradzając tego ostatniego namiestnictwem grodzieńskim.

Jeżeli autor „Przewodnika“ zdaje się powątpiewać o pochodzeniu książąt Czetwertyńskich z krwi panującej Ruryka, to wywodząc od tegoż Ruryka Proszyńskich Lubiczczan, winien był przynajmniej w streszczeniu podać dokumenta, na których się opierał. Wszak dokumenta te znajdować się mają w deputacyi szlacheckiej; łatwo więc było wypisy z nich uzyskać. Lecz autor „Przewodnika“ nie zacytował dokumentów prawdopodobnie dlatego, że nie istnieją, albo też są tak autentyczne, jak owo nadanie przez Zygmunta I-go Dubna w 1512 r. kniaziovi Konstantemu Teodorowiczowi Proszyńskiemu.

Na Litwie istnieli kniaziovi Kroszyńscy, którzy mieli dobra swoje dziedziczne w Smoleńszczyźnie. Po zabranii tych dóbr przez W. Ks. moskiewskiego, Aleksander Jagiellończyk nadał w 1499 r. kniaziovi Iwanowi i Timofiejowi Filipowiczom Kroszyńskim dobra Babinic, a kniaziovi Konstantemu Teodorowiczowi Kroszyńskiemu, w 1503 r.

¹⁾ O rodzinie tej przechowały się następujące ślady w aktach: a) akt unii z 1401 r. podpisał Hanus Montigerdowicz w imieniu swoim i braci. Musiał więc mieć oprócz Piotra, przynajmniej jednego jeszcze brata; b) w 1413 roku, na zjeździe w Horodle przyjął h. Wadwicz Piotr Mondigerdowicz; c) Pietrasz Montigerdowicz marszałek ziemski litewski, wymieniony w skarbcu Daniłowicza 1436 i 1441; d) wnuk tego Pietrasza, Piotr Janowicz, był wojewodą trockim i marszałkiem w. lit. w latach 1492—1495; e) Jan Piotrowicz wojewodzie trocki, marszałek litewski 1498 r. posiadał trzy dworzyszczca pod Kiewaniem, które po jego śmierci otrzymał w 1501 r. Czartoryski.

dworzyszczę Dubień w powiecie grodzieńskim. Nadanie to ostatnie Zygmunta I kilkakrotnie zatwierdził. Pomyłka więc pisarza wydającego wypis, który wziął literę K za P (II), spowodowała włączenie kniaziów Konstantego i Teodora Kroszyńskich, do rodziny Proszyńskich i była powodem wprowadzenia całego szeregu kniaziów do monografii.

Ciekawszy jest jeszcze wywód genealogiczny rodziny Lubiczów Świdrygiełłów Świderskich, których autor „Przewodnika“ wprawdzie nie sam od Świdrygiełły wywodzi, ale powtarzając ten niedorzeczny rodowód, jakoby udowodniony dokumentami złożonemi w deputacyi wywodowej gubernii kowieńskiej, nie zbija go, dla braku odpowiednich materyałów.

Rodowód ten podług „Przewodnika heraldycznego“ jest następujący: Pierwsze pokolenie Świdrygiełło: miał cztery żony. (O dwóch tylko historykom wiadomo). Drugie pokolenie Lew, zmarły 1485 r. Trzecie pokolenie N. zmarły 1509 r. i t. d. Szczególnie zasługuje na uwagę ów niewiadomy, który stanowi łącznik między drugim a czwartym pokoleniem.

Hr. Kazimierz Stadnicki w znakomitęm swém dziele: „Bracia Władysława Jagiełły“, na str. 365 powiada: Świdrygiełło umarł 10 lutego 1452 r., nie zostawivszy potomstwa. Że nie zostawił potomstwa, o tém ani wątpić, bo niema o témże nigdzie wzmianki. Wszystkie źródła na to się zgadzają.

Wobec zdania poważnego historyka, należało p. Kosińskiemu albo pretensyą Świderskich do pochodzenia od Świdrygiełły uznać za bezzasadną, albo też w razie odnalezienia nieznanych źródeł, udowodniających, że Świdrygiełło pozostawił potomstwo, źródła te podać do wiadomości publicznej, a nie tłómaczyć się brakiem odpowiednich materyałów dla odparcia niedorzecznej pretensyi.

P. Kosiński przygania Zawiszom h. Łabędź, że do swęj genealogii pragną wciągnąć wszystkie znakomitości, noszące imię Zawisza, a zatęm i Zawiszę Czarnego Sulimczyka. Sam zaś, mówiąc o Zawiszach h. Przerowa, przypuszcza, że pochodzą od Sulimczyka, a skłania go do tego ta okoliczność, że ci Zawiszowie już w XVI stuleciu mieli brać przydomek „Czarny“ i że wsie ich dziedziczne, Łęki i Czeladź, położone w województwie łęczyckim, leżały w pobliżu Garbowa Sulimczyka.

Garbów jednakże Sulimczyków, o częm nas Długosz przekonywa (Lib. Ben., t. I, str. 194), leży w województwie sandomierskim; sąsiedztwo więc tych majątności cokolwiek jest oddalone, a tęm samęm jeden z argumentów p. Kosińskiego upada. I drugi argument niewiele co więcj wart, bo Zawiszowie h. Przerowa brali przydomek Czarnych dopiero w XVIII stuleciu.

Stosując tęm razem potępianą przez siebie zasadę włączania wszystkich znakomitości, noszących imiona Zawiszy, do rodziny Zawiszów, nadaje p. Kosiński Broniszowi, jakoby protoplaście rodziny Zawiszów h. Przerowa, dziedzicowi Łęki, kilkadziesiąt włók ornęj ziemi

w Żomżyńskim i włącza do téj rodziny nietylko już znakomitszych Zawiszów, ale i innych dygnitarzy Mazowieckiego Księstwa.

Owemu Broniszowi daje trzech synów: Alberta, podskarbiego mazowieckiego, Zawiszę, kasztelana raciązkiego, i N., dziedzica na Xęku. Otóż, z tych trzech synów jeden tylko N. mógł nim być w rzeczywistości, bo z dwóch innych Albert pisał się z Zawidza, a Zawisza, kasztelan raciązki, dziedzic na Dłużniewie i Kundradzcu, był h. Dotęga.

Ponieważ potomstwo Zawiszy, kasztelana raciązkiego, przybrało czasem nazwisko Dłużniewskich i nie miało z rodziną Zawiszów h. Przerowa żadnej łączności, przeto i dalszy wywód téj rodziny od kasztelana raciązkiego nie ma najmniejszej podstawy.

Na tym rozbiorze monografii kończymy sprawozdanie nasze, gdyż wytknięcie wszystkich błędów, usterek i śmieszności, których sporo jeszcze w „Przewodniku” znaleźć można, zadalekoby nas poprowadziło.

Sprawiedliwość nie pozwala nam zamilczć, że w tych czterech tomach „Przewodnika” znajdują się i monografie dokładnie skreślone, którym nic zarzucić nie można; ale tych stosunkowo mniej znacznie i nie zdołają one zatrzeć przykrego wrażenia, jakiego czytelnik doznać musi przy przeglądaniu całego dzieła.

Po autorze „Przewodnika,” o którego badaniach, wycieczkach w celach naukowych i bogatej treści heraldycznej Bibliotece niejednokrotnie pisma donosiły, mieliśmy prawo spodziewać się sumienniejszej pracy, opartej na źródłach naukowych i krytyce, i dlatego pomimo, że p. Kosiński pisze w przedmowie do tomu IV-go, że od licznych czytelników „Przewodnika” otrzymał wiele dowodów uznania, a krytyk z „Echa” nazwał jego monografie prawdziwemi perłami w naszej literaturze heraldycznej, my tych opinii podzielać nie możemy i uważamy, że „Przewodnik heraldyczny,” tak jak jest obecnie redagowany, nietylko w badaniach heraldycznych, ale nawet w poszukiwaniach genealogicznych za przewodnika służyć nie może.

Drugim dziełem heraldycznym, zawierającym monografie rodzin polskich, jest, jak na wstępie powiedzieliśmy, „Złota księga szlachty polskiej.”

O niezbyt udaném wystąpieniu p. Żychlińskiego na polu heraldyki w swoim czasie wspomnieliśmy; zaznaczyliśmy również po wyjściu drugiego i trzeciego rocznika znaczny postęp w jego pracach i chęć doskonalenia się.

Roczniki IV i V „Złotej księgi” świadczą o dalszym postępie pana Żychlińskiego w badaniach heraldycznych i zawierają wiele ciekawych monografii, praca jego nie jest jednak wolną od błędów.

Te same niedokładności i usterki, któreśmy w pierwszych tomach wytknęli, znajdują się jeszcze, chociaż w mniejszej ilości, i w dwóch ostatnich. Tak samo, jak w poprzednich, i w nich p. Żychliński nigdy nie jest pewien siebie, błąka się, miesza jedne rodziny z drugimi, przyrzecpia nieistniejących, albo do innych rodów należących dygnitarzy,

a winą tego jest, że nie poddaje krytyce nadsyłanych mu przez rodziny materyałów do monografii, błędnie pojmuje i tłómaczy akta autentyczne, z których zresztą niewiele korzysta i nie zna starych rodów polskich i ich rozrodzenia. Nie przestał się też p. Żychliński lubować w rodowodach bajecznych, sięgających przedhistorycznych czasów, tém samém śmiesznych i bezzasadnych, nie zważając, że jeden taki rodowód kazi całą jego pracę i sprawia, że „Złotój księgi” dotychczas za poważne dzieło uważać nie można.

Cytowanie dokumentów w całości z kodeksów dyplomatycznych uważamy za zbyt częste, gdyż każdy łatwo odnalazé je może; ale raz cytowane, powinny tekst wspierać. Tymczasem p. Żychliński, wypisując dokumenta, imiona w nich zamieszczone dowolnie zmienia, czém nietylko twierdzenia swe osłabia, ale wprost czytelnika w błąd wprowadza. Że tak jest, rozbiór kilku monografii z IV i V rocznika łatwo może przekonać.

Jedną z najstaranniej skreślonych monografii tomu V-go jest historia domu Duninów-Wąsowiczów.

Podług monografii téj, Wacław zmarły po r. 1419 miał synów: Mikołaja, Michała i Jana. Przeciwno temu nie mamy nic do nadmienienia; ale żeby tenże sam Mikołaj był kasztelanem ciechanowskim, należącym do rodu Prawdziców, na to się zgodzić nie możemy.

W poparciu swojego twierdzenia, p. Ż. przytacza akt z 1451 r. którym ów Mikołaj kasztelan ciechanowski, sprzedał bratu swemu Stanisławowi, część na Smogorzowie i Zawadach. Otóż jeżeli akt ten istnieje, to w autentycznej swój formie treści podobnej nie zawiera. Wyrazy: Wancz castellanus czechanov, są bezwarunkowo dopisane.

Już ta sama okoliczność, że w akcie tym wymieniony jest Stanisław, brat Mikołaja, a syna tego imienia Wacław nie miał, powinna była wzbudzić w p. Ż. wątpliwość, tém więcej, że ród Prawdziców piszący się z Dobrzankowa i Bogatego, z przydomkiem Wąż a nie Wąs, niema żadnej łączności z Wąsowiczami.

Ze akt powyższy odnosi się do Mikołaja syna Derśława, a nie do Mikołaja syna Wacława, nie może ulegać żadnej wątpliwości.

Derśław ów miał synów: Mikołaja „Pieczonkę,” Andrzeja i Stanisława. Z nich Andrzej w 1448 r. odprzedaje bratu Stanisławowi Lipskiemu wieś: Rusinów, Zawadę i część na Smogorzowie (odsyłacz nr. 9). Podobnie więc i Mikołaj, naturalnie „Pieczonka,” bo on był bratem Stanisława Lipskiego, a nie kasztelan ciechanowski odprzedał mu swe części na Zawadzie i Smogorzowie. Zestawienie tych dwóch aktów aż nadto przekonywa, że w odpisie aktu pierwszego uszużny przyjaciel domu Wąsowiczów dopisał słowa: Wancz Castel. Czechan., a p. Żychliński z tego nicomieszkał skorzystać, ażeby Prawdziców z Dobrzankowa, dlatego, że w ich rodzie znalazł się kasztelan i wojewoda, do rodowodu Wąsowiczów przyłączyć.

W liczbie synów Derśława, autor „Złotėj księgi” wymienia: Ziemała sędziego ziemskiego ciechanowskiego, zwąc go właściwym protoplastą Duninów-Smogorzowskich i Jana pana na Lipie; tymczasem ani jeden, ani drugi, nie należąc do domu Wąsowiczów, nie mogli być dziećmi Derśława.

Wsi, noszących nazwę Smogorzewa jest kilka; dwie z nich leżą w powiecie pułtuskim i właścicielem ich, jak również Cieksina i Borukowa, był Ziemał sędzia ziemski ciechanowski h. Junosza, którego potomstwo jest najdokładniej znane. Że pisał się najczęściej ze wsi noszącej tę samą nazwę, co i dziedzictwo Wąsowiczów, śmiesznością jest ażeby go natychmiast podciągać do tój rodziny.

Że Jan z Lipy, kasztelan wizki nie był synem Derśława Wąsowicza, a należał do rodu Pobożan, przekonywa nas o tём przywilej księcia Bolesława mazowieckiego z 1478 roku, którym jemu i jego współherbownikom nadał różne przywileje.

W końcu w monografii tój, mylnie p. Żychliński bierze Piotra (VI pokolenie) pana na częściach na Smogorzowie i Przyszałowicach etc. za jedną osobę z Piotrem Duninem z Prawkowic, hetmanem wojsk królewskich i najemnych w Prusach, a następnie kasztelanem sieradzkim i wojewodą brzeskim, który najmniejszej części na Smogorzowie i Przyszałowicach nie posiadał.

Autor „Złotėj księgi” mógł się łatwo dowiedzieć z Długosza, co znaczył ów tytuł „Campiductor” dawany Duninowi z Prawkowic i przekonać się, że tytuł ten jako należący się innėj osobie, nie odnosił się do Piotra ze Smogorzowa.

W monografii Hłowieckich (t. IV) podany za protoplastę tego rodu, Andrzej kasztelan poznański nie istniał. Andrzej kasztelan poznański w r. 1343 pisał się z Koszanowa i był h. Szaszor; (Kod. wielkopolsk., nr. 1221), nie mogli więc od niego pochodzić Hłowieccy herbu Ostoja.

Wacława protoplastę Jaraczewskich, (t. V, f. 53), autor „Złotėj księgi” wyprowadza od Wojciecha, praojca rodu Zarembów, mieniać go synem Sędziwoja, a wnukiem Olbrachta kasztelana santockiego. Jako dowód przytacza Kodeks Wielkopolski. Lecz właśnie w powyższym kodeksie znajdujemy dokument pod nr. 1007, który poucza nas, że ów Sędziwój nie pozostawił syna Wacława, gdyż zmarł bezpotomnie.

W 1319 r. Marcin, wojewoda kaliski z całym swoim rodem, zawiązał kontrakt rezygnacyjny Łęgowa, zawarty pomiędzy opatem z Łekna, a bratem stryjecznym wojewody między Sędziwojem synem Alberta, bezpotomnie zmarłym.

Na śmieszny rodowód Odrowążów-Wysockich (t. IV, str. 416) nie wartoby było zwracać uwagi, gdyby nie ta okoliczność, że o starożytnym Odrowążów rodzie, wiele znajduje się wzmianek po kodeksach dyplomatycznych, i p. Żychliński, podając ten rodowód, winien go być przynajmniej odpowiedniami objaśnieniami i sprostowaniami uzupełnić.

Podług niego ród Odrowążów pochodzi od Saula, który w 966 roku do Polski przybywszy, osiadł w Końskich. Potomstwo jego pisało się na Hrodeczu, Prędocinie i hrabiami z Końskich. Prandoty syn, Wisław, wnuk Dobiesław, kasztelan wiślicki, miał pozostawić syna Krzysztofa wojewodę krakowskiego. Syn znów Saula, Radosław, hrabia na Końskich, miał być ojcem Ostasa kasztelana krakowskiego w 1224 roku; Wizona i Elazyi wydanej za Jakse księcia Serbii. Wizona syn był Świętosław, wnuk Jan, prawnuk Olbracht na Wysokiem, który pierwszy około roku 1336 pisać się zaczął Wysockim.

Tymczasem akta autentyczne przekonywają nas, że za protoplastę rodu Odrowążów, należy uważać pierwszego znanego członka tego rodu Prandotę, żyjącego w początkach XII wieku. Jeden z jego synów, Saul, dziedzic na Końskich, pozostawił synów Iwona biskupa krakowskiego, który po nim Końskie odziedziczył, Iwana i Mirosława.

Prandoty wnuk a nie syn Wisław, otrzymał w 1223 r. od Iwona biskupa, brata swego stryjecznego, Końskie z przyległościami, w zamian Prędocina, który oddał na założenie klasztoru. (Kod. mogilski i Długosza Lib. ben., III, f. 422).

Ponieważ właścicielem Końskich był po Saulu Iwo, a następnie Wisław, nie mógł być w tymże czasie hrabią na Końskich Radosław i nie mógł wydać swęj córki za Jakse księcia Serbii, którego żoną nawet podług pierwszego rocznika „Złotej księgi,” była córka Piotra Duńczyka.

Znany z akt Radosław, nie był synem Saula, a podług dokumentów z 1220 i 1224 r. (Kod. kat. krak.) miał synów Jana i Niegosława, lecz żeby należeli do rodu Odrowążów, o tém nie ma żadnego śladu. Ostas więc nie był synem Radosława i nie miał brata Wizona, który podług dyplomatów był synem Badiwoja. W końcu nadmienić musiny, że w połowie XIV wieku nazwisk jeszcze nie znano, nie mógł więc Olbracht na Wysokiem, zwać się w 1336 r. Wysockim.

W kodeksach dyplomatycznych znajdujemy akta, w których poczynając od XIII wieku cytowani są dziedzice Kościoła.

Pan Żychliński pisząc monografią Kościelskich, których rodowód ułożony na podstawie akt poznańskich, poczyną się od Szymona zastawnika wsi Mochle, pragnie tego Szymona wywieść od panów z Kościoła i w ten sposób do tego przystępuje: wymienia sześć aktów, w których występują dziedzice Kościoła, mianowicie: Krzesław syn Saula, Dobiesław, Żyro z żoną swą a córką Dobiesława, Dobiesław syn Zyry, Krzesław wojewoda brzeski i Wojciech kasztelan brzeski, synowie Dobiesława. Mówiąc jednak o pierwszym Krzesławie pisze: Krystyn seu Czeslaus, pomimo że akt zna tylko Krzesława, jakby imię polskie Krystyn, odpowiadało łacińskiemu Czeslaus. Manipulacją tę powtarza mówiąc o drugim Krzesławie wojewodzie brzeskim, z tą różnicą, że gdy nietylko kronika Janka z Czarukowa, ale wszystkie inne dokumenta zwą go Krzesławem, on go już wprost zwie Krystynem. Trudno pojąć dlaczego autor „Złotej księgi” dopuścił się téj zamiany imion,

bo skoro dalszych dokumentów nie przytoczył, któreby udowodniły pochodzenie Szymona, zastawnika wsi Mochle, od Krystyna stolnika brzeskiego, a tego ostatniego od Krzesława, jak od Krystyna, poprowadzić rodowód Kościelskich. Że Kościelscy pochodzą z Kościola, nie może ulegać wątpliwości, skoro jeszcze w XVI wieku na nim dziedziczyli, lecz żeby pochodzili od Krzesława wojewody brzeskiego, tego dowiedzieć należy, czego właśnie p. Zychliński nie uczynił.

Tych kilka błędów i śmieszności wyjętych z „Księgi złotej,” wykazują dostatecznie, że jeszcze praca p. Zychlińskiego za dokładną uważaną być nie może. Pewna liczba monografi dobrze napisanych, nie uratuje dzieła, z którego czerpiąc wiadomości nigdy nie można być pewnym, że są prawdziwe. A dopóki monografie nie będą dokładne i nie będą zawierać li tylko prawdy, „Złota księga” nietylko że nie przyniesie pożytku ogółowi, ale czytelnika nie obeznanego z genealogią łatwo w błąd wprowadzić może.

„Rocznik drugi szlachty polskiej,” wydany w r. b. przez Jerzego Sewera hr. Dunina Borkowskiego, zawiera te same podziały co i pierwszy, z dodaniem spisu urzędników honorowych dworskich.

Wiele niedokładności które rocznik pierwszy zawierał, w obecnym zostało usuniętych, a zamieszczaniem obok żyjących pokoleń, nietylko imion rodziców, ale dziadów i pradziadów, hr. Borkowski wypełnił brak zupełny wiadomości genealogicznych, w ostatnich pokoleniach polskich rodów, poczynając od końca zeszłego stulecia, a na który to brak zwracaliśmy uwagę, w sprawozdaniu o pierwszym roczniku szlachty polskiej.

Część rocznika, odnosząca się do historii, to jest spis dygnitarzy, których pewna rodzina wydała, jest zawsze jeszcze niedokładny i dopóki hr. Borkowski spis ten układać będzie na podstawie herbarzy przeszłych i obecnych, dzieła ten zawsze wiele pozostawi do życzenia.

Że jednak głównym celem tego wydawnictwa, jest obznajomienie czytelnika z dzisiejszemi pokoleniami rodzin polskich, a rodzin tych znaczna bardzo liczba mieści się w roczniku, praca hr. Borkowskiego odpowiada choć w części zadaniu swojemu i winna w polskich domach zastąpić Almanach gotajski, który dla nas nie tylko w zupełności zastępuje, ale o wiele zawartą w niej treścią przewyższa.

Tenże hr. Borkowski wydał w r. z. we Lwowie pierwszy zeszyt dzieła, noszącego tytuł: „Spis nazwisk szlachty polskiej.”

Obok nazwisk zamieszczony jest rok, w którym po raz pierwszy o rodzinie znajduje się wzmianka w znanych aktach, lub herbarzach, oraz rok nadania tytułu honorowego. Że jednak obok znacznej części nazwisk, niema wymienionych herbów, których te rodziny używały, a rok w którym o rodzinie pierwszą wzmiankę znajdujemy, nie jest prawdziwą datą pojawienia się jej, przeto i dzieło to, pozbawione jest znaczenia naukowego i jedynie służyć może do obrachowania liczby szlachty, zamieszkującej ziemię dawniej Rzeczypospolitej.

O Herbarzu polskim wydawanym przez hr. Łodzia Czarneckiego, czy Czarneckiego, nie wiele mamy do powiedzenia.

Po wielu latach oczekiwania, nadesłano nam w roku zeszłym, tom pierwszy tego wydawnictwa, lecz bez tytułowej karty, tak, że nawet dokładnego tytułu dzieła, nazwiska autora i miejsca wydania, podać nie możemy.

W pierwszej swjej części ów herbarz zawiera rzecz o herbach i urzędach podług Lelewela i spis wraz z rysunkami herbów polskich. Druga część obejmuje spis senatorów podług Niesieckiego, z dodaniem wojewodów i kasztelanów z czasów księstwa warszawskiego i królestwa polskiego.

Trzecia nakoniec wymienia familie szlacheckie, podając o nich jedynie wiadomości zaczerpnięte z Niesieckiego. Jednym słowem, jestto przedruk herbarza Niesieckiego.

Gdyby był przynajmniej autor herbarza, na podstawie bogatych źródłowych wydawnictw lat ostatnich, błędy popełnione przez Niesieckiego usunął i tak poprawione jego dzieło, publiczności przedstawił, praca jego, mogłaby przynieść jaki pożytek; lecz proste przedrukowanie dzieła, poobcinanego na wszystkie strony, do tego drobnemi literami, na bibule, niemoże mieć żadnej wartości.

Adam Boniecki.

„Rok 1573 w dziejach i historyozofii narodu polskiego.“ Napisał ks. Wincenty Witkowski. Warszawa, 1883, str. 130.

Nie zdarzyło się nam czytać książki historycznej, pisanéj w tonie tak trywialnym i grubiańskim, jak ta, której tytuł na czele podaliśmy. Autor jej nie zaglądał do źródeł, nie wy dobył też ani nowego faktu, ani nie objaśnił krytycznie żadnego szczegółu dziejowego, ale za to rozrzucił hojną dłonią tyle potwornych na naszą przeszłość poglądów, zelżył karczemnemi słowy naszych królów, znieważył naszych mężów stanu, wyszydził nasze narodowe instytucye w sposób wstrętny i dotąd niebywały.

Oburzeniu naszemu musimy dać tém silniejszy wyraz, gdyż autor, nie chcąc być zaliczonym do „romantyków naszej historyozofii” (str. 69), podszywa się tém samém pod płaszczyk nowéj szkoły historycznej, wrywa bez wewnętrznego związku i należytego zrozumienia całe ustępy z historii Bobrzyńskiego i przy ich pomocy stwarza nędzny zlepek swoich historyozoficznych bredni.

Niech tedy ks. Witkowski pamięta raz na zawsze, że t. z. nowa szkoła historyczna niema nic wspólnego z tego rodzaju sądami i wyrokami; niech będzie pewnym, że cytując luźne wyimki z dziejów Bobrzyńskiego, jako „złote słowa,” wyrządził dotkliwą krzywdę temu hi-

storykowi; niech raczy wreszcie dobrze zrozumieć, że nowa szkoła historyczna do badania dziejów narodu polskiego, ze źródeł krytycznie wydobywa czystą prawdę, że podnosi cnoty publiczne, wskazuje z boleścią pewne błędy polityczne, ale nigdy nie kala tego, co stanowiło siłę i zdrowie społeczeństwa, i nie hańbi tych, co na ogólną cześć sobie zasłużyli.

Praca też ks. Witkowskiego nie zasługuje na krytykę we właściwem tego słowa znaczeniu, po wszystkich jej kartach bowiem płacze się tyle monstualnych niedorzeczności, przeplatanych płaską i oburżającą krytyką osób i wypadków dziejowych, że istotnie trudno stanowczo orzec, czy zawiera ona więcej znamion zboczenia, czy więcej złośliwości.

Zestawiając celniejsze ustępy z tej ciekawej książki, ułatwimy czytelnikowi wyrobienie sobie pod tym względem własnego sądu.

Oto na czele niech stoi ogólna teza autora, że „w naszej polityce zewnętrznej nie było ani trochę rozsądku” (str. 5). Ubieganie się Jagiellonów o trony Czech i Węgier, szerokie rozpostarcie się wskutek tego potęgi polskiej o trzy morza: Czarne, Bałtyckie i Adryatyckie, to „donkiszotyzm” (str. 3). Przeboje z Turcyą „przed ustaleniem się między Dnieprem, Euksynem i Dniestrem, były głupstwem” (str. 5); ustawa radomska, to „skutek nieudolności organizacyjnej Kazimierza Jagiellończyka i szarlatańskiego polityki Olbrachta” (str. 7); cała polityka Zygmunta I jest „bezmyślna i apatyczno-głupia” (str. 9); a „ideał szlachty polskiej można nazwać niewolo-wolnością” (str. 10).

Humanistyczne prądy, które przebiegłszy cały Zachód, dotarły i do Polski, wywołują w umyśle autora wzgardliwe politowanie, bo stworzyły one tylko „bezmózgowe entuzjazmowanie się kopącym kagankiem, lichą łójówką, wobec słońca sprawiedliwości, bo są one rozwalonemi cysternami, co nie mogą zatrzymać wody wobec źródła wody żywej, a dowodzą tylko, że zachwycony ćwierćgłówek nie umie sobie zdać sprawy i nie zna stanu istotnego pogańskiej społeczności” (str. 13).

„Pojęcie chrześcijańskiej wolności splotło się u nas bezładnie z pogańskiem pojęciem o tyranii i tyranach. Z tego wszeteczeństwa zrodził się bękart antychrześcijański” (str. 93). „Szlachta zachłystawszy się, zakrztusiwszy się Grecyą i Rzymem, miała w nich gotowe wzory do wytworzenia przyszłej anarchii” (str. 16). Jakkolwiek bowiem były u starego świata niektóre rzeczy piękne, bo je wydał „duch ludzki pod technieniem ułamków technienia i powiewu Najwyższej Prawdy, Dobra i Piękna, to jednak kalano je coraz więcej fałszem, zepsuciem i szpetnością duchową, w jaką świat popadł” (str. 12).

A cóż dopiero powiedzieć o całej fazie reformacji, jaką naród przeszedł przez dwa panowania Zygmunatów, aby „już w roku 1573 stanąć pod sztandarem rewolucyi, z zaprzeczeniem najwyższego panowania Boga, a z postawieniem najwyższego prawa człowieka, do cze-

go na Zachodzie dopiero w r. 1789 doszło!" (str. 19). Bo zresztą „obie rewolucje: sadduceo-ateistyczna francuzka z r. 1789 i faryzeo-pietystyczna polska z 1573 wywiesiły te same godła" (str. 71). „Tu i tam naród trawi się anarchią, wewnętrzną zgniłą gorączką, ta sama chępliwość... a co najwięcej ta sama degraolada, ten sam stopniowy upadek i zamieranie" (str. 92).

„Polska stoi otworem dla całego steku przybłądów z całego świata, jakby rynsztok, którym zkądinad spływają brudy, mnożą się sekty bez liku, ale to wszystko płytko, powierzchownie" (str. 50). Od r. 1573 „opiera Polska swój ustrój cały na negacyi chrystyanizmu, wprawdzie nie teoretycznej, ale już faktycznej" (str. 86). „Chrystusowi zosta wiono tylko emeryturę, chleb łaskawy i nabożeństwo, obrzędy, posty, praktyki, ale zawsze wypędzono go z życia" (str. 29). To też „nihiliści z r. 1573" (str. 55) zawiedli Polskę na brzeg przepaści.

Zapyta teraz zapewne czytelnik, czy też wśród tego „nihilistycznego" społeczeństwa, nie było zdrowych umysłów, nie było poważnych usiłowań, zmierzających do podźwignięcia kraju z upadku, nie było królów, pragnących dobra ojczyzny i poddanych? Autor odpowiada że nie; a na dowód swego twierdzenia podaje krótką, z dosadnością słowa naszkicowaną charakterystykę niektórych naszych monarchów.

Oto Olbracht „to przed czasem poroniona, niedonoszona wielkość, mały człowiek, ale pozujący na wielkiego, człowiek wielkich zachcianek, choć nie wielki; jak szuler postawił on wszystko na kartę bukowińską, grał v a bank, a fatalny sejm piotrkowski z r. 1496 był gorzej niż zbrodnią, bo błędem tego króla" (str. 4 i 5).

Zygmunt I, to duchowy eunuch, człowiek bez poczucia obowiązku (str. 7), bez moralności i bez zasad (str. 8), nędznik bez sumienia katolickiego (str. 9), zdrajca kościoła i ojczyzny (str. 10).

Zygmunt II August, natura apatyczna (str. 38), religijnie siedział na dwóch stołkach, obie strony obezwładniał i nękał, politycznie w matni magnackiej siedział (str. 34) i „przedłużył zbrodnię ojca co do lenności Prus (str. 58).

Stefan Batory, to „przybłąda w kraju, bez wczoraj i jutra" (str. 8); a na pobłażanie zasługuje jeden tylko Zygmunt III, bo choć i to „tępa głowa, ale przynajmniej miał zasady" (str. 9). Dodać wreszcie należy, że „ani Jan Kazimierz, ani Stanisław August nie był głupim, ale głupią była ich Polska" (str. 23).

Ale nie koniec na tém, co więcej jeszcze „Polska była błaznem narodów" (str. 87). „I to błazeństwo narodowe uosobnik w sobie pogański rzecznik narodu Jan Zamoyski" (str. 87). Dalej idzie jędrna charakterystyka Zamoyskiego, który był „błaznem" (str. 87), był „opętańcem" (str. 88), cały jego system społeczny jest „okropnym świadectwem wstecznictwa, zwrotu ku poganizmowi" (str. 88) „a z potwornych słów jego tryska podrzędna głupota" (str. 69).

Lecz dosyć już tych cytacyi. Zadowoli się niewątpliwie czytelnik i tym skromnym zbiorem sądów i wyroków, jakie padły z history-

cznej trybuny ks. Witkowskiego. Podaliśmy je wiernie, w pewnym systematycznym zaokrągleniu i nie chcemy ich uzupełniać żadnym komentarzem, gdyż komentarza tu istotnie nie potrzeba.

Szanujemy mocno katolicki punkt widzenia, z którego się autor na tok naszych dziejów zapatruje, ale sądzimy, że ten zbyt jednostronnie pochwycony kierunek wywołał wiele nie krytycznie sformułowanych poglądów, rozwiniętych nie ze spokojem historyka, ale z gwałtownym i fanatycznym zacięciem wyraźnie tendencyjnego pisarza. Jakkolwiek bowiem niezdrowe prądy religijne wstrząsały masami naszego szlacheckiego społeczeństwa, to jednak w epoce, w której nad Polską świeciło złote słońce Jagiellońskiego wieku, nie możemy, tak jak autor dostrzedz tylu pogańskich żywiołów i odszukać tak wielu koryfeuszów antychryścjanizmu, boć wiadomo, że sam Zygmunt August reformacyi nie sprzyjał, jój rozrost osobnemi edyktami powstrzymywał i był jednym z pierwszych, którzy przyjęli uchwały trydenckiego soboru. Podnosząc niezaprzeczony fakt, że rozkołysane gorącą wrzawą religijną umysły polskie, chwyciły się innowierczych doktryn, bezstronny historyk zaznaczyć winien, że nie był to luźny objaw wśród społeczeństwa naszego, ale że przed ukończeniem soboru trydenckiego w całym chrześcijańskim świecie w rzeczach wiary niesłychany panował zamęt.

Religijny ten zamęt podsycił niewątpliwie polityczną anarchią, która ostatecznie zgubiła Polskę. Przekonanie to, silnie zaakcentowane, wijące się przez cały ciąg opowiadania ks. Witkowskiego, nie jest zaiste nowém, jak nie nową jest myśl, iż fantastyczna forma rządu, jaką sobie Rzeczpospolita w r. 1573 zaimprovizowała, stała się walną przeszkodą dla zbudowania silniejszej organizacyi społecznej w Polsce.

Zasady te rozumnie rozwinięte, znalazł autor we wszystkich nowszych dziełach historycznych, owianych zdrowym poglądem politycznym, ale wyczytawszy tu i owdzie wiele zdrowych myśli o znamionach upadku naszego, przetworzył je w tak monstrualne kształty, iż w najubożniejszym czytelniku wzbudzić one muszą wstręt i niesmak.

Cała zaś książka ks. Witkowskiego budzi tém głębszą boleść w naszym sercu, skoro wspomnimy sobie, że autorem jój jest kapłan, powołany do krzewienia wzniosłych zasad miłości chrześcijańskiej, że swą „Polskę w prozie“ ofiarował Deotymie i że co najgorsza, zapowiada, iż oddał już do druku dalsze „koleje narodu polskiego pod egidą zasad 1573 r.“, a koleje te obejmą rządy Walezego i Batorego.

Mieliśmy już różnych historyków, z rozmaitych stanowisk zapatrywano się na nasze dzieje, usiłowano je nawet nakręcać tendencyjnie do pewnych haseł politycznych, ale nikt podobno dotąd z tak jaskrawą gwałtownością nie potępił w czambuł, jednym zamachem, wszystkich istotnych ideałów, pragnień i prac naszego narodu, począwszy od rządów Kazimierza Jagiellończyka, a skończywszy na konfederacyi Barskiej, która „sama nie wiedziała czego chce, a raczej chciała tego, co Fryderyk II, t. j. rozbioru Polski,“ (str. 126).

A więc Polska, jak dowodzi ks. Witkowski, była głupią, a ztąd

téż roły się w niéj tłummy głupców i zbrodniarzy. Oryginalne to zaiste zjawisko w dziejach, że aż trzech wieków potrzeba było, aby ta „głupia“ Polska, wydała tak „mądrego“ ks. Witkowskiego, który pierwszy bez ogródek, wyraźnie i plastycznie, wypowiedział, że Polska była błaznem narodów, że królowie polscy byli nędznikami, szulerami i zdrajcami, że wodzowie i politycy polscy byli donkiszotami lub opętańcami, i że szlachta polska była zgrają nihilistów, zatruwających narodowego ducha.

Zdrowa opinia publiczna niech sądzi.

Michał Chyliński.

„Przegląd pedagogiczny.” Czasopismo, poświęcone sprawom wychowania publicznego i domowego. Warszawa, 1881. Zeszyt I—XII *).

Z działu dydaktycznego i metodycznego znajdujemy w 1-szém półroczu „Przeglądu pedagogicznego” następujące prace różnej nader wartości. 1) „Los historyi Grecyi w naszych zakładach naukowych żeńskich” przez M. D. Kleynę, zes. 1. Autor, utyskując nad losem historyi Grecyi, osobliwie w zakładach żeńskich, w których jedynie tylko w klasie 3-ciej, t. j. dzieciom bywa wykładana, żąda przeniesienia jéj wykładów do klasy najwyższej z jedną godziną na tydzień. Otwarcie mówiąc, z artykułu autora wypływa, że nie jasne ma pojęcie o potrzebach edukacyi żeńskiej i o wpływie wychowawczym historyi, czyli wykładów historycznych na umysł ucznia. Chce wykład historyi Grecyi tak zupełnie urządzać w zakładach żeńskich, jak jest w zakładach męzkich. Zadalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy chcieli wykazać różnicę, i powody téj różnicy w wykładzie historyi dla panien a młodzieńców. Musimy tę stronę pominąć; wszelako każdy pedagog ją zna i do niéj się stosuje, prócz tych, co w zakładach żeńskich uczyć przestali. Również i to pominąć musimy, ile i w jakim kierunku jaki przedmiot, a więc tutaj historia, naukowo wpływa na rozwijanie i kształcenie ducha czyli władz duchowych. Atoli tego pominąć nie możemy, że właśnie ten ostatni wzgląd powinien kierować pedagogiem w wykładzie każdego przedmiotu; inaczéj będzie on go wykladał w zakładzie żeńskim, inaczéj w męzkim; bo ostateczne cele wychowania tych zakładów są różne; inaczéj tedy musi być wykładana historia, a tutaj historia Grecyi w zakładach męskich a żeńskich. Powody, jakie autora skłoniły do owego żądania są albo niedostateczne albo mylne. I tak powiada, że „wykład historyi Grecyi daje możność objaśnienia głównych zasad rozwoju ludzkości” (na pod-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za lipiec r. b.

stawie samej historii Grecyi nikt tego uczynić nie zdoła); „krajina ta nie przestaje być ciągłą prawie niewyczerpaną skarbnicą sztuk a w części i nauk (już dawno nią być przestała, chyba autor ma na myśli zdobycze podziemne Schliemanna, i temi zamierza karmić zakłady żeńskie); „historja Grecyi jest niejako wieńcem (czy: uwieńczeniem) wykładów historycznych,” a to dla tego że „w zakładach męskich wykładają się nietylko w klasie 5-tój, ale także w 8-mój.”(!)

Bardzo poziome niektóre, inne zaś wcale nie pedagogiczne przytacza autor potrzeby z życia praktycznego, dla którychby należało obszernie wykładać dzieje Grecyi. Podług niego nie można prowadzić rozmowy „o indukcji,” do czego potrzeba znać Arystotelesa, o „użytylizmie,” „do czego znać trzeba epikureizm „o historii w ogóle,” tutaj należy poznać Herodota, o rozwoju pedagogiki, do czego znać trzeba systemata pedagogiczne Spartan i Ateńczyków, jeżeli się nie zna historii Grecyi. Podobnie dzieje się podług autora ze sztukami: i architekt, rzeźbiarz, poeta, naturalnie i malarz „nie potrafi osiągnąć zamierzonego celu, gdy się nie cofnie do historii Grecyi.” Więc ku temu celowi chciałby autor „pchnąć ducha” przyszłych naszych gospodyń, żon, matek, obywaterek? Żąda „nieco bliższego poznania sztuki greckiej” między innemi powodami podając „że Sofokles nie schodzi z repertuaru teatralnego.” Nam się zdaje, że nawet jeszcze nie wszedł; a może autor chce, aby w zakładach żeńskich studyował Sofoklesa? Otóż po takich premisach przychodzi autor do niezrozumiałej nam konkluzji, która tak brzmi: „to możemy przyjść do jednego tylko wniosku: iż silny wpływ kultury greckiej na inne narody czyni niemożliwym jasne zrozumienie historii, literatury i sztuki nietylko innych narodów ale i własnego.”

Po tym wniosku idą jeszcze niektóre powody. Oto „w galerji sztuk pięknych spotykamy osoby nie mające pojęcia o dziełach sztuki,” zaginęło zrozumienie genetyczne takich wyrażen jak Furje, Amfitryon (i to dla panien), Danaid i t. p.”

I na rozpoznanie tych wszystkich ogólnych i szczególnych rzeczy, tudzież na „wykazanie praw, według których odbywa się wpływ na siebie narodów oświeconych,” na wykazanie „znaczenia narodów ucywilizowanych w stosunkach przyjaźnych lub wrogich z nieoświeconemi,” dla „objaśnienia różnic zachodzących między systemami rządzenia,” dla „wykazania genezy wszystkich prawie nauk, kierunków, w jakich się rozwijały i wzajemnego ich związku,” „dla przedstawienia, opartego na przykładach, ogólnych zasad nauki o pięknie czyli estetyki...” i na to wszystko, na „obszerne traktowanie” wyznacza autor aż jedną, mówię wyraźnie jedną godzinę (!): to wszystko ma być w jednej godzinie na podstawie wykładu historii Grecyi wyłożone! I takich-to rzeczy chciałby autor uczyć nasze córki? Jaki wpływ wywarłaby taka nauka na ich wychowanie i kształcenie umysłowe? Ależ autor poniekąd sam sobie się sprzeciwia, mówiąc: „Główne epizody z dziejów Grecyi przedstawiają w sobie tyle stron pięknych i t. d., że bada-

nie ich musi podnieść ducha i wywołać idealniejsze dążności;... któż z nas (chłopców) nie zachwycał się Herkulesem, Tezeuszem, Achillesem, Leonidasem, Temistoklesem, Sokratesem i t. d. mitologią;... poznanie wielkości Grecyi, polegającej nie na sile materyalnej, lecz na potędze ducha nawet po utracie niezależności, musi zrodzić w każdym radosną myśl o pożytku pracy człowieka w każdym położeniu."

To, szanowny autorze, zupełnie co innego, tu trafiasz w sedno! Tak [jest epizodycznie wykładana historia Grecyi i to w tym właśnie kierunku i celu najwłaściwszą jest dla zakładów żeńskich. A naszym zdaniem nie tyle grecka jak rzymska. W greckiej pełno wielkich mężczyzn, brak wielkich niewiast. Nie ma tam przykładów z płci własnej, gdy rzymska w Klelii, matce Gracchów, matce Koryolana i innych, wzniosłe przedstawia do naśladowania przykłady.

"Jakie" "Wypisy polskie" pierwsze (?) uważać należy za dobre; zesz. 1-szy. Autor chciał ważną rzecz zbyć kilku słowami, a w tych kilku słowach nietylko że nawet powierzchownie rzeczy nie mógł przedstawić, ale wpadając w szczegóły, mylne zdania objawił. Żąda, aby w tej książce „tkwiły (?) elementa zdolne wyrzucić wpływ na wolę, rozum oraz uczucie." Jakże ma wyrzucić wpływ na uczucie, kiedy autor chce, aby była „wolna od sentymentalnych słodyczy" t. j., ustępów przemawiających do uczucia. Ma być „narodową ale wolną od forsownego patriotyzmu." (Należałoby się komentarz, bo tego wyrazu nie rozumiemy.) Ale mimo że ma być narodową nie życzy sobie autor, aby zawierała „baśni ludowe." Należałoby spożytkować w niej „autorów najnowszych przeważnie." Czy może dlatego, że gorszą polszczyzną piszą od dawniejszych? „Względy na historią literatury wiodą do tego, że się częstokroć bierze próbki literackie, pozabawione wartości podagogicznej." Gdzież w takiej książce mogą stać względy historii literatury na przeszkodzie? W końcu uwieńcza autor swe słowa mówiąc: „że taka książka nie może baczyć nadzwyczajnie... ani na gramatykę lub stylistykę." Cóż na takie dictum powiedzieć, chyba że z tego jednego powodu, właśnie ten ustęp mógłby wejść w skład takich „wypisów polskich pierwszych, uważanych za dobre." Sapiienti sat.

"Wzór lekcji języka polskiego," przez St. Mieczyskiego; zesz. 3-ci. Na podstawie ustępu czytanego p. t. „Obraz chaty podczas zimy" rozwija autor lekcją praktycznie, a to tak jak się ma uczyć w klasie drugiej, więc w wieku od 11 do 12 roku. Praca to bardzo praktyczna, i bodaj takich w „Przeglądzie" było jaknajwięcej. Nieudolny nauczyciel zaczerpnie z niej dobre pouczenie, zdolniejszy otrzyma podstawę dalszego jej rozwinięcia. Autor „metodę postępowania" dzieli na dwie główne części, na a) czytanie i czynności od niego nierozłączne; b) gramatykę, opartą na podstawie przeczytanego opisu. Można nie zgodzić się na niektóre szczegóły jak n. p. na dawanie definicyi ściśle objaśnianych pojęć, gdyż te wymagają dojrzałego umysłu, można zarzucić niektórym objaśnieniom np.: wilgoć znajdu-

jąca się na szybie marznie skutkiem oziębienia się powietrza; można żądać, aby w podawaniu synonimów „ogiera” opuścić, bo wtedy trzeba mówić także o klaczy, i t. d., wszelako na porządek i sposób rozwijania i przedstawiania rzeczy każdy się zgodzi.

„Czego najprzód i najgłówniej nauczać potrzeba?” zesz. 3-ci. Autor w 34 wierszach chciał wykazać, że przedewszystkiem uczyć potrzeba cnoty. Mówi jednak: cnotę korzystnych, czy może dlatego że się opłacają, a nie dla samej cnoty? Nazywa tę sprawę „paląco ważną.” Może nas, powiada, oczekiwać nędza, wielkie nieszczęścia i klęski krajowe, z otchłani których wypłyniemy, jeśli i t. d. Pochwalamy ten szlachetny zapał autora, jednak pozwolimy sobie zrobić tę uwagę, że nawet w uniesieniu nie należy, osobiście w piśmie, zapominać o czystości języka.

Wreszcie nie rozumiemy jak autor żąda mieć ułożoną naukę religii, skoro tak górnolotnie i niezrozumiale jój zadanie określa: „Nauczanie religijne niechaj ukazuje wielki ideał doskonałości” (nie więcéj?,) „do którego człowiek w życiu swoim zbliżyć się ma możność” (nowe odkrycie.) „Bóg bowiem nie jest przedmiotem wiedzy lecz ideą doskonałości (więc cóż? dla tego nauki o Bogu nie potrzebujemy.?)

„O znaczeniu geografii w szkole ludowej” w zesz. 4-tym. Artykuł ten, jak autor powiada: opracowany jest podług pracy p. F. Nicolai, saskiego nauczyciela w Chemnitz. Nie mamy pod ręką oryginału, podług którego autor pracował, ale przypuścić musimy, że p. Nicolai nie bajął tak de omnibus rebus et quibusdam aliis, jak autor, musiał rzecz ująć w pewien ład i porządek, a wreszcie, pisząc po niemiecku, pisał zaprawdę dobrą niemieccyzną. Tutaj prócz powyższych wad, iż trudno się doczytać, czego autor chce, razi niewłaściwy język. Pomijam powtarzanie się częste spójnika „oraz” znajdują się zwroty: usiłowania cieszą się rezultatami, potrzeby są na czasie, duże prawo, golfstrom, nauka geografii w szkole ludowej nie może mieć takiego zakresu, jakeśmy to powyżej przedstawili, ona powinna być tylko podawaną w tym duchu i wówczas będzie można mówić o korzyściach stąd powstałych; pra-praprzyczyny i t. d. i t. d. Mylnie ma autor pojęcie o ogólném kształceniu, jeżeli twierdzi, że „jako ogólnie kształcący żywiół na uniwersytetach są studia filozoficzne (na tym stopniu są one już fachowe); w gimnazyach tę samą rolę przypisuje się obszerniejszemu nauczaniu języków klasycznych, a w szkołach realnych matematyce oraz umiejętnościom przyrodniczym (bo ani języki klasyczne ani matematyka i umiejętności przyrodnicze, ale wszystkie w gimnazyach i szkołach realnych w ścisłym związku ze sobą wykładowane nauki dokonywują tego ogólnego wykształcenia.).

„Geometrya w szkole,” przez S. Dicksteina, zeszyt 4-ty. Rozprawa jest dopięro wstępem do innych podobnych i nie była jeszcze ukończoną; tutaj jednak pozwolimy sobie zrobić kilka krótkich uwag. Z początku mówi autor o geometryi, o ile ona i w ja-

kim kierunku kształci w różnych szkołach, począwszy od najniższej do najwyższej. W wyższych zakładach, powiada, wykład jój jest „najwyższym wykładem umiejętności w pełnym rozwoju;” nie rozumiemy tego; nie wiemy, czy autor sądzi, że ten wykład zastąpi wszystkie inne umiejętności? czémże jój wykład będzie w najwyższych zakładach. „W zakładach średnich celem tój nauki jest zaprawienie umysłu do matematycznego myślenia (my znamy myślenie logiczne i nielogiczne.) Zastanawia się czy metoda Euklidesa może być zastosowaną w niższych klasach, jednak tę sprawę nie sam rozwiązuje, ale każe ją Jacobiemu rozwiązać. Co do treści, jaką się ma geometrya zajmować w kursie przygotowawczym, mówi, że jedni kładą nacisk na to, inni na owo, jeszcze inni na co innego. Sam autor nie rozstrzyga tój rzeczy, godzi się na wszystko „przy sprzyjających warunkach.” Co się tyczy metody, każe odpowiadać Falkowi (Propädeutik der Geometrie), tak, że własnego zdania o rzeczy autora nie można się doczytać.

O geometryi w szkole elementarnej, w szkołach rzemieślniczych, żeńskich, w seminariach nauczycielskich zaczyna autor dopiero przy końcu się rozwodzić. W tymże samym zeszycie znajduje się tegoż autora „Metoda wyciągania pierwiastka sześciennego.” Jestto rozprawka metodyczna nie bez wartości.

„Ćwiczenia stylowe dla wyższej klasy szkoły elementarnej” (zeszyt 4-ty) nad tematem: Pies jest pożytecznym, wiernym i posłusznym towarzyszem człowieka, zawierające zebranie pomysłów, tychże uporządkowanie, i wypracowanie, jest dobrym przyczynkiem metodycznym, dającym się w praktyce szkolnej zużytkować, i mogącym służyć za wzór do innych podobnych ćwiczeń stylowych.

„Organizacya najpierwszego nauczania” (w szczegółowém zastosowaniu do ochron), przez Aleks. Jurgielewicz, zeszyt 5, 6 i 7. Mamy przed sobą pracę dzielnego praktyka, nie bawiącego się dźwięcznemi wywodami teoretycznemi, a wskazującego odrazu rzecz samą. Ponieważ dla braku odpowiedniej liczby szkół elementarnych, ochrony muszą brać ich obowiązki i zadanie na siebie, autor rozwija szczegółowo plan nauki dla ochron, dzieląc dzieci podług wieku od lat 5 do 7 i od lat 7 do 10, na trzy grupy. Następnie podaje plany dla grupy 1-szej, 2-giej i 3-ciej, dodając wszędzie trafne wskazówki i co do treści i co do metody uczenia; zamieszcza dwa przykłady (powiastkę i opis) rozwinięte metodycznie, omawia „jak uczyć pisać, przyczém daje wskazówki o nauce gramatyki. W końcu wypowiada swą gotowość do udzielenia każdemu bliższych wyjaśnień ustnych. Praca to bardzo dobrze obmyślana, porządkiem przeprowadzona i trafiająca do przekonania każdego wychowawcy. Pozwolimy jednak sobie zrobić niektóre uwagi. Autor każe w pierwszej grupie, w której znajdują się dzieci pięcioletnie, wprowadzić liczenie do 10 i naukę rachunków w obrębie tój liczby; czy nie zatrudne wymaganie? Nie wiemy, dlaczego autor wykluczył, a przynajmniej nic o tém nie wspomina, roboty me-

chaniczne dzieci, pewnym stopniowym porządkiem prowadzone. Autor chce naukę gramatyki dawać jedynie przy pisaniu; owszem i przy pisaniu i przy czytaniu. Przepisywanie z książki, naszym zdaniem nietylko „można czasem zadawać,” lecz jak najczęściej, nawet codziennie. Bardzo dobre skazówki daje autor, jaką treść ma zawierać książka do czytania, i w tym względzie obszerniej mnie wyraża w odpowiedzi autorowi ustępu p. t.: „Jakie Wypisy polskie pierwsze uważać należy za dobre“ (zesz. 1), jednak zamierzając na podstawie téj książki rozwijać ducha podał najpierw wyobraźnię i skoczył zaraz do władzy sądzenia, pomijając stopnie pośrednie wyobrażenia i pojmowania; książka tedy do czytania powinna zawierać ustępy rozwijające te dwie władze i wiodące do tworzenia wyobrażeń i pojęć, a dopiero potem do tworzenia sądów.

Tegoz samego autora podobna praca jest: „O wykładzie matematyki w średnich zakładach naukowych żeńskich.“ Słusznie twierdzi, że matematyka dla kształcenia pań tak samo jest niezbędną jak dla chłopców, i że niezupełnie uzasadnione jest przypuszczenie, że panienki mniej są uzdolnione do pojmowania zagadnień matematycznych niż chłopcy. Widząc zaś że w zakładach żeńskich przedmiot ten bardzo powierzchownie bywa traktowanym ze szkodą ogólnego wykształcenia, podaje plan nauki, rozłożony na kurs przygotowawczy i kurs systematyczny, w tym celu, aby ze strony osób kompetentnych wywołać uwagi, któreby mogły przyczynić się do ułożenia planu normalnego. Ciasne ramy sprawozdania nie pozwalają nam się nad tem rozszerzać, rzucamy tu jedynie tę uwagę, że w kursie systematycznym z algebry stawia autor, naszym zdaniem, zaobfitą treść. Wreszcie w zesz. 12 znajdujemy tegoz autora „Lekcyje arytmetyki, kurs przygotowawczy,” jestto wprawdzie początek pracy, jednak pracy bardzo praktycznej, bo podającej nauczycielowi jak najdokładniejsze skazówki metodyczne w początkowej nauce rachunków. Oby takich prac znajdowało się w „Przeglądzie“ jak najwięcej!

Przechodząc do działu „Dziejów szkół“ wypada nam zrobić niektóre uwagi ogólne. Nie wielkie w nas budzą zajęcie obrazy szkół w krajach odległych, mogą wprawdzie posłużyć do wzbogacenia wiadomości w pewnym kierunku, ale do polepszenia stanu szkół naszych mało mogą się przyczynić, jużto z tego ważnego powodu, że się rządzą zupełnie innemi ustawami, zastosowanemi do obcych nam okoliczności, jużto, że istnieją u narodów albo wcale, albo mało nam pobratymczych. My, u których dziejowe wypadki, przerwały nie tradycyi rodziméj pedagogii, winniśmy ją napowrót nawiązać; tym tylko sposobem możemy się przyczynić do podniesienia naszych szkół i oświaty. Naturalnie, że ważne kwestye bieżące pominięte być nie mogą. Z tego powodu uważam artykuły: „Szkolnictwo (czemu nie szkoła!?) ludowe na Węgrzech,“ „Szkolnictwo ludowe włoskie,“ „Szkołę japońską,“ „Przedmioty wykładowe w niemieckiej szkole elementarnej w ciągu czterech wieków“ za rzeczy małej dla nas wagi, jak na dzisiejsze okoliczności, i jak na ważniejsze za-

danie, jakie „Przegląd“ ma do spełnienia. Stosowniejsze są artykuły o zakładzie w Omsku, o reformie gimnazyów filologicznych, o wnioskach komisji Akad. Um.; ale z wszystkich najcenniejszym i najpiękniejszym jest obrazek naszej przeszłości pedagogicznej: Linde o popisach publicznych. Szkoda, że dotąd znajduje się on jeden. Nie mogąc się nad każdym rozwozić, kilka tylko uwag rzucę nad artykułem p. Wernica o „Koniecznej reformie i t. d.“

Musiabym bardzo się rozszerzyć, a przynajmniej tyle napisać, ile autor, gdybym chciał zbić błędne twierdzenia autora punkt po punkcie. Ograniczam się jedynie na głównych rzeczach. Autor jakkolwiek w napisie mówi o reformie gimnazyów, w toku swego wywodu już nie reformy, ale zupełnego przeistoczenia się domaga, chce bowiem zupełnego usunięcia języków klasycznych. W dowodzeniu swoim o zbyteczności tych języków nie tyle opiera się na wykazaniu umiejętnym czy i jaki wpływ nauka tych języków wpływa na wykształcenie ducha, ile raczej kieruje się poziomem potrzebami życia praktycznego. Więc dlatego że ani medyk, ani prawnik, ani technik i t. d. nie potrzebują używać w życiu praktycznym języka klasycznego, dlatego należy go wyrzucić. Autor powiada, że mimo tylu a tylu godzin, łożonych na naukę tych języków, uczniowie ich nie umieją. Cóż z tego? I najlepsze, najodpowiedniejsze lekarstwo będzie bez skutku, jeśli go się używa sposobem złym. Tu nie języki temu winny, tu winna metoda. Przyczem jednak godzi się szanownemu autorowi uwagę zwrócić na mały błąd matematyczny. W rozprawie swój „Czy dorastające pokolenie“ i t. d. w zesz. 7-ym twierdził, że nasze zakłady mają w stosunku do pruskich zbyt mało czasu przeznaczanego do nauki, bo tylko 180—160 godzin, co czyni około 26—23 tygodni. Tymczasem tutaj mówi o 35 tygodniach, czyli 245 dniach; pomylił się widocznie w tym celu, aby mógł dla języków klasycznych wyliczyć rocznych godzin 1820 dla łaciny (!) Mylnie twierdzi autor, że konjugacje francuskie są podobne do łacińskich; myli się, skoro twierdzi, że „Ameryka, w której studya filologiczne są bardzo pobieżnie traktowane, nie wykazuje nam bynajmniej, iżby stan umoralnienia był tam daleko niższy niż w Europie.“ Owszem wykazuje. Jedynie tylko mieszkańcy wsi czyli farm wskutek swego zawodu rolniczego są moralni, mieszkańcy zaś miast większych i małych przedstawiają typy najniższego upadku moralnego. Na całej kuli ziemskiej nie znajdzie tyle i takich występków i zbroczeń moralnych, jak tam. Naturalnie, że ja tego stanu nie przypisuję jedynie zaniedbaniu uprawiania języków klasycznych, czyli studyów humanitarnych. Autor mówi, że do poznania literatury klasycznej, która zresztą w jego oczach niema żadnego znaczenia, można dojść krótszą drogą, to jest przez tłumaczenia i słowniki. Ależ któż będzie tłumaczył i układał słowniki, skoro autor wyruguje ze szkół naukę języków klasycznych? Nie jasne ma autor wyobrażenie, powiedzmy otwarcie: niema żadnego o dziejach powszechniej oświaty, skoro twierdzi, że nauki klasyczne mało w tym względzie wpływały. Pominąwszy już inne narody, czyż u nas

w wiekach średnich nie odrodziły się nauki i sztuki tylko przez rozpoczęcie uprawiania studyów humanitarnych, t. j. języków i literatur klasycznych? Radzimy p. W., aby pisał tylko o tém, co do pewnego stopnia rozumie! Ta zaś kwestya jest dla p. W. zupełnie obcą!

O „Biografiach” już kilka słów wspomnieliśmy; tutaj jeszcze dodamy kilka uwag nad biografią „J. F. Bętkowskiego” przez p. Chlebowskiego (zesz. 4, 7). Redakcyja „Przeglądu Pedagogicznego” w dopisku swoim objaśnia, że redakcyja „Encyklopedyi Wychowawczej” nie pomieściła tej biografii w swoim cenném wydawnictwie, nie zgadzając się z poglądami autora; że jednak ten skrupuł nie stoi na przeszkodzie redakcyi „Przeglądu Pedagogicznego, czyli, że ta redakcyja zgadza się z poglądami autora. Powtarzam z tej przyczyny moje pytanie: Dla kogo, dla jakich sfer przeznaczony jest „Przegląd Pedagogiczny?” dla kogo piszecie panowie? w jakim celu trudy podejmujecie i funduszami szafujecie? Człowiek wykształcony gruntownie, biegły w oczystej literaturze, rzetelnie oceni tendencyjną pracę p. Chl.; nie przerobi ona raz utworzonego sobie obrazu takiego człowieka zastużonego, jak Bętk.; człowiek zaś nie posiadający tego wykształcenia, a może czerpiący je dopiero z takiej biografii, co za opaczne wyobrażenie mieć będzie o tym pisarzu, a jeżeli tylko jest rozmiłowanym w swojszczyźnie, ciężkie wyrzuty autorowi z pewnych ważnych powodów czynić będzie, które naturalnie spaść muszą i na redakcyę. Voltaire, jako człowiek prywatny, był zapewne pogardy godzien, ale każdy Francuz szczeni się nim, jako wielkim pisarzem. Nie wchodzimy w bliższy rozbiór tej biografii, dość, że autor z Bętkowskiego zrobił karyerowicza, goniącego jedynie za fortunę, dobrobytem i ocieraniem się o rodziny magnackie; co pisał, niema najmniejszej wartości, a to, co znajduje się w pismach jego lepszego, to nie jest jego własnością; zajmowanie się literaturą było tylko rzeczą podrzędną, środkiem do osiągnięcia materialnego dobrobytu. Czyż można z tego robić zarzut Bętkowskiemu np., że „Historya literatury” była tylko rozszerzonym kursem jego wykładów? Setki przykładów możnaby dziś podobnych przytoczyć o mężach stojących na wyżynach umiejętności. Zarzuca, że „Bętkowski nie znał wewnętrznego procesu wyrabiania się języka,” a któż wtedy te rzeczy znał? i czy znają je dzisiaj wszyscy ci, co o literaturze piszą? Pozytywizm nie lubi frazesów! Bardzo wiele rzeczy mógłbym z pracy autora przytoczyć, które nie mają żadnej podstawy. Autor, nie chcąc choćby jednej dobrój nitki zostawić na Bętkowskim, sprzeciwiła się jednak sobie samemu w kilku ustępach, co stanowi dowód, że jedynie kierowała nim w tej pracy chęć odszczególnienia się oryginalnym poglądem. Nie mógł zdobyć się na inny, więc przyjął ten. „Duch liberalny, mówi autor, jakim tchnę artykuły „Pamiętnika Warszawskiego,” jest odbiciem jedynie pojęć całego grona współpracowników, które podzielał zresztą Bętkowski;” „rozprawa: O znamionach prawdziwej oświaty (r. 1818) ukazuje nam w Bętkowskim postępowego, wolnomyślnego człowieka, który, jak na swój czas, jasno i prawdziwie oceniał znaczenie rozmaitych czynników cywilizacyjnego rozwoju

narodów." Podobnie jak we wstępnych rozdziałach Historii literatury, tak i tu występuje Bętkowski jako wróg wszelkiej nietolerancyi, monopolu, ścieśnień dla myśli i sumienia i t. d.

A przecież!... Kończę to pobieżne sprawozdanie słowy autora: „Ten tylko ma prawo oczekiwać od potomności uznania i sympatyi, kto umiłował wyższe cele, uzacnił tęp uczuciem swe dążenia i prace i pozostał wiernym zasadom, jakie wyznawał.”

Działy następne: „Krytyka i sprawozdania,” właściwie usuwają się z pod mego ocenienia; to samo i wszystkie inne. Wypada mi tylko podnieść, że tak dział „Krytyki,” jak szczególnie „Bibliografii,” jest przynajmniej dotąd zaszczupły; nie pragnę szerokich recenzji (Nałkowskiego jest, jak dla „Przeglądu,” zbyt szczegółowa), ale liczniejszych, o wiele liczniejszych. Czyż nasza literatura pedagogiczna nie żyje? świadkiem tego są T. Paprockiego „Wiadomości bibliograficzne.” Wiele rzeczy i szczegółów musiałem pominąć. Kończę z tęp zapewnieniem, że w rozpatrywaniu rzeczy nie wiodła mnie żadna osobista chęć lub niechęć, lecz prawda i to gorące pragnienie, aby „Przegląd Pedagogiczny” stał się prawdziwym krzewicielem zdrowych zasad wychowania i nauki — dla społeczeństwa polskiego. W rozpatrywanych dotychczas zeszytach nie możemy mu przyznać tego zaszczytnego tytułu.

S. S.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Lipiec 1883 r.— Odbyta w miesiącu czerwcu na placu Ujazdowskim wystawa inwentarza żywego nie dorównała pod względem jakości okazów swoim poprzedniczkom, co gorsza: nawet pod względem ilości okazała się uboższą. Zajmujący się tą sprawą komitet powinien rozważyć gruntownie i wszechstronnie stosunki wpływające na objaw téj mniejszej energii całego kraju na tém polu i albo powiększyć swoje zabiegi, o ile to od niego zależy, albo nie zniewalać ziemian co r oc znie do składania coraz gorszego testimonium paupertatis co do rozwoju produkcji krajowej. W każdym razie uważamy rezultat téj nader kosztownej zabawy, przynajmniej pod względem handlowym, za niepośledni. Według treściwego sprawozdania, jakie pod tym względem ogłosiła „Gazeta rolnicza,” przedstawiają się pojedyncze szczegóły w następujących cyfrach: dostarczono na tegoroczną wystawę: koni 150, bydła rogatego sztuk 126, owiec 347, nierogacizny sztuk 140, drobiu sztuk 452, wreszcie psów 34. Z tego sprzedano: koni 31, za ogólną sumę rs. 12,496. Cena najniższa była rs. 151, najwyższa rs. 2000. Bydła sztuk 71, za ogólną sumę rs. 13,225, t. j. 16 krów, których cena najniższa była rs. 100, a najwyższa rs. 250, i buhajów 55, których cena najniższa wynosiła rs. 50, a najwyższa rs. 300. Owiec sztuk 220, za ogólną sumę rs. 17,876, t. j. 10 matek najniżej po rs. 25, a najwyżej po rs. 40, i 210 tryków, których cena najniższa była rs. 50, a najwyższa rs. 270. Trzody chlewniej sprzedano 110 sztuk, za ogólną sumę rs. 3635, t. j. macior 16, najniżej po rs. 40, a najwyżej po rs. 95, knurów 18, najniżej po rs. 49, a najwyżej po rs. 138, i 76 prosiąt, najtańiej po rs. 15, a najwyżej po rs. 25. Drobiu 238 sztuk, za ogólną su-

mę rs. 1023, t. j. kaczek z kaczątami 47 za rs. 235, kur, kogutów i kurczął 185 za rs. 758 i 6 gołębi za rs. 30. Psów sprzedano 6 za ogólną sumę rs. 295. Czyli, że sprzedaż w dziale inwentarzy żywych dosięgła cyfry 48,550 rs. W dziale przedmiotów mających związek z chowem i pracą koni, sprzedano towaru za rs. 12,000, w dziale pozakonkursowym machin i narzędzi rolniczych za 64,500. Czyli, że obrót targowy na placu wystawy wynosił przeszło 125,000 rs.

— Departament górnictwa zamierza wydać mapę geologiczną okolic Dąbrowy i Olkusza. Wydawnictwo to jest bardzo pożądane, ponieważ obecnie można się tylko posługiwać niezupełnie dokładnymi mapami zagranicznymi.

— Jeden z topografów wojskowych uzyskał pozwolenie od właściwej władzy na wydawnictwo albumu map Królestwa. Album to zawierać będzie oprócz jednej ogólnej mapy Królestwa, tudzież dokładnego planu Warszawy, niemniej i dwunastu większych miast prowincjonalnych, każdą gubernią oddzielnie z objaśnieniami, dotyczącymi ludności, obszaru i stosunków wyznaniowych.

— P. Bukowski, administrator majątności próchnowskiej w Ks. Poznańskim, posiada staroświecką szafę, którą miasto Kraków miało ofiarować Janowi III za zwycięstwo odniesione nad Turkami pod Wiedniem. Pomieniona szafa jest z drzewa, a na drzwiach umieszczone są popiersia króla Jana i żony jego Maryi Kazimiery, pięknie rzeźbione w słoniowej kości, na dole rzeźbione również w słoniowej kości bitwy pod Wiedniem i Chocimem, różne herby i napisy tureckie. Sprzęt ten powinienby się znaleźć na wystawie pamiątek po Sobieskim, urządzonej w Krakowie.

— W Szamotułach w W. Ks. Poznańskim, w kościele znajduje się stary obraz z czasów Sobieskiego, przed którym śpiewano pieśń nabożną, nieznaną naszym śpiewnikom. Pieśń tę, utwór dawnych wieków lokalnej barwy, przepisał p. Łącki z Posadowa podług słów starca, liczącego dzisiaj 102 lat wieku, które czytelnicy „Bibl. Warsz.” z zadowoleniem pro memoria przeczytają:

„Witaj śliczna i dziedziczna
Szamotul Pani,
My poddaństwa, Twego państwa,
Szamotulani
Pod nogi się ścielemy,
Twój pomocy żebrzemy;
Chciój nas bronioć
I zasłonić
Sług Twych, Marya!

Kiedy trwoga, to do Boga,
Przez Cię wołamy,

W każdym smutku, nie bez skutku
 Pociechę mamy.
 Król Jan Trzeci, śmiało leci
 Z Turkiem w ataki,
 Szczęśliwie z nim wojuje,
 Z wygraną tryumfuje,
 Kiedy Ciebie,
 W tej potrzebie
 Na pomoc bierze.

Jeszcze kula nie była,
 By tę szatę przeszyla,
 I granaty
 Od tej szaty
 Odpadać zwykły.
 Więc koronę
 Za obronę
 Dać Ci należy.

— Dla amatorów numizmatów. Nakładem znaną firmę Brockhausa w Lipsku, wyszło w tych czasach dzieło Podszywałowa p. t.: „Beschreibung der unedirten und wenig bekannten Münzen von Sarmatia Europaea, Chersonesus Taurica und Bosphorus Cimmerius.” Dzieło to opracowane wyczerpująco oraz ozdobione podobiznami wszystkich znanych numizmatów wzmiankowanych w tytule krajów, jest bardzo ważnym, i nie tylko dla posiadaczy zbiorów monet starożytnych, ale i dla badaczy dziejów.

— Z Akademii Umiejętności w Krakowie. Dnia 10 lipca b. r. odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności, na którym senator dr. Konstanty Horszowski czytał dokończenie pracy swój: „O fundacyi kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, późniejszej rezydencyi kardynała Hozyusza,” wspominając o dostojnikach kościelnych, którzy z biegiem czasu rezydencję tę zajmowali. Dłuższe wspomnienie poświęcił prelegent Jerzemu Zamoyskiemu, biskupowi chełmskiemu. Dnia 16-go lipca r. b., w poniedziałek, odbyło się w Akademii Umiejętności posiedzenie zwyczajne wydziału filozoficznego pod przewodnictwem doktora Estreichera, na którym profesor K. Morawski zdawał sprawę z kierowanych przez siebie przygotowań do wydawnictwa poetów polsko-łacińskich XVI wieku. Sprawa ta nie doznała dotąd gorliwego poparcia ze strony szerszej publiczności, któraby przysyłaniem nieznanego materiału wydawcom przysłużyć się mogła. Mimo tego posuwa się naprzód. Na razie zbierają się materiały do pierwszej epoki naszej literatury aż po rok 1530: a więc stare pieśni historyczne, ludowe lub kościelne, napisy grobowe,

wiersze autorów znanych i bezimiennych. Wszelkie przysporzenie odnośnego materiału z rękopisów, lub rzadszych druków, z wdzięcznością byłoby przez Akademią przyjęte. Biblioteka Jagiellońska i biblioteka Czartoryskich dotychczas głównemi były źródłami; jest nadzieja, że nadejdą opisy z instytutu Ossolińskich i z biblioteki Pawlikowskich we Lwowie. Co do biblioteki Kórnickiej i księgozbiorów warszawskich poczyniono już kroki odpowiednie. Materiał ten może tylko zbiorowemi siłami być opracowanym. Co do większych autorów jeszcze nie wszystko rozstrzygniętem: Dantyszka obiecał wydać prof. dr. L. Ówikliński ze Lwowa, co do Janickiego porozumiewa się komitet wydawniczy z prof. Węclewskim, co do Krzyckiego z p. dr. Celichowskim z Kórnika. Najstarsze zabytki z druków i rękopisów, jak również poetów mniejszych przygotowuje do druku prof. Morawski, Pawła z Krosna i Jana z Wiślicy prof. Kruczkiewicz, Piotra Rydzyńskiego prof. Czubek, Hussoviana prof. Kulczyński. Poezye Hozjusza wyjdą w opracowaniu prof. Zakrzewskiego. Utwory Zachar, Ferreri wyda prof. Paweł Popiel. Z szeregu poetów niemieckich o Polsce lub w Polsce piszących, zobowiązał się dostarczyć wyciągów z Celtesa p. dr. Tomkowicz. Bardzo stanowczój pomocy i poparcia doznał wreszcie komitet ze strony d-ra Gustawa Bauchy w Wrocławiu, który się podjął wydania wierszy Hadus'a, Logus'a, Corvinus'a, Sommerfelda, Walentego Ecka i Vadianus'a. Akademia spodziewa się, że ze wzrostem materiału grono współpracowników rozszerzać się będzie. Na konkurs z zapisu Kaspra Bieleckiego dla uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydział postanowił ogłosić zadanie następujące: „Kochanowski w Uniwersytecie krakowskim na podstawie metryk uniwersyteckich.” Termin składania rozpraw naznaczono do końca lutego 1884 r.

— „Jadwiga i Jagiełło,” olbrzymia grupa dłuta Oskara hr. Sołnowskiego, darowana przez twórcę miastu Krakowowi, nadeszła już z Rzymu do Krakowa. Jest to powiększona przez autora reprodukcya jego własnej pracy, ofiarowanej niegdyś do muzeum archeologicznego w Wilnie, a obecnie znajdującej się w Petersburgu.

— „Dodatek dla ślusarzy,” pismo półmiesięczne illustrowane, popularne; wydawane przez redakcyą „Inżynieryi i Budownictwa.” Praca u podstaw, to najświeższe hasło, streszczające w sobie, rzec można, cały nasz program społeczny. Wiele się mówi i pisze od pewnego czasu o téj pracy, czyni się już nawet w miarę możności tu i owdzie coś dla jéj urzeczywistnienia: co zdaje się świadczyć, że z dziedzi-ny zyczeń i projektów przechodzimy powoli na grunt praktyczny. Każde nowe w tym kierunku usiłowanie budzi otuchę w odradzające się siły społeczne, zjednywając sobie serdeczną życzliwość tych, którym ich rozwój leży na sercu. Nie z inném téż uczuciem notujemy tu jeden z objawów takiéj, dobrze zrozumianéj, skierowanéj do podstaw pracy, za który poczytać należy podjętą przez p. Szafarkiewicza, redaktora „Inżynieryi i Budownictwa” myśl wydawania dwutygodnio-

wych „Dodatków rzemieślniczo-przemysłowych.” Myśl to istotnie na czasie, dobra, praktyczna, obywatelska. Na początek, niby na próbę, p. Szafarkiewicz wystąpił z „Dodatkami dla ślusarzy;” obiecując z czasem pomyśleć o takichże dodatkach dla innych rzemieślników: dla stolarzy, cieśli, mularzy, malarzy pokojowych, młynarzy, garbarzy i t. p. Ponieważ redakcyi na dobrej woli i siłach oczywiście nie zbywa, zatem urzeczywistnienie tego szerokiego programu zależeć już będzie wyłącznie od poparcia czytelników, to jest od tego: jak dalece nasi rzemieślnicy i przemysłowcy okażą się przygotowanymi i chętnymi do korzystania z wydawnictwa. Co się tyczy „Dodatku dla ślusarzy,” to polegając na zapewnieniu samej redakcyi, można już uważać sprawę za rozstrzygniętą, i to — co jest pocieszającym — za rozstrzygniętą na korzyść wydawnictwa.

Mamy właśnie przod sobą dwanaście numerów tego pisma za pierwszą połowę roku bieżącego, z których możemy już utworzyć sobie pewne o jego wewnętrznej wartości pojęcie. Czytelnik znajduje w niem obfite, starannie dobrane, podane w formie przystępnej wskazówki co do obrabiania materyałów surowych, tak pod względem technicznym jak estetycznym; wiadomości o wszelkiego rodzaju ulepszeniach i wynalazkach z ślusarstwem związek mających; popularne pogadanki naukowe i t. p. Dalej, zapowiedziane mamy, między innymi, wiadomości dotyczące typowego urządzenia zakładów fabrycznych i rzemieślniczych, tudzież historią rzemiosł, za której początek uważać możemy drukującą się już od numeru pierwszego rzecz pod tytułem: „Z dziejów polskiego ślusarstwa.” Za szczególniej atoli szczęśliwy pomysł redakcyi poczytać musimy owo zadzierzgnięcie ścisłego węzła między nią a czytelnikami, przez zaprowadzenie rubryki pod tytułem: „Skrzynka zapytań i odpowiedzi.” Tą drogą każdy z czytelników zwracać się może bezpośrednio do redakcyi pisma i otrzymywać od niej wszelkie wskazówki i informacye, jakich mu na razie potrzeba; a nadto, ma prawo korzystać z specjalnej biblioteki, urządzonej w tym celu przy redakcyi. Prowadzi to do wytworzenia się między redakcyą pisma a jego czytelnikami poufałego a życzliwego stosunku, na czém oczywiście obie strony tylko zyskać mogą. Przy zupełnym braku odpowiednich zbiorów publicznych, specjalnych wykładów i t. p. pomocy, z jakich zagranicą przemysł i rzemiosła korzystają, i to coś przecie znaczy. Nadto w ilustracyach zamieszczanych bądź w tekście bądź w oddzielnych tablicach, redakcyja stara się zaznajomić czytelników z wzorami artystycznego ślusarstwa współczesnego i dawniejszego, uwzględniając przytém szczególniej cenne zabytki polskiego ślusarstwa z ubiegłych wieków.

Naturalnie, wyrażenie zdania o praktycznej wartości pisma, musimy pozostawić specjalistom — któremu z naszych pp. ślusarzy; tylko ich, nacechowane fachową znajomością rady i uwagi, mogą wytknąć wydawnictwu najwłaściwszy, najpożądańszy w naszych stosunkach kie-

runek. Tymczasem redakcja zrobiła już swoje, zapewniwszy sobie współpracownictwo zdolniejszych tutejszych majstrów. Co do nas, pragnęlibyśmy widzieć w „Dodatku,” jako w specjalnym organie ślusarzy, poruszone i traktowane wszechstronie nietylko czysto techniczne, lecz wszelkie inne kwestye wiążące się ze stanem naszego ślusarstwa. Na zależałem polu, którego uprawy redakcja się podjęła, nagromadziło się ich nie mało. Jedną z najbardziej naglących, naszym zdaniem, jest kwestya owego fuzerstwa, jakie od pewnego czasu zakradło się do rzemiosła, dyskredytując zdolność i sumiennność naszych rzemieślników. Polecamy ją też szczególnież uwadze redakcyi. Rozpowszechnieniu się fuzerskiej roboty sprzyjał osobliwie rozbudzony od lat kilkunastu ruch budowlany w naszym mieście. Do nowych domów potrzeba było zamków, zawias, okuć do drzwi i okien i t. p. rzeczy. Otworzyło się tedy naszym ślusarzom pole do zarobkowania. Z przykrością jednak wyznać trzeba, że powiększłej części dostarczona przez nich robota świadczy jaknajgorzej o ich uzdolnieniu fachowóm i ich sumienności. Wymagania konkurencyi z tandetą zagraniczną mogą ich wprawdzie tłómaczyć poczęści, ale usprawiedliwić ich nic nie zdoła; fuzerską tą robotą wyrządzili oni nieobliczoną krzywdę krajowemu przemysłowi, wdrażając bowiem robotników w swych warsztatach do lichój tandetnej roboty, uczyli ich niesumienności—która gdy raz wejdzie w nałóg, staje się największą plagą każdego rzemiosła. Owe niedomykające się, co chwila psujące się zamki, owe niezdarne, niepraktyczne, a jaknajgorzej wykonane okucia do okien i t. p. szczegóły ślusarskiej roboty, z którymi się w każdym niemal nowym domu spotkać można, czynią prawdziwie ujmę naszemu ślusarstwu, któremu dawniejsze wieki, jak o tém świadczą liczne zabytki, wcale piękną pozostawiły tradycyą. Wydawnictwo „Dodatku dla ślusarzy” przychodzi więc w porę śmiałym, szczerým traktowaniem spraw, mających związek z krajowým ślusarstwem, może go ono uchronić od upadku i pod każdym względem ważne mu oddać usługi; prowadzone zaś systematycznie, stać się może i powinno skarbnicą wiedzy fachowej, podręczną biblioteką, w której każdy ślusarz mógłby znaleźć potrzebną radę i informacyą.

Podnosimy też chętnie zasługę redakcyi pisma, że od samego początku kładzie nacisk na artystyczną stronę ślusarskiej produkcji. Trafność tego kroku oceni każdy, bo komuż nie wiadomo, jak dalece wyroby zagraniczne górują pod artystycznym względem nad naszą rzemieślniczą i fabryczną produkcyą. W dzisiejszych warunkach konkurencyja stała się dla nas trudną, nawet niepodobną. Zagraniczne fabryki zarzucają nas swemi wyrobami, co naturalnie najzgrabniej na rozwój krajowego przemysłu oddziaływać musi, a czemu nawet cła ochronne nie mogą skutecznie zapobiedz; zagraniczne bowiem fabrykаты tak są w porównaniu z naszemi tanie, że nawet mimo cła i kosztów przewozu, jeszcze są w stanie z naszemi współzawodniczyć. Radę na to można znaleźć jedynie w podniesieniu poziomu krajowego przemysłu.

Robotnik nasz bywa często leniwy i niedbały, to prawda; ale czego odmówić mu niepodobna, to pojętności i zdolności: na to się wszyscy zgadzają. Zdolności polskiego robotnika ujawniają się szczególnie w produkcji wymagającej pewnych artystycznych kwalifikacji, misternej roboty, smaku. Jeżeli więc wyroby jego grzeszą brakiem artystycznej wytworności, pochodzi to poprostu z braku odpowiedniego artystycznego wykształcenia, z braku wzorów, na których mógłby się kształcić. Projektowane muzeum artystycznego przemysłu ma w przyszłości zaradzić téj potrzebie; tymczasem zaś „Dodatek dla ślusarzy“ przychodzi tym ostatnim z pewną w tym kierunku pomocą. Zwrócilibyśmy tylko uwagę redakcyi tego pisma, żeby się rachowała koniecznie z poziomem umysłowego rozwinięcia swych czytelników. W artykułach treści estetycznej, jeśli mają przynieść istotnie praktyczny pożytek, należy mniej szafować brzmiącemi frazesami i ogólnikami, które przeciętnego ślusarza nie tylko niczego nie nauczą, ale, co gorsze, mogą zrazić go do czytania. Estetyczna edukacya naszego ślusarza, skoro się jęj redakcyja „Dodatku“ podjęła, musi być przeprowadzona elementarnie, systematycznie. Nie na wiele przyda się prawić im np. o ostrołuku, renesansie i t. p. rzeczach, nie dawszy im wprzód o nich należytego, popartego stosownemi wzorami pojęcia.

K. M.

— W m. Siedlcach ma od Nowego roku pojawić się pismo prowincjonalne p. t.: „Tygodnik Siedlecki.“ Wzmiankując o tém, nie możemy zamilczć wymówki mieszkańcom ziemi łomżyńskiej, że przez obojętność dla prasy polskiej pozwolili upaść jednemu z lepszych organów prowincjonalnych, jakim bez zaprzeczenia było „Echo łomżyńskie,“ które z dniem 1 lipca przestało wychodzić.

— Zeszyt 2-gi tomu III-go „Encyklopedyi wychowawczej“ wyszedł z druku i zawiera następujące cenne artykuły treści pedagogiczno-literackiej: 1) Czarnecki Edward; 2) Czartoryska Elżbieta-Dorota; 3) Czartoryski Adam-Jerzy; 4) Czartoryski Adam-Kazimierz; ostatnie trzy artykuły p. M. Żmigrodzkiego zawierają oprócz obfitego nieznanego dotychczas materiału rękopiśmiennego, jasny pogląd na pożyteczną działalność rodziny Czartoryskich na polu oświaty narodowej; 5) Czas nauczania, p. S. Sobieskiego; 6) Czasopisma dla młodego wieku, p. P. Chmielowskiego; 7) Czechy, przez Adolfa Smorczewskiego (początek).

— W Czerniowcach, na Bukowinie, wychodzić zacząną od dnia 1 sierpnia r. b. dwa pisma polskie: „Gazeta Polska“ i „Przegląd Czerniowiecki,“ które połączone jednością programu, wzajemnie uzupełniać będą. Wychodzić zaś będą naprzemian, co drugą niedzielę. Kierownictwo naczelne nad niemi obejmuje znany w Galicyi literat, p. Aleksander Morgenbesser, autor ładnego obrazka wierszowanego p. t.: „Obrońca Sokołowa.“ Obok zwykłych rubryk, pisma wspomniane obejmować będą przeważnie artykuły uwzględniające stosunki i położenie Polaków zamieszkałych na Bukowinie, których liczba dosięga

tamże obecnie do 20000, tak, że brak takiego organu, jakim będą właśnie wspomniane pisma, dotkliwie uczuwać się dawał. Odkąd bowiem odłączono administracyjnie Bukowinę od Galicyi, żywiły: rumuński i niemiecki, zawładnęły całą administracją krajową, ze szkoda innych szczepów, a zwłaszcza ze szkoda tak liczne go żywiu polskiego. List od Redakcyi, dołączony do prospektu publikacyi zapowiedzianych, maluje bardzo smutnie pod tym ostatnim względem miejscowe stosunki. Przesyłając nowym pismom serdeczne „Szczęść Boże,” nadmieniamy, że prenumerata obydwu dwutygodników kosztować ma na miejscu 9 guldenów rocznie, z przesyłką pocztową zaś 10 guldenów. Adres redakcyi: Czerniowce, Plac Austrii. Za wydawcę podpisywać będzie p. Klemens Kołakowski.

— Nakładem Stanisławy z Kaczkowskich Byszewskiej, wyszły w Krakowie (drukem Wł. Anczyca): „Dzieła Stanisława Kaczkowskiego, pośła sieradzkiego.” Kraków, 1883, t. I—III, zawierające ciekawe studia nad historią polską i nieco materyału historycznego. Z następującej osnowy może czytelnik powziąć wyobrażenie o treści dzieła. W tomie pierwszym czytamy: 1) Lachy, Lechici, Lechia; 2) Mazowszanie; 3) Uwagi nad panowaniem Władysława Hermana ze względu na Słowiańszczyznę; 4) Krzyżacy i Polska; 5) Wiadomość o konfederacyi barskiej. — W tomie drugim: 6) O sejmie a mianowicie izbie poselskiej w powstaniu polskiem 29 listopada 1830; 7) Pamiętniki z urzędowania mego w izbie poselskiej kongresowego Królestwa Polskiego od 1825—1831. — W tomie trzecim: 8) Pomników historycznych polskich 36, drukiem dotąd nie ogłoszonych; 9) O starostach i starostwach w Polsce; 10) O klimakterach Wesp. Kochowskiego; 11) Myśli o handlu naszym; 12) Rzut oka na żydów.

— Tom pierwszy wydania pomnikowego wszystkich dzieł Jana Kochanowskiego wyszedł w drukarni J. Ungra w Warszawie, staraniem i nakładem komitetu, który pod przewodnictwem K. hr. Przędzieckiego z chwalebną sumiennością i wzorową dokładnością pracuje już parę lat nad tém tak pożądaném dziełem. Wydanie przedstawia się pod względem typograficznym jak na nasze stosunki bardzo wspaniale, a pod względem naukowym występuje w tak autentycznej postaci—z treściwym komentarzem rzeczowym, (możnaby w tym kierunku więć robić, bo w tomie niniejszym przeważa lingwistyka), i językowym, że może służyć badaczom przeszłości naszej tak dziejowej jak i literackiej za najczystsze źródło. Tom I, str. 379 w 4-ce (portret i dwie podobizny) zawiera prócz wyrozumowanej relacyi komitetu o całym planie wydawnictwa, zamierzonego na cztery tomy (str. XI), tudzież wiadomości bibliograficzno-krytycznej o wydaném tłómaczeniu psalmów (str. VIII), następujące utwory J. Kochanowskiego: 1) Psalterz Dawidów, p. A. A. Kryńskiego; 2) Kilka psalmów z melodyi M. Gomółki, przepisanych na klucz dzisiejszy przez Al. Polińskiego; 3) Pieśni ksiąg dwoje, przez T. Włoszka i R. Plenkwicza; 4) Pieśń o So-

bótcie, przez Piotra Chmielowskiego; 5) Pamiątka Jana hr. na Tenczy-
nie, przez J. Karłowicza. Całe dzieło w czterech tomach kosztuje
tylko rs. 10 i nie wątpimy, że społeczeństwo polskie dzisiejsze złoży
dowód, że chce i że umie szanować zabytki mowy polskiej, pragnąc ją
nieskazoną przekazać pokoleniom późniejszym, wystawionym może na
coraz większe niebezpieczeństwo pod względem czystości języka, który
jako żywotny powinien się organicznie rozwijać, ale nie powinien być
turbowany przez wpływ obczyzny lub przez arogancją lekkomyślnego
nowatorstwa pseudo-lingwistów ani w swoich odmianach, ani w swojej
składni. Prócz tedy czei dla ojca poezji polskiej, leży wielka war-
tość tego pomnikowego wydania w owych ogólnocywilizacyjnych wzglę-
dach.

— Nakładem J. Leitgebera w Poznaniu wyszło dzieło Klemensa
Kanteckiego p. t.: „Szkice i opowiadania” (str. 448), zawierające w je-
dnej książce część rozpraw, rozproszonych po różnych czasopismach (Ga-
zeta Lwowska, Przewodnik naukowo-literacki) a napisanych w ciągu
dziesięciolecia 1873—1883. Studya te zasługują z tego względu na
pilniejszą uwagę czytelnika, że opierają się w wielu razach na nieznanych
dotychczas materiałach źródłowych. Czytamy w tym tomie szesna-
ście różnorodnych szkiców, których bogatej treści nie możemy w tém
miejscu dokładnie wykazać, dlatego poprzestajemy na następujących
wskazówkach: 1) Kłopoty dyrektora teatru (Wojciecha Bogusławskie-
go); 2) Generał artylerji (Fr. hr. Brühl); 3) Przygody szpiega (1735);
4) Samozwanka, proces kryminalny z XVII wieku; 5) Pan podskarbi
(Jan Jerzy Flemming); 6) Za króla Sasa; 7) Karol XII w Polsce
i w Turcyi; 8) Panicz i dziewczyna, niewydany dramat Szajnochy; 9)
Poniatowscy (dzieci Stanisława Augusta); 10) Biskup Krasiński w ro-
ku 1787; 11) Początek Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich; 12)
Z archiwum Mniszchów (bardzo wiele różnorodnych szczegółów); 13)
Delegacya galicyjska w Wiedniu przed 93 laty; 14) Z autografów Za-
kładu narodowego Imienia Ossolińskich (rozmaitej treści ważne kore-
spondencye); 15) Pieśni i ballady Goethego. 16) Król bez tronu (St.
August w Grodnie i Petersburgu).

— W ostatniej prawie minucie przed zamknięciem zeszytu otrzy-
maliśmy od p. Lesmana, zabiegliwego księgarza i nakładcy dziełko
w formacie kieszonkowym p. t.: „Zarys wykładu mowy polskiej według
wskazówek językoznawstwa porównawczego, opracował Antoni Gustaw
Bem,” tom I-szy, str. IV i 311, oprócz postawionych na czele V stron-
nic pomyłek drukarskich, które nie zdobią dziełka pedagogicznego
i nie przynoszą zaszczytu drukarni. Powołany powyżej tytuł wskazu-
je, że mamy przed sobą nową gramatykę języka polskiego w formie
podręcznej; chodzi tylko o to, czy najnowsza ta praca odpowiada wy-
maganiom nauki, czy przedstawia jasny metodologicznie uwarunkowa-
ny system w organicznym obrazie całokształtu mowy naszej, i czy czy-
ni zadość praktycznym potrzebom nauki języka polskiego. Nie mając
w tej chwili sposobności wymotygowania naszego na te sprawy poglą-

du, nadmieniamy tylko, że praca ta wymaga wielostronnej dyskusyi, która tylko w rozbiore krytycznym może przynieść korzyść pożądaną tak nauce jako i szkole. Obawiamy się, że dla lingwistów są tu rzeczy powszechnie znane, a niektóre niedokładnie przedstawione, dla szerzej publiczności zaś, t. j. nawet dla tak zwanój przeciętnej inteligencji, pozostanie wiele nietylko kwestyi ale faktów w takim streszczeniu niejasnych; tak, że cel przez autora zamierzony („przedmiotowe wyświetlenie kardynalnych a różnym wykładom podlegających punktów gramatyki polskiej,“) z trudnością tylko osiągniętym być może.

— W ostatnim numerze „Kłosów” (943, z dnia 26 lipca r. b.) czytamy bardzo piękny, gruntowny, prawdziwie obywatelskim duchem tętnący artykuł p. Ad. Pługa p. t.: „Panem et circenses,” reflektujący nasze bałwochwalstwo dla artystek i dla aktorów, których nie umiemy inaczej czcić, tylko w sposób, przynoszący ujmę i artystom i społeczeństwu naszemu. Panna J. Reszkówna nie spodziewała się za swą szlachetną pracę takiej... zapłaty! Zwracamy na ten artykuł uwagę jak najszerszego koła czytelników, bo należy zastanowić się głęboko nad tą lekkomyślnością, cechującą jakiś stan chorobliwy... oby przejściowy!

Z dniem 8-ym Lipca r. b., Redakcyja „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ” przeniesioną została na ulicę Zielną N-r 7a.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.